

TATERNIK



1

1986

TREŚĆ

Tyle wypraw, takie wyniki (<i>J. Nyka</i>)	1
Alpinizm w świetle nowych regulacji prawnych (<i>W. Lachiewicz</i>)	2
Sprzęt pełnowartościowy (<i>T. Solicki</i>)	5
Film górski w Trydencie (<i>W. Świeżyński</i>)	6
Krakowska wyprawa na Gangapurnę (<i>W. Mastowski</i>)	8
Himalchuli North ponad morzem chmur (<i>W. Panejko</i>)	10
Zakopanie na Cho Oyu 1986 (<i>A. Osika</i>)	11
Zimowe wejście na Kangchendzöngę (<i>A. Machnik</i>)	12
Na szczyt (<i>K. Wielicki</i>)	14
Andrzej Czok (<i>A. Bilczewski, J. Nyka</i>)	15
Zima 1985—86 w górach najwyższych (<i>J. Nyka</i>)	17
Gdybyś przyszedł pod tę ścianę (<i>Wanda Rutkiewicz</i>)	19
Polsko-czeska kobieca wyprawa w Andy (<i>Ewa Szcześniak</i>)	20
Ladies' Holidays (<i>Ewa Panejko-Pankiewicz</i>)	21
Kaukaz zimą 1986 (<i>J. Wolf</i>)	23
Stanisław Motyka 1906—1941 (<i>R.W. Schramm</i>)	24
Polskie wspinaczki zimowe w Tatrach 1985—86 (<i>Ziemowit J. Wirski</i>)	28
Zima przy Morskim Oku (<i>K. Łoziński</i>)	30
O czystość stylu w skale (<i>R. Malczyk</i>)	32
Styl czy trudności? (<i>H. Sigrist</i>)	33
1000 m w Meanderhöhle (<i>J. Woćko</i>)	35
Co nowego w Tatrach?	37
Nowe drogi w Tatrach	38
Ruch skałkowy	39
Różne góry, różne lata	41
Wyprawy w góry egzotyczne	42
Sprawy organizacyjne	43
Pożegnania	44
Kochane zdrowie	46
Notatnik	47
Recenzje; Sprzęt	tylna okładka

Zdjęcia obok: Wspinaczka w Dolomitach na Guglia di Brenta.

Fot. Marek Pronobis

Na okładce: Widok z Kołowego Szczytu na masywie Łomnicy i Durnego. Szkic panoramy na s. 28.

Fot. Andrzej Drobnik

TATERNIK

Tyle wypraw, takie wyniki

Półrocze nie stanowi w naszym sporcie półmetku, a to dlatego, że główny ciężar działalności — i tej tatrzańsko-alpejskiej, i wyprawowej — przesuwa się na lato i okres jesieni. Ale pół roku mamy już za sobą, i to z sukcesami o nie tylko polskim znaczeniu. Pierwsze wejście zimowe na trzeci szczyt Ziemi, Kangchendzöngę, nowa droga na Cho Oyu, pierwsze przejścia zimowe w Kaukazie — to punkty najważniejsze, zrelacjonowane w tym numerze. Niezłe wyniki przyniósł sezon zimowy w Tatrach, gdzie tym razem najwięcej się działo na Słowacji. Seria tragicznych wypadków, która wstrząsnęła nami w grudniu, zakończyła rok miniony. Obecne półrocze przyniosło jeden wypadek, również bardzo bolesny: śmierć Andrzeja Czoka w Himalajach. Tragedia ta nie będzie daremna, jeśli wszyscy uświadomimy sobie, że znacznie więcej wiemy o wielkich górach, niż o naszych własnych w nich możliwościach i granicach.

O polskim alpinizmie było głośno w światowych publikacjach, najgłośniej o wyczynie Wojtka Kurtyki na G. IV, zgodnie uznany za wydarzenie numer jeden minionego roku (T. 2/85, s. 61). Nie schodził z łańców Jerzy Kukuczka, aktualnie główny rywal Messnera w biegu 14×8000. W dniu 5 czerwca powróciła nasza delegacja z tournée po Japonii, gdzie była serdecznie goszczona i zasympiywana pytania: jak wy to robicie, że macie tyle wypraw i tak niezwykłe wyniki?

Tymczasem — a mija właśnie 15 lat od pamiętnej wyprawy na Kunyang Chhish — wyruszają w świat kolejne ekipy. Jest ich zbyt dużo, by wymienić cele. Dość powiedzieć, że przeszło 10 grup i grupki kieruje się ku szczytom ośmiotysięcznym, pod samy K2 znajdują się 3 nasze różne zespoły. Ten szturm na najwyższe szczyty Ziemi ma też swoje cienie. Część wypraw planuje wejścia najłatwiejszymi drogami, po to tylko, by uczestnicy mogli zaspokoić własne wysokościowe ambicje. A przecież odrobina inwencji wystarczyłaby, aby tym samym wysiłkiem zrobić coś ciekawszego i liczącego się w historii góry! Liczba wypraw sprawia, że siły są rozbite, a ekipy z reguły nie pierwszej (oby chociaż drugiej!) klasy. Organizato-

rzy nie pamiętają też jakoś o naszych starych porachunkach z K2 (dwie napoczęte drogi) i Makalu (środek zachodniej ściany), a także nowych — z Lhotse i Cho Oyu. Północno-zachodnią grań K2 w tym sezonie chcą za nas skończyć Anglicy. A przecież historia uczy, że właśnie z mądrej kontynuacji wynikają wielkie dzieła — także w górach. Postawienie nogi na szczycie Gasherbruma IV zapowiadał w zeszłym roku Wojtek Kurtyka. Byłby to wprawdzie tylko gest, ale gest o dużym ideologicznym znaczeniu, zwłaszcza w sytuacji, kiedy mnożą się w Himalajach nowe „drogi” kończone... w połowie wysokości góry. Na samej tylko Dhaulagiri takich szeroko reklamowanych „dróg” mamy już trzy — dwie słoweńskie i jedną czeskosłowacką.

Poniekąd tradycją stały się nasze biadania nad uwiędnięciem polskiego alpinizmu alpejskiego i spadkiem zainteresowania Tatrami. Jeśli by ktoś twierdził, że nie jest pod tym względem źle, niech przejrzy kolejne „Vystupy rocka” naszych sąsiadów zza Tatr — przekona się na jak krzepkim drzewie zielenią się ich himalajskie gałęzie. Sprawom tatrzańskim poświęcamy w tym numerze trochę więcej miejsca. Artykuły K. Łozińskiego i Z. Wirskiego różnią się nieco w ocenach, ale też dotyczą różnych scen działania. Liczymy na to, że nie pozostaną one bez odzewu ze strony tych kolegów, którym słowo „taternik” ciągle bliższe jest niż słowo „alpinista”.

Przez długie lata panował pogląd, iż alpinizm jest sportem, ale i czymś więcej. W ostatnich latach wziął on ostry zakręt w kierunku ostatecznego usportowienia się, czego wyrazem są choćby przyjmujące się również na Zachodzie zawody wspinaczkowe (21—23 marca 1986 r. pierwsze halowe mistrzostwa Francji na sztucznej ścianie w Lionie; seria imprez zaplanowanych na lato). Trwa rozkwit wspinaczki skałkowej, dla której zachodnie kluby i związki szukają miejsca w swych sztywnych strukturach. W awangardzie jest Groupe de Haute Montagne (T. 2/85, s. 90), która do swych norm przyjmowania na członków wprowadziła ostatnio nową (trzecią) kategorię: *faïaise*. Na jej podstawie w ekskluzywnym gronie członków GHM znaleźli się w tym roku Jean-Baptiste Tribout,

bracia Claude i Yves Rémy, Dominique Suchet, Bruno Cormier, Bernard Pégourier i Amine Sébahi — wszystko ludzie legitymujący się głównie skalkowanym dorobkiem.

Nowy układ sił wymaga nowych rozwiązań. Na swych tegorocznych walnych zjazdach Club Alpin Français i Schweizer Alpen-Club poddadzą rewizji własne schematy organizacyjne i kanony ideowe. „Czy są one jeszcze żywotne? Czy w ogóle odpowiadają oczekiwaniom dnia dzisiejszego?” — czytamy w tezach przedjazdowych. Francuzi jedno z lekarstw widzą w rozbięciu zbyt dużych sekcji i komisji na mniejsze, bardziej operatywne. Liczą na to, że łatwiej wchłoną one powstające poza CAF prężne ugrupowania młodzieży, które już doprowadziły do powstania obok FFM osobnej Fédération Française d'Escalade. Również nasz Związek stoi w tym roku przed Walnym Zjazdem, który odbędzie się w listopadzie w Zakopanem. Znową będą gorączkowe nocne debaty i pospiesznie formułowane, nie do końca przemyślane wnioski. Dobrze by było, gdyby — wzorem organizacji zachodnich — i nasze kluby zaczęły już dziś myśleć o tym, z czym przyjdą na Walny Zjazd i w jakim kierunku należałoby przemodelować alpinizm polski, by nadal trzymał on głowę wysoko w himalajskich obłokach, ale bardziej pewnie stał na tatrzańsko-alpejskiej ziemi.

W krajach zachodnich, zwłaszcza Francji, Hiszpanii i Włoszech, ostro wyodrębnia się skrzydło sportowe, a nazwiska Profita, Escoffiera czy Luisy Iovane konkurują z nazwiskami czołowych kolarzy czy kopaczy piłki. Ale też daje się tam zauważyć powstawanie czegoś w rodzaju opozycyjnego centrum — sodalicii jednoczącej masy ludzi nie zainteresowanych wielkim wyczynem, lecz po prostu kochających góry i chcących po nich chodzić. Do publicznego starcia obu stron doszło na niedawnej konferencji w Grazu, wielce wymowna jest też ankieta czytelnicy francuskiej „AlpiRando”, której wyniki zaskoczyły samą redakcję. Zdecydowaną większość wypowiedzi streścić można w paru zdaniach: „Profit, Edlinger i ci inni... Piszcie mniej o wyczynach, zwłaszcza tych spod znaku 8a, o tych wszystkich snobach i niebieskich ptakach — otwórcie kolumny dla łażików i wspinaczy, którzy cały tydzień uczciwie pracują, a w weekend chcą zrealizować małe exploits, na sobie dostępnym poziomie. Niech żyje solidna alpejska IV+ i drogi, które nie są w modzie.” Nastawienie takie panuje i u nas: kiedy niżej podpisany przytoczył powyższy cytat podczas prelekcji w Warszawie, z sali ozwały się gromkie brawa. To także temat do zjazdowej refleksji.

Józef Nyka

WOJCIECH LACHIEWICZ

Alpinizm w świetle nowych regulacji prawnych

Alpinizm narodził się w końcu XVIII w. i przez wiele lat był dziedziną, którą zajmował się jedynie ograniczony krąg osób. Wszelkie sprawy związane z jego uprawianiem regulowane były do połowy lat siedemdziesiątych naszego wieku tylko zwyczajowymi normami „sztuki taternickiej”, jakie same wykształciły się z upływem czasu w środowisku taternickim. Nosily one i noszą jedynie charakter norm etyczno-moralnych, nie znajdowały więc odbicia w obowiązującym prawie. W związku z tym nie można było mówić o realizacji obowiązków taternickich w drodze przymusu prawnego, albowiem normy te nie były zabezpieczone żadnymi sankcjami prawnymi, choć przecież funkcjonowały prawidłowo i skutecznie. W miarę upływu lat wspinaczką zaczęły się jednak interesować coraz szersze kręgi osób, tak że w chwili obecnej w Europie zachodniej można mówić o alpinizmie jako sporcie masowym. Z jego rozwojem obok następstw



pozytywnych wiąże się szereg konsekwencji ujemnych, jak np. wzrost liczby wypadków taternickich, nadmierna eksploatacja przyrody czy wzrost zagrożenia osób trzecich, przebywających w sąsiedztwie terenu działalności wspinaczkowej. W tej sytuacji nasz naczelny prawodawca uznał za konieczne objęcie alpinizmu jako pewnej dziedziny życia społecznego węzłem norm prawnych, wprowadzających powszechną reglamentację w zakresie jego uprawiania. Uczynił to mając w szczególności na względzie realizację takich zadań państwowych, jak ochrona życia i zdrowia obywateli czy ochrona przyrody żywej i nieożywionej na wszelkich obszarach kraju.

Podstawowym i głównym źródłem prawa w zakresie uprawiania alpinizmu jest ustawa

sejmowa z 3 VII 1984 r. o kulturze fizycznej¹⁾, która ostatecznie zalicza go do dyscyplin sportu, co w myśl jej art. 15 rodzi po stronie osób uprawiających alpinizm obowiązek przestrzegania ustalonych regulaminów sportowych. W związku z tym na mocy art. 52 ust. 4 ustawy, Przewodniczący GKKFiS²⁾ został zobowiązany do wydania przepisów wykonawczych, określających zasady bezpieczeństwa, szczególne wymagania, kwalifikacje oraz wzory dokumentów stwierdzających te kwalifikacje w stosunku do wymienionych w ustawie dyscyplin sportu, wśród których znalazł się także alpinizm. Wyrazem realizacji owego obowiązku jest zarządzenie Przewodniczącego GKKFiS z 31 VII 1985 r. w sprawie uprawiania alpinizmu³⁾, zawierające w zasadzie regulację całościową dla tej dziedziny. Niezależnie od tych przepisów podstawowych, do działalności alpinistycznej odnoszą się również niektóre przepisy zarządzenia Przewodniczącego GKKFiS z 29 VII 1985 r. w sprawie bezpieczeństwa osób przebywających w górach⁴⁾, jak też rozporządzenia Rady Ministrów z 30 X 1954 r. w sprawie utworzenia TPN⁵⁾. W końcu, w związku z możliwością pociągnięcia do odpowiedzialności karnej oraz cywilno-odszkodawczej za wypadki, alpinizm obejmuje też odpowiednie przepisy Kodeksu Karnego i Kodeksu Cywilnego. Wymienione powyżej przepisy stanowią dopiero pełną regulację prawną odnoszącą się do uprawiania alpinizmu.

Przyjrzyjmy się najpierw zarządzeniu z 31 VII 1985 r. Jest to od strony prawnej akt powszechnie obowiązujący, czyli mogący odnosić się do wszystkich osób i sytuacji prawnych. Jaki jest zatem jego zakres podmiotowy — czyli do kogo się odnosi — oraz zakres przedmiotowy, czyli jakich sytuacji dotyczy? Zarządzenie, jak wynika z § 1 jest adresowane do wszystkich osób parających się alpinizmem, rozumianym jako taternictwo powierzchniowe w rejonach górskich i, co może ważniejsze, nawet w skałkach i na obiektach sztucznych, bądź jako taternictwo jaskiniowe w rejonach jaskiniowych. Z kolei od strony przedmiotowej zarządzenie to określa zasady bezpieczeństwa, obowiązujące w szeroko rozumianym alpinizmie (załącznik nr 4), szczegółowe warunki oraz tryb uzyskiwania stopni w taternictwie powierzchniowym (zał. 1) i jaskiniowym (zał. 2), jak również wzory kart taternika (zał. 3). Co do stopni taternickich i uprawnień z nich płynących oraz zasad ich uzyskiwania, najważniejszym jest ograniczenie stopni w taternictwie powierzchniowym i jaskiniowym do 3 tylko, co wiąże się z likwidacją stopnia sympatka taternictwa oraz taternika samodzielnego z uprawnieniami zimowymi. Uprawnienia do wspinania się po drogach o określonym stopniu trudności w zasadzie pozostają nie zmienione.

Bardziej interesująca wydaje się analiza przepisów odnoszących się do warunków bez-

pieczeństwa. Otóż ze wspomnianych przepisów wynika, iż wszelkie formy tak szeroko rozumianego alpinizmu mogą uprawiać wyłącznie osoby uprawnione, i to tylko w takim zakresie, o jakim mowa w wymienionych załącznikach, z których najistotniejszym jest chyba zał. nr 4. W myśl jego postanowień, taternictwo powierzchniowe i jaskiniowe można uprawiać bądź w formie zorganizowanej (kursy, wyprawy, zgrupowania itp.), bądź indywidualnie. W ostatnim przypadku należy mieć na uwadze, że § 2 ust. 2 zarządzenia zezwala na wspinanie się jedynie osobom z odpowiednimi uprawnieniami, a o ich uzyskanie mogą ubiegać się wyłącznie ci, którzy należą do organizacji zrzeszonych w PZA. Jest to więc *zupelne novum*, gdyż przepisy poprzednio obowiązującego zarządzenia Przewodniczącego GKKFiT z 16 X 1974 r. w sprawie uprawiania alpinizmu⁶⁾, a odnoszące się tylko do rejonów górskich, dopuszczały (a contrario) w § 2 także uprawianie alpinizmu przez osoby niestowarzyszone. W tym przedmiocie istniało i nadal istnieje jedynie ograniczenie wynikające z § 16 cytowanego rozporządzenia w sprawie TPN z r. 1954, który w stosunku do osób uprawiających taternictwo na terenie Parku wymaga przynależności do zrzeszeń alpinistycznych. Należy również pamiętać, że dotychczas obowiązujące, a wydane na podstawie starego już zarządzenia z r. 1974 regulaminy PZA w zakresie bezpieczeństwa nie mogły się odnosić do osób niestowarzyszonych. Aktualne prawo ukróciło więc procedurę polegającą na wspinaniu się osób niestowarzyszonych w skałkach oraz nielegalnie w Tatrach, bez związania ich wymogami w zakresie bezpieczeństwa wspinaczki.

Po drugie, w omawianym tu załączniku nr 4 istnieje szereg dalszych wymogów odnośnie bezpieczeństwa w trakcie uprawiania alpinizmu. I tak § 4 zawiera dość istotny zapis o obowiązku uprawiania taternictwa tylko „...w granicach ryzyka koniecznego, uzależnionego od aktualnych warunków działalności”. Jest to typowy przepis uznaniowy, a ocena jego przestrzegania będzie należeć do komisji dyscyplinarnych w klubach lub PZA, ewentualnie sądów w przypadkach, gdy w wyniku jego naruszenia nastąpił wypadek, o czym niżej. Obok dwóch wyżej wymienionych wymogów, załącznik nr 4 zawiera szereg dalszych nakazów i zakazów. W szczególności do szeroko rozumianego alpinizmu (a więc także skałek i obiektów sztucznych) odnosić się będzie absolutny zakaz wspinaczki bez asekuracji, czyli na tzw. żywca, a także trudny do sprawdzenia zakaz wspinania się bez należytego przygotowania kondycyjnego („błędy Birkenmajera i Abgarowicza”). Obok tego istnieją liczne wymagania co do stosowanego sprzętu. Musi on być pełnowartościowy, sprawdzony technicznie i posiadający odpowiedni atest. Wyraźnie jest zabronione używanie sprzętu nie przeznaczanego do uprawiania alpinizmu, jak np. kasków budowlanych czy lin lub karabinków żeglarskich.

Poza tym trzeba pamiętać, że sprzęt z włókien poliamidowych (liny, uprząże, pętle) winien być wycofany po upływie 2 lat od daty jego zakupu, a w przypadku lin — także po odpadnięciu prowadzącego*. Obok tych wymagań istnieją we wspomnianym załączniku również liczne zakazy czy obowiązki istotne z punktu widzenia odpowiedzialności za ewentualne wypadki. Przepisy prawne wyraźnie precyzują obowiązki instruktorów, kierowników kursów czy wypraw, obok nich wypada też wymienić niektóre obowiązki ciążące na osobach uprawiających alpinizm indywidualnie, jak choćby przestrzegania zasad asekuracji, znajomości teren działania z uwzględnieniem tras powrotu i odwrotu, wpisu do „książki wyjść” itp. W zespole obowiązki te ciążą na osobie mającej najwyższy stopień taternicki, a w przypadku równych stopni — na tej, która wykazuje się dłuższym stażem.

Niezależnie od przepisów zarządzenia w sprawie uprawiania alpinizmu, taterników wiążą też przepisy cywanego zarządzenia w sprawie bezpieczeństwa osób przebywających w górach. Chodzi tu głównie będzie o przestrzeganie ograniczeń związanych z alarmami lawinowymi czy też różnych nakazów i zakazów w zakresie poruszania się po szlakach turystycznych. Należy w związku z tym pamiętać, że taterników, podobnie jak turystów, wiążą przepisy obowiązujące na szlaku, który w świetle prawa traktowany jest jako „miejsce publiczne”, a więc dostępne bez specjalnego zezwolenia dla bliżej nie określonego kręgu osób. Tak np. taternik jest zobowiązany zaniechać wyjścia na wspinaczkę w przypadku ogłoszenia alarmu lawinowego IV stopnia. Naruszenie szeregu przepisów, jakie mogą obowiązywać na szlaku turystycznym, rodzić będzie ujemne konsekwencje prawne wobec winnych w postaci mandatów karnych nakładanych przez organy TPN lub wniosków do kolegiów na mocy art. 52 Kodeksu Wykroczeń.

Z przedstawionych tutaj regulacji prawnych możemy wysnuć wniosek, że są one tymi przepisami, na które oczekiwali ludzie nieobojętni na ujemne konsekwencje związane z rozwojem alpinizmu, wyrażające się choćby we wzroście liczby wypadków. Regulacje te, a przede wszystkim zarządzenie z 31 VII 1985 r., zastąpiły dawne i niewystarczające już zasady „sztuki taternickiej” oraz wiążące jedynie wewnątrzorganizacyjnie regulaminy PZA. Podobnego rodzaju regulacje wprawdzie można spotkać w niektórych krajach alpejskich, niemniej jednak nie są one tak szczegółowe i tak pełne. Konieczne

zatem wydaje się stworzenie należytych gwarancji dla przestrzegania tych przepisów.

Do podstawowych gwarancji należy zaliczyć funkcjonowanie komisji dyscyplinarnych w klubach i w PZA. W świetle przedstawionych regulacji można uznać, iż każdy przypadek ich naruszenia powinien w założeniu prowadzący spotkać się z odzewem w postaci wszczęcia postępowania dyscyplinarnego, którego rezultatem może być obniżenie stopnia taternickiego lub jego cofnięcie, a nawet wykluczenie z organizacji (co w myśl obecnie obowiązującego prawa wiązać się będzie z zakazem wspinania nawet w skałkach i na obiektach sztucznych). A jak wyglądać będzie sytuacja taterników nie stowarzyszonych i nie podlegających orzeczeniom takich komisji? Już samo wspinanie się przez nich w Tatrach grozi im mandatem karnym, jaki na mocy § 21 rozporządzenia o TPN z 1954 r. może nałożyć personel Parku. Równocześnie osoby takie nie mogą wspinąć się w skałkach ani na obiektach sztucznych. W miejscach tych, jak w każdym miejscu publicznym należy przestrzegać obowiązujących przepisów porządkowych, a ich naruszenie, w tym przypadku polegające na wspinaniu się osób niestowarzyszonych, rodzi sankcje w postaci grzywny lub nagany z art. 54 Kodeksu Wykroczeń.

Ze skałkami i obiektami sztucznymi wiąże się jednak pewna kwestia wskazująca na niedoskonałość regulacji zawartej w zarządzeniu w sprawie uprawiania alpinizmu. Chodzi tu o problem, czy uprawnienia do wspinania się tylko po drogach o stopniu trudności odpowiednim do posiadanej stopnia taternickiego odnoszą się również do skałek, obiektów sztucznych i do wspinania się „na wędkę”? Wydaje się, że z punktu widzenia celu jaki przyswieca alpinizmowi, tj. zdobywania umiejętności do pokonywania coraz to trudniejszych dróg wspinaczkowych, ograniczenia związane z posiadaniem stopnia taternickiego nie powinny się odnosić do „poligonu” wspinaczkowego. Tak należałoby przeprowadzić wykładnię obowiązujących przepisów, oczywiście pamiętając, iż wymagania odnośnie bezpieczeństwa obowiązują także w skałkach i na obiektach sztucznych.

Osobny problem stanowią sprawy odpowiedzialności za wypadki powstałe w związku z uprawianiem szeroko rozumianego alpinizmu. Pozytywną cechą zarządzenia GKKFiS jest to, że wypełnia ono poważną lukę prawną, przed jaką stało sądownictwo polskie. Chodzi tu o możliwość pociągnięcia osoby (np. współpartnera, instruktora, kierownika wyprawy, organizatora akcji ratunkowej) winnej naruszenia zasad bezpieczeństwa do odpowiedzialności karnej za nieumyślne spowodowanie śmierci (art. 152 k.k.) lub nieumyślne uszkodzenie ciała (art. 156 § 3 k.k.). W grę może wejść równoległe odpowiedzialność cywilna, orzeczona przez sąd na skutek pozwu osoby poszkodowanej lub jej rodziny. Brak tego rodzaju przepisów powodował, że

* Nie jest dobrze, gdy dokument tej rangi wda się w zbytne szczegóły techniczne. Jak wykazały niedawne badania, lina nowa lub mało używana zachowuje pełną wartość co najmniej przez 10 lat (T. 2/85 s. 97) zaś w dzisiejszej praktyce skałkowej (a i tatrzańskej) odpadnięcia należą do reguły gry. Pięć lub więcej „lotów” na jednej wspinaczce nie jest niczym niezwykłym, wymóg kasowania liny jest więc całkiem nieźyciowy. (Red.)

dotychczas żaden bodaj wypadek taternicki nie znalazł u nas epilogu w sądzie, natomiast teraz sprawy takie będą już możliwe do przeprowadzenia⁸).

W obliczu wyżej przedstawionych przepisów odnoszących się do uprawiania alpinizmu wydaje się, iż zarówno groźba dolegliwych sankcji karnych i cywilnych, jak i stosowanych równoległe do nich sankcji organizacyjnych powinny przyczynić się do zwiększenia bezpieczeństwa w taternictwie powierzchniowym i jaskiniowym. Widocznym przejawem ich prawidłowego funkcjonowania będzie zmniejszenie się liczby wypadków taternickich, które od lat stawiają środowisko taternickie w niekorzystnym świetle wobec opinii społecznej, co z kolei nie zawsze miało i ma swe uzasadnienie.

¹ Dz. U. nr 34, poz. 181.

² Aktualnie GKkFiT (art. 16 ustawy z 12 XI 1985 r. Dz. U. nr 50, poz. 262).

³ Mon. Pol. nr 27, poz. 197.

⁴ Mon. Pol. nr 30, poz. 208.

⁵ Dz. U. nr 4, poz. 23.

⁶ Dz. Urzęd. GKkFiT nr 9, poz. 46.

⁷ Orzeczenie takie w świetle prawa — Kodeks Postępowania Administracyjnego — jest decyzją administracyjną, od której stronie przysługuje odwołanie do organu wyższego stopnia, a w przypadku decyzji ostatecznej — nawet skarga do Naczelnego Sądu Administracyjnego (art. 207 w zw. z art. 196 § 2 p. 20 k.p.a.).

⁸ O konieczności istnienia „regulaminów taternickich” rangi ustawowej w obliczu możliwej odpowiedzialności karnej i cywilnej za wypadki górskie por. K. Buchała i A. Dobrowolski w „Taterniku” 1/1968.

Wprowadzone w zeszłym roku przepisy prawne w zakresie uprawiania alpinizmu (por. T. 2/85 s. 90) nakładają na alpinistów nowe ograniczenia, celowe wydaje się więc zapoznanie naszego środowiska zarówno z tymi regulacjami, jak i konsekwencjami wynikającymi z ich nieprzestrzegania. Ponieważ teksty poszczególnych zarządzeń są rozproszone, wskazane byłoby zebranie ich i powielenie w formie broszury, przynajmniej na użytek klubów. Pilnie potrzebne jest też opracowanie przez Zarząd PZA komentarza interpretacyjnego, zwłaszcza w tych partiach, gdzie poszczególne paragrafy już zostały wyprzedzone przez życie (np. zakaz wspinania bez asekuracji) czy też wykazują luki lub nawet sformułowania niefortunne, jak np. niedopuszczanie do sztucznych ścian osób niechrześcijańskich, podczas gdy duża część obiektów tego rodzaju funkcjonuje w Europie w szkołach w roli przyrządów rekreacyjnych i gimnastycznych. Autor artykułu ma paroletni staż taternicki, jest przy tym pracownikiem naukowym Instytutu Prawa Administracyjnego i Nauki Administracji UJ.

REDAKCJA

Sprzęt pełnowartościowy

31 lipca 1985 r. weszło w życie zarządzenie Przewodniczącego GKkFiS w sprawie uprawiania alpinizmu (por. s. 2). Falę polemik wzbudził jego załącznik nr 4, a szczególnie paragrafy zawierające postulaty dotyczące sprzętu. Spróbujmy wyjaśnić — kierując się zdrowym rozsądkiem — treść punktów budzących największe emocje.

§ 16.1. Ze względu na szczególne zagrożenie życia zabrania się: 1. prowadzenia działalności z użyciem niepełnowartościowego sprzętu i wyposażenia...

Co to jest „sprzęt niepełnowartościowy”? Zdania są podzielone, słyszy się nawet opinie, że za pełnowartościowy można uważać tylko ten, który posiada atest UIAA. Problem jednak polega na tym, że Komisja Bezpieczeństwa UIAA daje atest zaledwie kilku artykułom: linom (także repsznurom i taśmom), czekanom, karabinkom, kaskom i uprzędom. Przy reszcie rzecz opiera się na zaufaniu do producenta. Niepełnowartościowy będzie natomiast na pewno zardzewiały karabinek, stara petla wisząca w ścianie, zbyt długo używana lina, hak z nadłamanym uchem, tępe raki, uprząż własnej konstrukcji zszyta bawełnianymi nićmi itp.

§ 17 p. 1. Sprzęt używany powinien być sprawny technicznie i mieć odpowiedni atest jakościowy.

Atest — podaję za „Słownikiem wyrazów obcych” PWN — to „świadcstwo zawierające wyniki fabrycznej kontroli technicznej wyrobu przemysłowego”. Wolno zatem przyjąć, iż wyroby produkowane przez przemysł państwowy mają atest, trudno bowiem przypuścić, by w jakimkolwiek zakładzie

zabrakło komórki zajmującej się kontrolą techniczną. Sytuacja komplikuje się przy warsztatach rzemieślniczych. Tu jednak ustawodawca przewidział w punkcie 2, iż „sprzęt nie mający atestu winien uzyskać akceptację Komisji Bezpieczeństwa Górskiego PZA”. W skład Komisji wchodzi zespół rzeczoznawców, kierowany przez Henryka Mierzejewskiego (m.in. starszego instruktora alpinizmu), dokonujący badań — w miarę możliwości według kryteriów zalecanych przez UIAA — egzemplarzy sprzętu produkowanego przez rzemiosło. Jak dotąd, niewielu rzemieślników wykazało zainteresowanie przepisami zarządzenia, stąd zaledwie 4 artykuły (producent Roman Then z Bielska-Białej) uzyskały akceptację Komisji:

młotek uniwersalny,
młotek skalny,
karabinek lekki model PZA 2500,
karabinek lekki model PZA 2200.

Jestem jak najdalej od bezkrytycznego akceptowania wszystkiego, co rodzi się w naszych fabrykach, zakładach rzemieślniczych czy wreszcie prywatnych mieszkaniach. Nie znaczy to jednak, że w oparciu o swobodną interpretację zarządzenia należałoby wyłączyć z użycia wszystkie krajowe produkty w zakresie sprzętu alpinistycznego. Zachowajmy więc umiar i rozsądek w ocenytywanym wspomnianego dokumentu. Nie dokonał on przecież żadnego przewrotu, co najwyżej przypominał fatalną sytuację sprzętową, w jakiej polski alpinizm pozostaje od wielu lat.

Tadeusz Solicki
Komisja Bezpieczeństwa Górskiego PZA

Film górski w Trydencie



Piero Zanotto, od wielu lat dyrektor Międzynarodowego Festiwalu Filmów Górskich i Eksploracyjnych w Trydencie (Trento), jest krytykiem filmowym z Wenecji i — jak sam mawia — jedyną górą, jaką pokonuje codziennie, jest łuk mostu Rialto nad Canale Grande. Jest jednak znawcą gór nie gorszym niż kina, a program i nastrój imprezy trydenckiej są tego wymownym dowodem. Festiwal dożył już zresztą „wieku chrystusowego” i owe 34 lata same w sobie świadczą o trwałości i potrzebie imprezy, a także o wierności jej sponsorów — władz miejskich Trydentu i Club Alpino Italiano. Wierności docho- wuje również publiczność: wielkie nowocześnie wnętrza Auditorium Santa Chiara wypełnia się co wieczór młodocianymi widzami, gotowymi oglądać filmy do północy.

Jakie filmy? Przede wszystkim sportowe: alpinizm, wspinaczka skałkowa, alpinizm marciarski, narty „mono”, narty śladowe, narty „ekstremalne”, spływy kajakowe dzikimi rzekami, speleologia. Także filmowe monografie regionów górskich, folklor, etnografia, przyroda. Także film eksploracyjny, niekoni- ecznie górski. I film fabularny, jednak tyl- ko taki, w którym góry odgrywają istotną rolę dramaturgiczną. Konkurs i przeglądy dawnych osiągnięć, pokazy informacyjne, osobny konkurs filmów video — bez jury ale z nagrodą publiczności — pokazy i przeglą- dy tematyczne, np. w zeszłym roku filmy o antyfaszystowskim ruchu oporu w górskich regionach Włoch.

Oprócz filmów — wiele innych imprez. Doro- czna uroczystość wręczenia nagrody ITAS za najlepszą książkę o tematyce górskiej. Doro- czne międzynarodowe spotkanie alpinistów „przy okrągłym stole”, w tym roku (1986) poświęcone problematyce zawodów wspinacz- kowych („co na to wspinacze, a co organiza- cje alpinistyczne?”). W roku zeszłym wśród uczestników spotkania byli Riccardo Cassin, Pierre Mazeaud, Georges Livanos, Yvette Vaucher, Lorenzo Lorenzi, a także Yves Bal- lu, autor wyróżnionej nagrodą L'Academie Française książki „Les alpinistes”, która wzbudziła żywą dyskusję we francuskim świecie alpinistycznym. Od paru lat festi- walowi towarzyszy „salon alpinisty i wy- cieczkowicza” — wystawa ekwipunku tury- stycznego i wspinaczkowego, z udziałem wszystkich liczących się producentów Włoch. Są i inne wystawy — w roku zeszłym było ich 5, w tym dwie przysłane przez Museo Nazionale della Montagna „Duca degli Ab- ruzzi”. W ramach 34. Festiwalu (1986) zorga- nizowano po raz pierwszy Międzynarodo- wy Konkurs Fotografii Górskiej i Wypra- wowej, ograniczony jednak tylko do profe-

sjonalistów — warto by zwrócili na niego uwagę nasi specjaliści.

Poziom filmów — cóż, różnie z nim bywa. Film jest widowiskiem i sport jest widowi- skiem. Przewaga czystego widowiska spor- towego jest ogromna. Lekkie nowoczesne ka- mery są jakby stworzone do filmowania naj- bardziej karkołomnych wyczynów górskich, ogląda się to z przyjemnością i — zapomina zaraz po wyjściu z sali: apoteoza gwiazd wspinaczki skałkowej, rekordzistów alpejs- kich ścian, akrobatów marciarskich zjazdów. Wesoło i ładnie, jednak na takim tle wyróż- niają się tylko filmy, których autorzy mają własny pogląd na współczesne tendencje w sporcie górskim i umieją nadać owym po- glądom interesujący kształt filmowy. W ze- szłym roku najciekawsze okazały się filmy Gerharda Baura z RFN. Jego „Mont Blanc — droga na szczyt” jest konfrontacją historii i dnia dzisiejszego, z dyskretnymi akcentami niepokoju o współczesny kształt masowej turystyki górskiej. Nagrodę za najlepszy film alpinistyczny zdobyła jednak jego „Decyzja”:

NIE TYKO TRYDENT

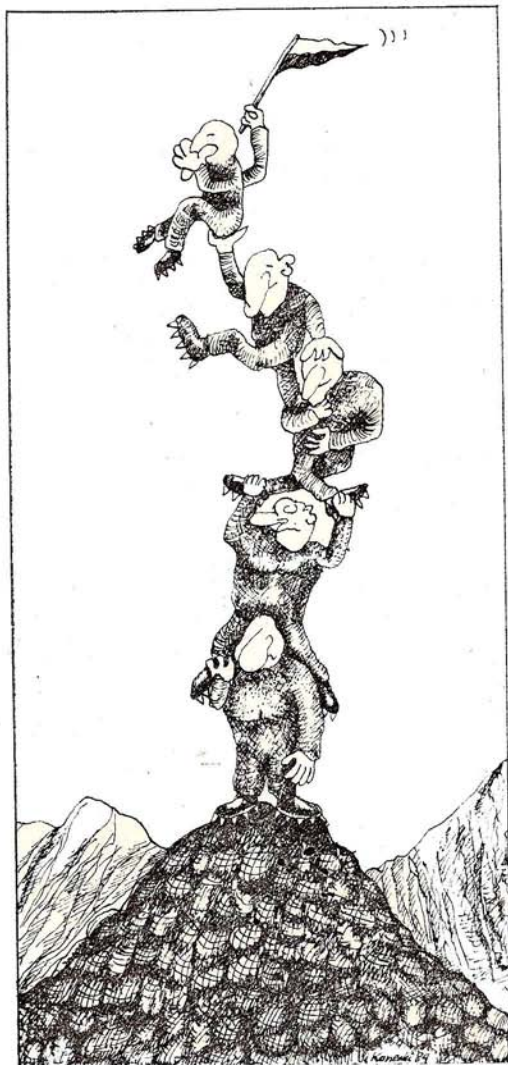
Festiwal w Trento, organizowany od r. 1952, jest najstarszym z światowych przeglą- dów filmów górskich, pozostaje też najpo- ważniejszym z nich, dawno już jednak nie jest jedyny. Jako drugi z kolei ruszył fe- stiwal w Diablerets w Szwajcarii, w tym ro- ku już 17. Jedenaście roczników ma za sobą festiwal w Banf w Kanadzie, w samym tylko roku 1983 zainicjowano trzy festiwale: Ski et Montagne w Paryżu, fil- mów górskich w Tbilisi w ZSRR i Kina Górskiego w Torelló w Hiszpanii. Dużą po- pularnością cieszy się festiwal filmów gór- skich w Kendal w Anglii, któremu patro- nuje Chris Bonington, mamy nawet festiwal w naszej części Europy: jesienią br. od- będzie się po raz 6 Festiwal horelezeckich filmu w Cieplicach „nad Metuji” w CSRS. W Lublanie organizowane są przeglądy amatorskiego filmu górskiego (od zeszłego roku z udziałem międzynarodowym), a we Francji — filmów jaskiniowych. Bardzo czę- sto ten sam film zdobywa nagrody na ko- lejnych imprezach, jak ostatnio twórczość Baura czy film Jean-Paula Janssena „La vie en bouts des doigts”. Dodajmy też, że od paru lat pod skrzydłami UIAA działa w Diablerets Międzynarodowe Centrum Dy- strybucji Filmów Górskich „DIFIM”. (jn)

wejście Franza Seebergera wschodnim filarem Piz Palü jest raz po raz przerywane „wyobrażonymi” fragmentami szalonego zjazdu na nartach pionowymi ścianami szczytu. Toczy się gra między odpowiedzialnością a brawurą, między rozumowaniem logicznym a pokusą ryzyka; może między życiem a śmiercią? I ciekawe: gdy w finale Baur, przeciwstawiając się filmowej modzie, pokazuje jak Seeberger rezygnuje z planowanej ściany i kieruje swoje „kastle” granią ku łagodniejszym stokom — młoda publiczność trydencka długo wyraża oklaskami swą aprobatę.

Kryzys reportażu himalajskiego trwa nadal. To nie są na dobrą sprawę reportaże, to są filmowe kroniki wypraw, stenogramy w obrazach, pokazujące etap po etapie te same sceny, zdarzenia, gesty (wyjętek, jakim była wyróżniona parę lat temu Grand Prix festiwalu czechosłowacka „Kangchendzönga” Jána Piroha, potwierdza tylko smutną regułę). Dziś już wydaje się oczywiste, że autor reportażu musi jechać w Himalaje tylko w tym celu, by zrealizować film, a nie by filmować co popadnie. I jechać z gotową, przemyślaną, daleką od protokolarnej koncepcją, zamiast dorabiać ją ex post, biedząc się po powrocie z montażystką nad górą taśmy zawierającej „wszystkiego po trochu”.

W r. 1985 podzielił widownię film Wernera Herzoga „Gasherbrum — góra świetlista”, nakręcony z okazji trawersowania w r. 1984 Gasherbrumów II i I przez Reinholda Messnera z Hansem Kammerlanderem. Herzoga interesuje jednak nie tyle ów wyczyn, ile sam Messner: po co się wspina, jakie ma cele życiowe, jaką cenę płaci za swoje pasje. Kiedy Messner opowiada o tragedii z Nanga Parbat, zakończonej śmiercią jego młodszego brata — płacze i jego ukrytą w dłoniach twarz Herzog pokazuje w długiej, wytrzymanej scenie. Część krytyki i publiczności uznała to za ekshibicjonizm, a nawet za cyniczny efekt komercyjny. Dyskusja na ten temat wydała mi się jednak mało istotna wobec faktu, że dokumentalny film Herzoga jest jakby brulionem, spisem znaczących motywów do pełnometrażowego filmu fabularnego „Łzy bogów”, który na kanwie tragedii z Nanga Parbat zamierza nakręcić tego lata na K2 z Klausem Kinskim w roli głównej i Messnerem jako konsultantem. Czyżby kino niemieckie, w osobie jednego z najwybitniejszych swoich reżyserów, miało po długiej przerwie nawiazać do twórczości Arnolda Fancka i jego „szkoły fryburskiej” z lat dwudziestych i początku trzydziestych?

Jeszcze jedna uwaga: ciągle brak liczących się polskich filmów poświęconych sportom górskim. W dawniejszych latach aż trzykrotnie zdobywaliśmy tu nagrody za najlepszy zestaw przedstawionych w konkursie filmów. I teraz zdarza się czasem jakaś nagroda, ale nie ma już aury oczekiwania na polskie filmy, mało kto na nie liczy. Mimo tak wielkich sukcesów naszych alpinistów.



Rys. Marek Konecki

MY W KARYKATURZE

Nasz współpracownik, Marek Konecki, prowadzi ożywioną działalność wystawową rysunku satyrycznego. W maju 1985 r. wystawił swe prace w piwnicy PKG w Warszawie, w październiku tego roku uczestnicząc w wystawie zbiorowej w Muzeum Karykatury. W okresie lutego — kwiecienia 1986 odbyła się jego wystawa w schronisku PTK na Polanie Chochołowskiej (pierwsza tego rodzaju w Tatrach), w marcu zaś druga — w siedzibie KW w Gdańsku w pięknej Białej Baszcie. W maju i czerwcu 1986 r. rysunki Marka Koneckiego eksponowano w Pracowni Sztuk Plastycznych na Krupówkach w Zakopanem, a inną serię — w Domu Kultury w Rzeszowie, gdzie współorganizatorem był Rzeszowski KW. W tym czasie prace jego znalazły się znowu w Muzeum Karykatury a także na Międzynarodowej Wystawie Rysunku Satyrycznego „Satyrykon 86” w Legnicy. Wystawiane rysunki spotykają się z dużym zainteresowaniem, nierzadko też z krańcowymi ocenami (kupię za każdą cenę — szarganie świętości gór i szlachetnego taternickiego sportu).

Krakowska wyprawa na Gangapurnę



W wyprawie Krakowskiego Akademickiego Klubu Alpinistycznego w Himalaje udział wzięło 13 osób: Mikołaj Czyżewski, Janusz Hariasz, Kazimierz Kiszka, Ryszard Knapczyk, Andrzej Kulaga, Leszek Kozik, Wojciech Masłowski (kierownik), Jan Orłowski, Zbigniew Płatek, Andrzej Samolewicz (kierownik sportowy), Marek Szpot (lekarz), Zbigniew Zobniów oraz — jako gość — Pierre Bergeron z Kanady. Nepalskim oficerem łącznikowym był Ganendra Subba, sirdarem — Mohan Sunuwar.

Po podróży autobusem z Katmandu do Pokhary wynajęliśmy 60 tragarzy, którzy 8 września wyruszyli w ulewny deszczu w kierunku Południowego Sanktuarium Annapurny. Z trudem radziliśmy sobie z nimi, ale zgodnie z planem 13 września dotarliśmy do Machhapuchare Base Camp (ok. 3500 m). Tu, niestety, okazało się, że dojście do Wschodniego Lodowca Annapurna mormalną drogą nie jest możliwe, gdyż ścieżka wiodąca ciasnym wąwozem jest całkowicie zalana wodą. Po usilnych poszukiwaniach udało się odnaleźć „drogę” jedną ze ścian wąwozu, wymagała ona jednak poręczowania. Założono 160 m lin przy zejściu na lodowiec, a 240 m na trawersie ściany wąwozu. Ten prawdziwy „tor przeszkód” uzupełniało stanowisko do zjazdu i opuszczania ładunków w trudnym miejscu oraz przeprawa po zaimprovizowanym z lin i bloczków moście przez kolejny wężbrany potok. Trzeba było nauczyć tragarzy zasad asekurowania się na poręczówkach i pilnować, by nie doszło do wypadku. Niestety, było ich już tylko 7, inni zrezygnowali zniechęceni zimnem i trudnościami.

Bazę (ok. 4000 m) osiągnęliśmy 15 września, a wahadłowy transport bagażu zakończono 5 dni później. Przy krawędzi lodowca na wysokości 4300 m założony został depozyt. W dniu 21 września u stóp olbrzymiego skalnego uskoku stanął obóz I (5000 m). Lodo-

wiec wyżej okazał się bardzo niedogodny, co skierowało naszą uwagę na ów uskok skalny, wyżej przechodzący w śnieżną grań. Po rozpoznaniu, zdecydowaliśmy się właśnie tędy poprowadzić naszą drogę, odbiegając od planowanego powtórzenia drogi niemieckiej, omijającej uskok od prawej strony. W dniu 25 września zaporeczowano skalny próg wprowadzający na rozległe pole śnieżne, u stóp właściwego urwiska, które 27 i 28 września sprawnie zaporeczowali Bergeron, Czyżewski i Knapczyk. Droga wiodła ciągiem żłebów przechodzących miejscami w kominy wypełnione kruszyną, co zmuszało do dużej uwagi. Znalezione odcinki starych poręczówek świadczyły o tym, że szła już tędy któraś z poprzednich wypraw.

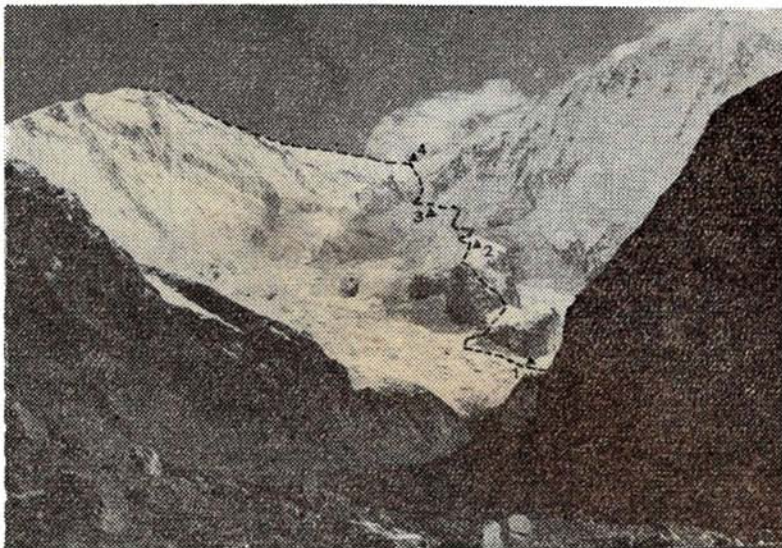
28 września został założony na wygodnej już, śnieżnej grani obóz II (5700 m), a 5 października — obóz III (6500 m). Wydawało się, że za parę godzin góra będzie nasza. Tymczasem w nocy załamała się pogoda, a gwałtowny opad śniegu uwięził w obozie III Czyżewskiego i Knapczyka. Skąły chronił wprawdzie namiot przed lawinami, ale droga powrotna była nie do przebycia. Kolejne dni przynosiły nowe fale opadów. Ich obfitość była przerażająca — dopiero później dowiedzieliśmy się, że chodziło o anomalię pogodową, która przyczyniła się do wielu tragedii w całych Himalajach. 8 października, wykorzystując krótkie rozpozgodzenie, Czyżewski



Uczestnicy wyprawy w bazie — od lewej: Kiszka, Masłowski, sirdar Mohan Sunuwar, Płatek, Hariasz, Zobniów, Bergeron, Knapczyk, Kulaga, Orłowski, Samolewicz i Kozik. Brak na zdjęciu Szpota i Czyżewskiego.

Fot. Zbigniew Płatek

Widok na Gangapurnę (7455 m) od południa. Oznaczono drogę wejścia i obozy 5000, 5700, 6500 i 6850 m. Po prawej masyw Annapurny III (7555 m).



Fot. Zbigniew Płatek

i Knapczyk z pomocą idącej z dołu trójki zeszli do obozu II. Niestety, dalsze opady uwięziły teraz całą piątkę w obozie II, tak że do bazy powróciła ona dopiero 11 października. Chłopcy stwierdzili przy okazji, że obóz I i depozyt praktycznie nie istnieją, zasypane grubą warstwą śniegu.

Pogoda poprawiła się dopiero 13 października. Wtedy też odkopaliśmy obozy I i II i rozpoczęliśmy przecieranie szlaku w kierunku obozu III. Z powodu bardzo wolnego tempa marszu w głębokim śniegu, założono przejściowy obóz IIa (6100 m) i dopiero 20 października pierwszy zespół dotarł do miejsca obozu III, którego mimo mozolnych prób nie udało się już odszukać. Masy śniegu zmieniły konfigurację terenu i pochłonęły cenne wyposażenie.

Nazajutrz rozpoczął się jakże szczęśliwy dla nas okres pięknej, słonecznej pogody. 21 października Bergeron, Kiszka i Knapczyk zaporeczowali 260 m śnieżno-lodowej deski, wyprowadzającej na przełęcz 6850 m. Następnego dnia Orłowski, Płatek i Samolewicz założyli dalsze 220 m lin i po osiągnięciu przełęczy ustawili namiot obozu IV (6850 m), wracając do „trójki”. Na noc w „czwórce” pozostali Bergeron, Kiszka i Knapczyk, którzy 23 października 1985 roku wyruszyli wschodnią granią w stronę szczytu. O godzinie 14.40 stanęli na wierzchołku Gangapurny (7455 m). Była to chwila wielkiej radości dla wszystkich uczestników wyprawy. Tymczasem do obozu IV (po przygodach z lawinami spowodowanymi przez wiszący opodal przełęczy serak) dotarli Orłowski, Płatek i Samolewicz. W dniu 24 października i oni zameldowali o osiągnięciu wierzchołka — już o godzinie 11.40. Ponieważ pogoda była nadal dobra, do akcji szczytowej włączyli się też przebywający w obozie II Hariasz, Maślowski i Zobniów. Umożliwili to będący w świetnej formie Orłowski, Płatek i Samole-

wicz, którzy zeszli od razu do obozu II, zwalniając miejsce w „trójce”. 26 października, po nocy spędzonej w obozie na przełęczy, wyruszyliśmy w stronę szczytu. Niestety, z wysokości 7000 m zawrócił osłabiony Zbyszek Zobniów. O godzinie 12, przy pięknej, bezwietrznej pogodzie stanęliśmy z Januszem Hariaszem na szczycie. Byliśmy uradowani, w ten sposób bowiem aż 8 osób osiągnęło wierzchołek, a przecież zaledwie tydzień wcześniej mieliśmy wątpliwości, czy komukolwiek uda się choćby wejść na przełęcz.

Po zwinięciu obozu IV zeszliśmy do „trójki”. Dalszy powrót był utrudniony, gdyż u Zobniowa wystąpiły objawy choroby wysokościowej. Dzięki ambitnej postawie zmagającego się ze słabością Zbyszka zespół nasz wrócił do bazy 28 października.

Wyprawa nasza dokonała siódmego, ósmego i dziewiątego wejścia na Gangapurnę, będąc szóstą w ogóle wyprawą, która osiągnęła ten szczyt. Tylko 5 uczestników działało uprzednio w górach wysokich, z czego tylko dwóch atakowało poważne cele. Obrona trasa i taktyka wejścia były na miarę możliwości wszystkich uczestników, co zapewniło tak szczęśliwy finał. Nie bez wpływu na sukces było konsekwentne przestrzeganie zasady działania zespołowego, a także dobra atmosfera panująca w ekipie. W dniu 31 października zwinęliśmy bazę i ku dolinom ruszyła karawana kaszlących, kulejących i brudnych, ale bardzo szczęśliwych ludzi...

Gangapurna (7455 m), Annapurna Himal. Despite very bad weather a 13-member expedition from Kraków managed to place 8 men on the summit — by the south side via the rock buttress in the lower section. Camps were established at 5000, 5700, 6500 and 6850 m. Ascents: on October 23, 1985, Pierre Bergeron from Canada, Kazimierz Kiszka and Ryszard Knapczyk; on October 24 Jan Orłowski, Zbigniew Płatek and Andrzej Samolewicz; on October 26 Janusz Hariasz and Wojciech Maślowski (leader of the party).

Himalchuli North

ponad morzem chmur



Fot.
Marek Trzeciakowski

W sezonie pomonsunowym 1985 r. w Gurkha Himal, w rejonie Manaslu prowadziła działalność wyprawa Klubu Wysokogórskiego z Wrocławia, której celem był nie zdobyty szczyt Himalchuli North (7371 m). Ekipa liczyła 12 osób, a tworzyli ją: Tadeusz Bryś, Andrzej Chruściel (lekarz), Janusz Fereński, Kazimierz Głazek, Zdzisław Jakubowski, Jacek Klincewicz, Wiesław Panejko (kierownik), Józef Stępień, Edward Zaczyński, Marek Trzeciakowski (fotograf), Tadeusz Barbacki i Marian Sajnog (kierowcy).

Kłopoty trapiły nas na każdym kroku — przy załadunku samochodu w Gdańsku, przy przelocie ekipy (brak rezerwacji wskutek defektu komputera), przy odbiorze samochodu w Bombaju, gdzie trzeba było 10 dni starań i 64 podpisów urzędniczych, by go z portu wydobyć. W dniu 20 września 1985 r. opuściliśmy Katmandu i dojechaliśmy do Dhumre. Tu rozpoczęła się karawana, jed-

Baza wyprawy (4200 m) po pierwszym załamaniu pogody.

Fot. Wiesław Panejko



nakże już pierwszego dnia marszu uciekli nam sirdar a wraz z nim 30 tragarzy, tj. połowa przywiezionych przez nas z Katmandu. Wobec opóźnienia wyprawy zdecydowaliśmy się zorganizować karawanę na własną rękę, a poprowadził ją „biały sirdar”, wyłoniony z naszej ekspedycji. Z Dhumre do Bothe Odar dojechaliśmy 2 traktorami, dalej zaś przez Palesangu, Taskar, Bare Pokhari idąc grzbietem górskim, dotarliśmy do Meme Pokhari, gdzie 29 września założyliśmy bazę (4200 m) u stóp Himalchuli Main i West.

Po otrząśnięciu się z deszczu i pijawek, w ciągu 2 dni urządziliśmy bazę. Wierzchołek Himalchuli North nie był nawet widoczny z bazy, założyliśmy więc bazę wysuniętą na wysokości 4600 m (3 października). Następnego dnia Klincewicz, Panejko i Zaczyński założyli obóz I (5100 m) na przegięciu filara południowo-zachodniego. Niestety, jak się okazało był to ostatni, trzeci dzień pogody. Przez radio dowiedzieliśmy się o tajfunie w Bangladeszu, który spowodował załamanie się pogody w Himalajach. Wiele ekspedycji zachodnich opuściło Himalaje, jedna nawet — szkocka na Annapurnę III — nie osiągnęła bazy. Oczekując na poprawę pogody myśleliśmy o statystyce, według której na 17 wypraw na główny szczyt Himalchuli (7893 m) tylko 4 zakończyły się sukcesami, z tego zaledwie 1 w sezonie pomonsunowym. Parokrotnie jeszcze osiągalni byliśmy bazę wysuniętą, donosząc sprzęt i żywność, wciąż jednak występowały opady śniegu. Doprowadziło to do zasypania i załamania namiotu w tej bazie. Po odkopaniu go okazało się na dodatek, że zwierzęta skorzystały z naszej nieobecności i wyjadły część zapasów.

Po miesięcznym oczekiwaniu na zmianę pogody i wobec zbliżania się końca terminu naszego zezwolenia stwierdziliśmy, że szansę zdobycia szczytu mamy tylko w jednym przypadku: jeśli zaatakujemy go systemem alpejskim — z założeniem, że załamanie pogody obejmuje tylko dolne partie gór. W dniu 29 października Bryś, Klincewicz i Panejko rozpoczęli wspinaczkę systemem alpejskim, idąc południowo-zachodnim filarem. Nasze założenia okazały się słuszne i po przebicciu się przez warstwę chmur wreszcie zobaczyliśmy słońce. Minęliśmy zasypany



Zdzisław Jakubowski po przejściu drugiej bariery seraków — na wysokości 6300 m.

Fot. Wiesław Panejko

dwumetrowym śniegiem obóz i pod pierwszą barierą seraków założyliśmy biwak (5850 m). Następnego dnia próbowaliśmy pokonać barierę, lecz z powodu bardzo silnego wiatru i utraty części masztów namiotu, wycofaliśmy się na poprzednie miejsce biwakowe. Tam Tadeusz Bryś został zastąpiony przez

Zdzisława Jakubowskiego, który doniósł rezerwowe maszty.

31 października, wspinając się w nowym składzie stromą granią, pokonaliśmy pierwszą barierę seraków, a następnie — po przetraversowaniu śnieżnego plateau — drugą barierę (80 m pionowego lodu). Drugi biwak (6600 m) wypadł nam u podstawy kopuły szczytowej Himalchuli West. O godz. 4 rano w dniu 1 listopada ruszyliśmy stąd do ataku szczytowego. Niestety, po 3 godzinach marszu z powodu odmrożeń musiałem się wycofać do pozostawionego namiotu. Jacek Klincewicz i Zdzisław Jakubowski kontynuowali podejście i o godz. 10.25 osiągnęli wierzchołek Himalchuli North (7371 m). Na szczycie nie znaleźli jakichkolwiek śladów po wyprawie południowokoreańskiej, o której wejściu zresztą nie wiedzieli. Z drugiego biwaku, zjeżdżając 80 m na linie i zbiegając, dotarliśmy następnego dnia do bazy, której likwidacja nastąpiła 10 listopada.

Jak później podało radio nepalskie, 6 dni przed nami szczyt Himalchuli North został zdobyty przez alpinistę z Korei Południowej oraz 3 Szerpów, drogą od północnego wschodu. Jeśli wyprawa ta była na szczycie, co wydaje się mało prawdopodobne, nasze wejście byłoby drugim z kolei.

Himalchuli North (7371 m). A 12-member party from Klub Wysokogórski Wrocław made the second (first?) ascent of the summit, climbing it from the southwest side. Base Camp (4200 m) on September 29, Advance B.C. (4600 m) on October 3. Next day a camp at 5100 was placed but it was then crashed by 2m snow and the final attack was made alpine style. On November 1, 1985, Jacek Klincewicz and Zdzisław Jakubowski reached the summit finding no a trace of the South Korean ascent of October 26.

Zakopanie na Cho Oyu 1986

Cho Oyu — polska góra, chyba tak będzie można mówić o tym szczycie po trzeciej, zakończonej sukcesem polskiej wyprawie. Tym razem była to wyprawa KW Zakopane, złożona z 8 uczestników: R. Gajewskiego (kierownik), M. Danielaka, L. Korniszewskiego (lekarz), K. Oleksowicza, A. Osiki, M. Pawlikowskiego, P. Konopki oraz — z KW Katowice — Z. Terlikowskiego.

Nasz plan przewidywał zrobienie nowej drogi (w stylu alpejskim) na południowo-zachodniej ścianie — z zejściem uprzednio przygotowaną drogą normalną. Te zamiary pokrzyżowała nam amerykańska „Cho Oyu Cowboys Expedition”, która miała zezwolenie na południowo-zachodnią ścianę (my jedynie na południową), dzięki czemu uważała, że jest jedyną uprawnioną do działania od strony lodowca Gyabrag. Widząc nasze szybkie postępy „kowboje” wystosowali donos do Ministerstwa Turystyki. W tej sy-

tuacji zwinęliśmy nasze obozy II i III (6800 m) i przenieśliśmy się pod dziewiczy filar, przebywając pod nim do końca działalności. Gdyby policzyć wszystkie obozy, które w czasie wyprawy zakładaliśmy i zwiżyliśmy — byłyby ich 8. Jednak do wejścia na Cho Oyu posłużyły nam 4: baza wysunięta na wysokości 6000 m oraz — już na filarze — obozy na 6700, 7150 i 7600 m.

Na szczyt weszło nas 5: w dniu 29 kwietnia Ryszard Gajewski i Maciej Pawlikowski, 1 maja samotnie Piotr Konopka i 3 maja — Marek Danielak i Andrzej Osika. Filar południowo-zachodni jest formacją wybitną. Ma charakter głównie lodowy z ok. 200-metrową ścianą skalną na wysokości 7000 m, którą trzeba było pokonać wprost (III, poręczówki). Warto dodać, że Maciej Pawlikowski stanął na Cho Oyu po raz drugi i ma już na tym szczycie 2 nowe drogi.

Andrzej Osika

Zimowe wejście na Kangchendzöngę

Zimowego wejścia na trzeci szczyt Ziemi (8586 m) próbowano dotąd tylko raz: w styczniu 1985 r. Amerykanin dr Chris Chandler zaatakował go od północy w trójosobowym zespole. Ambitne przedsięwzięcie zakończyło się tragicznie: Chandler zmarł w wyniku ostrej choroby górskiej, zaś jego żona i towarzyszący jej Szerpa odnieśli poważne odmrożenia.

W wyprawie KW Gliwice zimą 1985—86 udział wzięli: Piotr Bednarczyk, Andrzej Czok, Grzegorz Fligel (wszyscy KW Gliwice), Artur Hajzer (KW Katowice), Robert Janik (lekarz, GOPR), Zdzisław Kiszela (KW Zakopane), Julian Kubowicz (kierowca, KW Gliwice), Jerzy Kukuczka (KW Katowice), Alexandra i Casimir Lorentz (USA), Andrzej Machnik (kierownik, KW Gliwice), Marc Palten (Berlin Zachodni), Krzysztof Pankiewicz (KW Łódź), Jose Luiz Pauletto (Brazylia), Przemysław Piasecki (KW Poznań), Bogusław Probulski (KW Zakopane), Michael Skorupski (Wielka Brytania), Zbigniew Terlikowski (KW Katowice), Krzysztof Wielicki (KW Katowice) i Ludwik Wilczyński (KW Toruń). Atak przeprowadziliśmy drogą pierwszych zdobywców, od południowego zachodu.

Konieczność improwizacji

Wyprawa rozpoczęła się niefortunnie: statek PLO m/s „Władysławowo” wiozący wyprawową ciężarówkę wraz z 70 procentami sprzętu i żywności spóźnił się o 2 miesiące (!) i spodziewany był w Bombaju pod koniec listopada. Mając na uwadze pogarszanie się w ciągu grudnia warunków na ścieżkach wiodących pod Kangchendzöngę, a jak wiadomo droga nie jest tam wcale łatwa, zdecydowaliśmy się nie czekać z założonymi rękoma. Wyprawa została podzielona na 2 grupy. Pierwsza z nich — Czok, Machnik, Pankiewicz, Janik, Piasecki, Probulski, Terlikowski, Wilczyński, Lorentzowie, Palten, Pauletto i Skorupski — dysponując małą częścią sprzętu i żywności, wysłaną w październiku do Delhi jako cargo lotnicze, przystąpiła w Katmandu do przeformowania wyprawy tak, by mogła ona samodzielnie działać w górach przez okres ok. miesiąca, nie czekając na wsparcie wyposażeniem znajdującym się na ciężarówce. Grupa druga (5 osób) — Bednarczyk, Fligel, Hajzer, Kubowicz i Kiszela — miała wydobyc samochód z Bombaju i ścigać grupę pierwszą co koń mechaniczny wyskoczy.

Po niemiłosiernej miotaninie w Katmandu, 25 listopada grupa pierwsza wyruszyła do



Fot. K. Pankiewicz

Ilam. Dzięki energicznemu przegrupowaniu wyprawy, opóźnienie nie było zbyt duże, przepadł jednak cały wysiłek włożony w misterne przygotowanie wyposażenia w kraju. Wszystko, co się działo od tej pory, było już tylko błyskotliwą improwizacją, w której, jak wiadomo, Polacy nie są najgorsi. Karawana obyła się bez przykrych komplikacji, które były udziałem polskiej wyprawy w 1978 roku, jak i wielu innych wypraw zdążających pod Kangchendzöngę. Dzięki sirdarowi Ang Kamiemu, którego namówiliśmy do współpracy już 2 lata wcześniej, nasz marsz miał przebieg gładki: w ciągu 16 dni od opuszczenia Ilam dotarliśmy do Ramser (4560 m), ostatniego miejsca biwakowego przed lodowcem Yalung. Dopiero tu tragarze znarowili się i porzucili wyprawę. Ze 100 kulisów pozostało tylko 10 chętnych do noszenia po lodowcu Yalung. W tej sytuacji bazę założyliśmy w Ramser, zaś u stóp samej góry powstać miała baza wysunięta. Wyszukaniem miejsca pod nią zajęli się Czok, Piasecki, Pauletto i Skorupski, którzy oderwali się od karawany już w Yamphudin. Ostatecznie baza została założona w Ramser 9 grudnia, zaś zaczątek bazy wysuniętej na lodowcu (5000 m) — 10 grudnia. Oba te punkty dzieliły 2 etapy karawanowe, z biwakiem w tzw. Glacier Camp. Począwszy od 9 grudnia grupa tragarzy rozpoczęła wahadłowy transport sprzętu i żywności do bazy wysuniętej.

Stają cztery obozy

Korzystając z dobrej pogody i sprzyjających warunków, rozpoczęliśmy energiczną akcję do góry. Rozbudowa bazy wysuniętej kontynuowana była stopniowo — ostatecznie stanęło w niej 9 namiotów typu Gac, kuchnia pod spadochronem oraz namiot dla tragarzy. W Ramser we dwójkę z Terlikowskim zapakowaliśmy sprzęt i żywność tak, by nawet rozrzucenie ładunków po lodowcu nie mogło doprowadzić do zahamowania działalności. 15 grudnia, po uprzednim zaporeczowaniu Pierwszego Lodospadu, został założony obóz I (6200 m — Czok, Janik, Pankiewicz, Piasecki, Probulski i Skorupski). W dniu 19 grudnia, już powyżej Drugiego Lodospadu, Czok, Pankiewicz, Piasecki i Skorupski założyli obóz II (6800 m). W tym czasie (17 grudnia) do ekipy dołączyli Kukuczka i Wielicki, przeska-

kując z jesiennej wyprawy na południową ścianę Lhotse. 23 grudnia dotarła z 70 ładunkami grupa druga. Na jej spotkanie z bazy wysuniętej zeszli Czok, Janik, Machnik, Skorupski i Terlikowski, a także opuszczający wyprawę (koniec urlopów) Lorentzowie. W tym czasie Kukuczka i Wielicki dokonali wypadu do obozu II, zaś Pauletto, Probulski i Wilczyński zostawili powyżej niego depozyt.

Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy w dwóch grupach — w obu bazach, głównej i wysuniętej. 26 grudnia załamała się gwałtownie pogoda. Szalejąca zawierucha powaliła część namiotów w obu bazach i pokryła lodowiec grubym kożuchem śniegu. 29 grudnia, miejscami ryjąc po pas, do „jedynki” wyruszyli Hajzer, Machnik, Skorupski i Terlikowski, nie dotarli do niej jednak. Następnego dnia poszły dalsze zespoły. W dniu 1 stycznia 1986 r. tuż przed Wielkim Tarasem powstał prowizoryczny obóz III (Pankiewicz, Pauletto, Probulski i Wilczyński), który następnego dnia Czok, Kukuczka, Piasecki i Wielicki przenieśli na wysokość 7400 m. Tymczasem z obozu II do bazy sprowadzony został chory Pauletto (Hajzer, Machnik, Skorupski i Terlikowski). W dniu 3 stycznia u wylotu kuluaru spadającego z grani szczytowej stanął obóz IV (7800 m — Czok, Kukuczka, Piasecki i Wielicki), w którym pozostali na noc Kukuczka i Wielicki w nadziei przeprowadzenia ataku szczytowego. Niestety, pogorszenie pogody zniweczyło ten zamiar.

Piątego stycznia pogoda znowu poprawiła się. Nazajutrz wyruszyli do góry Machnik, Skorupski i Terlikowski, ale na Pierwszym Lodospadzie natknęli się na ogromne zawa-

lisko i resztę dnia spędzili na poręczowaniu trasy od nowa. Robotę dokończyli nazajutrz Czok, Kukuczka, Piasecki i Wielicki. 10 stycznia wieczorem w dwóch najwyższych obozach znalazło się 9 gotowych do ataku wspinaczy: Czok, Kukuczka, Wielicki i Piasecki w „czwórce” oraz Hajzer, Pankiewicz, Probulski, Skorupski i Wilczyński w „trójce”.

Wysoka cena zwycięstwa

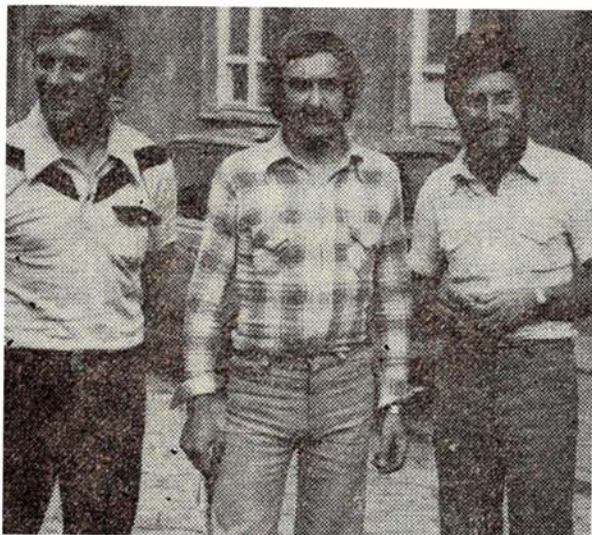
Od rana następnego dnia baza wysunięta była na nasłuchu, gdyż zespół szczytowy miał wziąć z sobą radiotelefon. Pogoda była dobra, ale „Klimiek” wciąż milczał. Wreszcie o 14.45 ożył, wiadomość jednak była zgoła nieoczekiwana. Przemek Piasecki donosił z „trójki”, że w nocy Andrzej Czok poczuł się źle i rano obaj rozpoczęli odwrót. W trakcie zejścia Andrzej osłabł tak dalece, że nie był już w stanie poruszać się o własnych siłach. Zajęła się nim piątka z obozu III. Wykazywane przez chorego objawy coraz wyraźniej wskazywały na obrzęk płuc. Jak podcięci biczem spakowaliśmy do plecaków tlen i medykamenty i w godzinę później wyruszyliśmy w składzie Janik, Fligiel, Machnik i Terlikowski. Z góry na nasze spotkanie wyruszył Wilczyński. Mieliśmy zamiar iść non stop, niestety, wszelkie działania okazało się i tak spóźnione: tego samego wieczoru — 11 stycznia 1986 r. — o godzinie 22.30 Andrzej zmarł w obozie III.

W tym czasie Wielicki i Kukuczka, nie zdając sobie sprawy z rozgrywającej się niżej tragedii, weszli kolejno na szczyt o godzinie 13 oraz 13.45. Zapomniawszy baterii do radio-



Kangchendzönga (8586 m) od południowego zachodu. Droga polskiej wyprawy zimowej z obozami. Na lewo od cofniętego w głąb szczytu głównego — Yalung Kang (8505 m), na prawo — Kangchendzöngi Środkowa i Południowa (po ok. 8500 m).

Fot. Krzysztof Wielicki



Jerzy Kukuczka, Krzysztof Wielicki i Andrzej Czok.

Fot. Józef Nyka

telefonu, przez cały dzień nie mieli łączności z resztą.

Zwłoki Andrzeja pochowane zostały nazajutrz w szczelinie lodowej nie opodal obozu III. Jego śmierć wstrząsnęła wszystkimi, a była dla nas ciosem tym bardziej perfidnym, że miał on opinię alpinisty niezniszczalnego i niewrażliwego na wysokość. Jak na swych poprzednich wyprawach, tak i na naszej prezentował wysoką formę. Dyskusyjna może się wydać rezygnacja z zabezpieczenia tlenowego w górnych obozach, była to jednak decyzja całego zespołu, złożonego z doświadczonych wspinaczy, którzy mogli pozwolić sobie na

podjęcie takiego ryzyka. Należy zdawać sobie sprawę z tego, że jedna butla tlenu waży tyle, co namiot Omnipotent (takich używaliśmy), plus wyposażenie biwakowe i żywność na 3—4 dni dla dwójkowego zespołu. W naszej sytuacji (niezła pogoda, trudności z transportem na lodowcu) postawienie na szybkość działania było rozwiązaniem jak najbardziej logicznym, dającym szansę wejścia na szczyt maksymalnej liczbie osób.

Pogoda w czasie działania naszej wyprawy była typowa dla zimy himalajskiej: mroźna — zwłaszcza po zachodzie słońca — i wietrzna przy na ogół niewielkim zachmurzeniu. Załamania były gwałtowne, lecz nie trwały długo. Warunki były w miarę dobre do świąt Bożego Narodzenia, potem pogorszyły się zdecydowanie.

Używamy przez nas sprzęt był standardowy, z tym że ekwipunek osobisty składał się z białizny przeciwpożądnej, polarwearów i goretexów. **Typowym obuwem były buty Koflach Ultra Extrem ze srebrną wkładką i do tego ciepły overboot.**

Liczebność wyprawy, gdyby nie kłopoty ze statkiem, mogła być mniejsza. De facto nigdy jednocześnie nie było nas w akcji więcej, niż trzynastu. Taktykę dostosowywaliśmy do warunków i pogody. Nie było zalegania w obozach, stosowano szybką rotację zespołów i zasadę stosunkowo długich odpoczynków w bazie wysuniętej. Istnienie tego typu bazy wydaje się być rozwiązaniem typowym dla wypraw zimowych w rejonach trudniej dostępne (podobnie rozwinęły linię ataku nasze wyprawy na Manaslu i Dhaulagiri zimą). Baza wysunięta nie była zbyt komfortowa, ale oszczędna wagowo i odporna na kaprysy pogody.

Szczyt Kangchendzöngi zdobyty został w 32 dni, w sumie jednak spędziliśmy pod nią półtora miesiąca. Wyprawa nie posługiwała się Sierpami ani sprzętem tlenowym, lin poręczowych rozpięliśmy łącznie ok. 1800 m. Kangchendzöng jest pierwszym „wysokim” ośmiotysięcznikiem zdobytym zimą bez użycia tlenu, co wskazuje na możliwość zastosowania przy atakowaniu zimą nawet najwyższych szczytów stylu lekkiego.

KRZYSZTOF WIELICKI

Na szczyt

Rankiem 7 stycznia wyruszamy w czwórkę z zamiarem zaatakowania szczytu. Oprócz mnie, Andrzeja Czok, Jerzy Kukuczka i Przemysław Piasecki. Z mozołem osiągamy kolejne obozy. Są zdemolowane przez wichury i zasypane śniegiem. Obóz IV jest w fatalnym stanie. Dwóch godzin trzeba, by przywrócić go do porządku. Po jakimś czasie dochodzi z dołu Przemek, a dopiero godzinę za nim Andrzej. Rozbijają namiot obok nas. Jest pogodnie, ale dmie ostry wiatr — z zachodem słońca mróz tężeje. Andrzej nie czuje się dobrze, kaszle, dziś szedł wolniej, co nie było w jego stylu. Wieczorem lekarz przez radio zalecił mu leki, powiedział też, że o udziale w ataku sam musi zdecydować. Późnym

wieczorem Przemek mówi, że chyba jutro wrócą w dół.

Krótki sen, w 2 godziny po północy — jest dzień 11 stycznia — przygotowujemy się do ataku. Pakujemy dodatkowo radiotelefon, kamerę super 8, termos z herbatą. Ogrzewamy i smarujemy stopy. W namiocie sładów cisza, czasami tylko słychać kaszel Andrzeja. Jurek wyrusza o 5.45. Skwapliwie wykorzystują luz w ciasnym namiocie i jeszcze raz ogrzewam stopy nad maszynką. Gdy opuszczam namiot, światło latarki Jurka błyska już gdzieś wysoko. Wokół ciemność, mróz i wiatr. Mimo kompletu puchowego czuję ziąb na całym ciele, a stopy już po godzinie marszu drętwieją. Pierwsze promienie słońca

opierają się o Yalung Kang, leniwie i wolno przesuwają się niżej, a my idziemy im na przeciw. Jeszcze sto metrów zachodem, potem zaczyna się kopuła szczytowa. Muszę coś zrobić z sztywniejącymi nogami. Na wyrabanej półce zdejmuję buty, wyjmuję z nich wewnętrzne botki, masuję stopy i naciągam na nie botki puchowe. Po tej operacji nie zdołam już rozgrzać skostniałych rąk.

Kopuła szczytowa jest dość trudna i skomplikowana, jednakże linę i sprzęt pozostawiamy w plecakach — tylko wspinając się równocześnie mamy szansę osiągnąć szczyt i wrócić przed nocą do „czwórki”. Resztki starych lin poręczowych ułatwiają orientację w terenie. Podziwiam naszych poprzedników — liny poręczowe powyżej 8100 m — ostatnią napotykały 30 m przed szczytem! Dopóki nie zobaczyłem wierzchołka, pocieszałem się myślą, że jest niedaleko. Kolejne kominki wyprowadziły nas na grzędę, z której ujrzelśmy szczyt. Niestety, odległy i wysoki. Skąd wziąć siły, by dotrzeć do niego? Czy naprawdę musimy tam wejść? Widok szczytu działa jednak jak magnes i podążam w jego stronę bezwiednie. Po pokonaniu grzędy, seria ukośnych trawersów w skałę, tuż przy grani, wyprowadza pod ostatnią turniczkę szczytową. Omijam ją z prawej strony i staję na przylepionym do niej nawisie śnieżnym. Jest 11 stycznia, godzina pierwsza. Jakie szczęście, że nie trzeba już iść do góry! Spoglądam w dół, Jurek jest jeszcze daleko, ale idzie równo, wiem, że też tu będzie. Dwa metry niżej widzę trzy butle tlenowe i złamaną tyczkę pomiarową. Wbijam w śnieg traser bambusowy, Jurek dowieże doń maskotkę gumową ze swoją wizytówką w środku. Wokół sino-białe szczyty, mróz, wiatr i pustka. Czuję

się dziwnie zagubiony i smutny. Czekam na nadejście Jurka, ale gdy zbliża się do szczytu, skostniały z zimna ruszam w dół, rezygnując ze wspólnego zdjęcia.

W trzy godziny później jesteśmy z powrotem w obozie IV. Twarze zalodzone, oblepione sopłami, jak ludzie ze starych fotografii polarnych. Padamy w namiocie bardzo zmęczeni, brak sił i energii, by zagotować menażkę herbaty. Po dłuższym czasie Jurek łączy się z bazą, lecz wieści z dołu są bardzo niepomyślne. Andrzej i Przemek są w „trójce”, ale Andrzej nie dotarł tam o własnych siłach. Z bazy wyrusza w górę lekarz i zespół z butlami tlenowymi. Czujemy, że coś groźnego wisi w powietrzu, ale zasypiając tej nocy ani Jurek, ani ja nie przypuszczamy, że nazajutrz pierwszą informacją radiową będzie wiadomość o śmierci Andrzeja. „O nic nie pytaj, mam komunikat: **Andrzej Czok nie żyje!**” — powie głos z bazy. Miną długie chwile, nim ta okrutna prawda dotrze do naszej świadomości. Nie mówimy już o naszym wejściu — myśli są przy Andrzeju, tam na Wielkiej Półce. Zostanie na niej na zawsze, wspaniały przyjaciel i wielki alpinista. To on zapłacił za nasz sukces...

Kangchenjunga (8586 m) — first winter ascent on January 11, 1986. Base Camp (4560 m) and Advance Base (5000 m) on December 9 and 10, 1985. Four camps on the standard route via the south west face: on December 15 at 6200 m, on December 19 at 6800 m, on January 2, 1986, at 7400 m and on January 3 at 7800 m. Summit reached by Jerzy Kukuczka and Krzysztof Wielicki without supplementary oxygen. During the ascent in Camp IV Andrzej Czok was stricken with pulmonary edema and died on January 11 in Camp III. The expedition was organised by the High Mountain Club Gliwice (Poland) and led by Andrzej Machnik.

Andrzej Czok

Fot. Aleksander Pańków



Kończył się wrzesień 1982 roku. Nasza ekipa, szturmująca zachodnią ścianę Makalu, zgromadzoną w bazie na morenie lodowca Barun, przeżywała dramat. Wysoko, na zer-

wie uskoku, w najtrudniejszej części ściany, pozostało przypięte jumarami do liny ciało Tadzia Szulca. Zmarł nagle, pokonując ostatnie metry trudności. Postanowiliśmy kontynuować akcję, choćby po to, aby jego śmierć nie była daremna. Ale przedtem trzeba było zabezpieczyć ciało przyjaciela. Dobierałem zespół do dokonania tej ostatniej usługi. Zgłosili się Wacek Sonelski i Mirek Kuraś. A więc była nas trójka. Trochę mało, sam jednak nie mogłem wyznaczać ludzi, gdyż ciało zostało w miejscu, gdzie było wysoko i bardzo trudno. Gdy rozmyślałem nad sytuacją, w wejściu namiotu pokazała się twarz Andrzeja Czoka. „Nie możecie iść we trójkę, powiedział. Prosiłem cię przecież abys i mnie włączył!” — „Andrzejku, odpowiedziałem, jesteś filarem ataku szczytowego.

Bez ciebie ściana się nie podda. Nie mogę twoich sił użyć tutaj, choć tak bardzo byłoby potrzebne". — „Odlóż to na bok, stary, teraz najważniejszą sprawą jest abyśmy go stamtąd zdjeli. Co będzie potem — zobaczymy.”

I poszedł z nami. Bez wahania odsunął bezpośrednią szansę pójścia wyżej — na grań, poprzez otwarte już pola i płyty Dety. Ważniejsze było dla niego zamarnięte ciało kolegi. Siły Andrzeja były wówczas niespożyte. Poprowadził nas do Tadzia, potem wrócił jednym rzutem do obozu I, odpoczął dzień i znów jednym rzutem wspiął się z powrotem do „trójki”, w której czekał Janusz Skorek. Pięć dni później stanął samotnie na szczycie Makalu. Ale wtedy, w bazie, gdy zażądał udziału w akcji pogrzebowej, nie mógł liczyć się z taką możliwością. To właśnie był cały Andrzej.

Jego osobowość poznałem na Lhotse w 1979 roku. Wyprowadził nas zawsze w dojściu do wysokich obozów, nieraz o 2 godziny. Zastawaliśmy odkopane i uporządkowane namioty, a także wrzącą herbatę, której sam jeszcze nie skosztował. Po zdobyciu szczytu przez pierwszą czwórkę, w której oczywiście sam się znalazł, nakłaniał nas do powtórzenia ataku. A przecież każdy ze zwycięzców uważa, że jego wyczyn nie powinien być powtórzony. Jest to normalne i bardzo ludzkie. Ale w Andrzeju nie było cienia egoizmu.

Ileż to razy, gdy huragan przewracał namioty pod Dhaulagiri, jego uśmiechnięta gęba i dosadne słowa na temat wiatru, przywracały wiarę w możliwość przetrwania i dalszej akcji. Wbrew wszystkiemu — oszalałej pogodzie, mrozowi i wyciekającym z nas siłom.

Do wyników dochodził systematycznie. Nie był gwiazdą, która nagle zapaliła się na firmamencie alpinizmu. Jego droga w góry najwyższe wiodła poprzez ściany tatrańskie, alpejskie, Andy i Pamir. Pierwsze kroki stawał w roku 1970 w Klubie Wysokogórskim Gliwice, któremu pozostał wierny do końca. W górach najwyższych pojawił się w r. 1976 w składzie ekipy narodowej na K2. Swymi wejściami na ośmiotysięczniki szybko wykazał, że jest jednym z najlepszych. Ale nigdy nie dał nam tego odczuć, nigdy nie występował w roli gwiazdora. W zarządzie klubu pracował tak, jak w górach. W każdy poniedziałek i środę pokazywała się w drzwiach brodata twarz, w której spod rozwichrzonych włosów świeciły niebieskie śmiejące się oczy. Przychodził nawet wtedy, gdy poobciane palce u nóg utrudniały mu poruszanie się i gdy nie mógł jeszcze włożyć butów. Ostatnio często towarzyszyła mu córeczka, Magdusia, która nie odstępowała w klubie ojca na krok.

Walka o piątą ośmiotysięcznik była jego ostatnią przygodą w górach. Zimowe warunki Kangchendzongi coś zalaamy w tym stalowym organizmie. Przed atakiem szczytowym, już w obozie IV poczuł się źle. Schodząc w dół był coraz słabszy, ale jeszcze na

godzinę przed śmiercią, w obozie III pocieszał kolegów, że wszystko będzie dobrze i jutro uda się w dół już o własnych siłach. Odszedł cicho i niepostrzeżenie. Jego wieczny biwak jest tam, na wysokościach Kangchendzongi, a pamięć o nim żyje wśród nas i pozostanie, dopóki ludzie będą zdobywali góry.

Adam Bilczewski

Urodził się 11 listopada 1948 r. w Zabrze, z zawodu był elektronikiem. Wspinaczki zaczął w r. 1970, szybko dochodząc do wybitnych wyników. Ze swych ważniejszych osiągnięć tatrańskich w ankcie „Taternika” wymienił nowe drogi na Młynarczyku (1973), Zabiej Turni Mieguszowieckiej (1975), Małym Koprowym (1975) i Ramieniu Krywania (1976), a także II przejście drogi Drosta na Kazalnicy (1973), „wodospad” na Małym Kiezmarskim Szczycie (1974) i I zimowe przejście drogi Kurczaba na Wielkiej Jaworowej Turni (1974). Po Tatrach przyszył Alpy i Andy — zimowe przejście północnej ściany Eigeru (1978), nowa droga na Finsteraarhornie (1978), I zimowe przejście filara Piusiego na Cima Su Alto (1977), przejście zachodniej ściany Yerupaja i północno-zachodniej ściany Ninashanca (1981). W Pamirze wszedł na Pik Lenina (1975) i na Pik Korzeniowskiej (1978), pamiętany jest tam jednak z powodu rekordowego wejścia na Pik Kommunizma (7483 m) — w 3 dni w tę i z powrotem (1978). Ciężkim ciosem była dla niego w tym czasie śmierć w Tatrach młodszego brata, Piotra (T. 1/77, s. 42).

W r. 1976 Andrzej atakował do 8000 m północno-wschodnią grań K2 (8611 m). W 1979 wszedł na Lhotse (8516 m) nie używając tienia, a wiosną następnego roku — na Everest (8848 m) nową drogą od południa. W r. 1982 uczestniczył w I przejściu zachodniej ściany Makalu (8463 m), osiągając szczyt w śmiałym samotnym ataku. W styczniu 1985 była Dhaulagiri (8167 m) — pierwsze wejście podczas zimy kalendarzowej. Krytyczne warunki sprawiły, że było to dla niego twarde przeżycie — leczenie odmrożeń spowodowało roczną przerwę w działalności górskiej. Kangchendzonga miała być jego piątym ośmiotysięcznikiem.

Wspaniały towarzysz w górach, człowiek o niespożytych siłach i wielkim dynamizmie, z natury uzdolniony do działania na dużych wysokościach, był alpinistą himalajskim światowego formatu. Jest gorzką ironią losu, że 11 stycznia 1986 r. padł ofiarą choroby wysokościowej, podobnie jak wcześniej — 15 stycznia 1985 — na teźże gorze inny wybitny wspinacz wysokościowy, Amerykanin Chris Chandler. Oba te nagłe zgony świadczą dowodnie, iż do strefy śmierci wysokościowej nikt nie ma stałej przepustki.

Józef Nyka

LEKARZE GÓRSCY ŁĄCZĄ SIĘ

6 grudnia 1985 r. w Genewie odbyło się posiedzenie założycielskie Międzynarodowego Towarzystwa Medycyny Górskiej (International Society for Mountain Medicine — ISMM). Inicjatywę jego powołania podjęto rok wcześniej w Chamonix, podczas międzynarodowego kongresu medycyny górskiej, zorganizowanego przez Komisję Medycyną UIAA. Materiały z tego kongresu, poświęconego deterioracji wysokogórskiej ukazały się w książce „High Altitude Deterioration” (1985). Sekretarzem generalnym ISMM został prof. Frédéric Dubas. Adres Towarzystwa: 160, rte de Chevrens, CH-1247 Anières-Genève, Szwajcaria. ISMM ma dwa główne cele: wydawanie International Journal of Mountain Medicine oraz organizowanie kongresów medycyny górskiej. Niżej podpisany ma zaszczyt być jednym z członków założycieli ISMM, został też powołany na recenzenta w dziedzinie psychologii i psychiatrii.

Zdzisław Ryn

Zima 1985 — 86 w górach najwyższych

W HIMALAJACH

I oto mamy za sobą siódmą z kolei zimę w Himalajach, tym razem zdominowaną przez wyprawy południowokoreańskie (7). Jak pamiętamy, nepalski sezon administracyjny — już kilka razy zmieniany — trwa obecnie od 1 grudnia do 15 lutego, jednakże w rozumieniu sportowym obowiązuje okres zimy kalendarzowej. Miniona zima miała warunki zmienne, sporo opadów śniegu i okresów z szalejącą wichurą. Rok w rok dobrą pogodę ma pierwsza połowa grudnia: słońce, temperatury w bazach w dzień ok. 0°, wiatry dopiero powyżej 7500 m. Wiedzą o tym alpinści i co roku dokonują w tym okresie ładnych wejść. Tak było i tym razem. Przygotowawszy się w listopadzie, kilka wypraw z miejsca ruszyło do ataku. Rezultatem były 3 świetne wejścia alpejskim stylem na szczyty 8-tysięczne:

Na *Cho Oyu* (8201 m) weszli 5 grudnia Słowacy Dušan Becik i Jaromír Stejskal, biwakując w namiotku na wysokości 5900, 6500 (dwie noce) i 7400 m. Zdziwieni byli łagodnością warunków atmosferycznych. Małą międzynarodową wyprawą kierował Roger Marshall z Kanady.

8 grudnia na *Dhaulagiri* (8167 m) stanęli Szwajcarzy Erhard Loretan, Pierre-Allain Steiner i Jean Troillet, którzy wejścia dokonali wschodnią ścianą, drogą Kurtyki, w efektywnym 3-dniowym ataku.

W dniach 11—14 grudnia normalną drogą weszli na *Manaslu* (8163 m) Japończycy Yasuhira Saito i Noboru Yamada z biwakami na wysokości 6100 m (dwie noce z powodu śnieżyicy) i 7050 m. Warunki były wyraźnie trudniejsze aniżeli w pierwszej dekadzie grudnia. Sześć tygodni wcześniej Yamada stał na szczycie Everestu zaś Saito dotarł pod Wierchołek Południowy.

Piękny sukces sportowy odnieśli w tym okresie Amerykanie Carlos Buhler i Michael Kennedy, którzy w dniach od 30 listopada do 7 grudnia przeszli alpejskim stylem północno-wschodnią ścianę *Amaɪ Dablaŋ* (Ama Dablam, 6856 m), liczącą ok. 1000 m wysokości. Pogoda była piękna, ale w ocienionej ścianie temperatura spadała do -20° .

Właściwa zima zaczęła się 21 grudnia — nie tylko formalnie ale i faktycznie. Przyszły silne mrozy i huragany, a w dniach 25—29 grudnia spadły duże śniegi, które zahamowały działalność wypraw. Mimo to udało się znowu dokonać kilku wejść. Ekipy południowokoreańskie zdobyły trudne technicznie choć niewysokie szczyty *Kangtega* (6779 m, 31 grudnia) oraz *Tawoche* (6501 m, 12 stycznia), a w połowie stycznia także słynny *Gauri Shankar* (7134 m — Choi Han Jo i Szerpa Ang Kami). Były to wszystko pierwsze wejścia zimowe. Polskiej wyprawie kierowanej przez Andrzeja Machnika przypadł w udziale sukces największy: pierwsze zimowe wejście na szczyt *Kangchendzöngi* (8586 m), trzeciej co do wysokości góry świata. Korzystając z 4 obozów (6200, 6700, 7250 i 7750 m) wierzchołek osiągnęli bez tlenu Krzysztof Wielicki i Jerzy Kukuczka. Niestety, na piękne zwycięstwo cień rzuciła śmierć Andrzeja Czoka (artykuł na str. 12).

Światowe agencje wejście na Kangchendzöngę ledwo odnotowały, cała ich uwaga skupiona była bowiem na wyprawie Reinholda Messnera, z szeroką reklamą atakującego *Makalu* (8463 m). Do Katmandu zjechały ekipy telewizyjne i dziennikarskie, które bieżąco informowały świat o postępach słynnego Tyrolczyka. Postępów jednak nie było, gdyż warunki zimowe wyraźnie nie odpowiadają Messnerowi. W grudniu 1982 r. załamał się na Cho Oyu, na Makalu dotarł zaledwie do 7500 m. Ale szczęście dopisało mu i tym razem i na konferencję prasową w Katmandu nie przyszedł z pustymi rękami: na stoku Makalu II znalazł zwłoki 2 Francuzów, zaginionych w listopadzie i na nie skierował całą uwagę dziennikarzy, unikając skomentowania własnej przegranej.

Pamir w zimowej szacie. Z lewej Pik Korżeniewskiej (7105 m), z prawej Pik Kommunizmu (7483 m).

Fot. A. Wołyn



Sezon można by uznać za zamknięty, gdyby na placu boju nie pozostała ekipa bułgarska na zakopiańskim filarze Annapurny. Trudności drogi w połączeniu z ciężkimi warunkami wyraźnie przerosły siły ekipy, która z determinacją ponawiała szturm, zakładając i odbudowując niszczone przez wiatr i śniegi obozy. Uznając bojowość wyprawy, Ministerstwo Turystyki w Katmandu przedłużyło jej sezon do końca lutego, ale i ten termin nie przyniósł wyniku (szczegóły s. 43).

Tak więc zima 1985—86 w sumie okazała się dość przeciętna. Z ogółem 17 wypraw 8 osiągnęło sukcesy, z tego jednak 4 (czyli połowa!) jeszcze w okresie jesieni. W zimie kalendarzowej z 8 ataków na szczyty 8-tygodniowe powiodł się tylko jeden — na Kangchendzöngę. Szczególnym niewypałem okazał się szeroko reklamowany południowokoreański plan gwiazdzistego wejścia trzema drogami na Everest. Pakistan nie spełnił własnych zapowiedzi i sezonu zimowego nie otworzył. Ciekawymi wydarzeniami zimy — już spoza obszaru Himalajów — były natomiast radzieckie wejścia w Pamirze, a także zorganizowane przez Turecką Federację Górską pierwsze zimowe wejście na Ararat (5165 m), w którym wziął udział Polak, Grzegorz Siekierski.

NA DACH ŚWIATA ZIMĄ

W „Taterniku” 2/1985 (s. 88) informowaliśmy o zamierzeniach alpinistów radzieckich w zimowym Pamirze. Minionej zimy plany zostały zrealizowane. Na Lodowcu Moskwinia (4300 m) rozbiły wspólną bazę 3 silne wyprawy: centralna (kierownik Walerij Putrin), uzbecka (kierownik Wadim Elczibiekow) i leningradzka (kierownik Jurij A. Czunowkin). W trakcie aklimatyzacji dokonano pierwszych wejść na niższe szczyty, m.in. Muzdżiłgę (6376 m). Celem dwóch pierwszych wypraw był Pik Kommunizma, leningradzcy wybrali Pik Korzeniewskiej.

Wejście na Pik Kommunizma (7483 m) poprowadzono grzędą Borodkina (5B), rozpinając poręczówki i zakładając obozy na wysokości 5100, 5800 i 6200 m. W dniu 1 lutego dwa zespoły osiągnęły Plateau i w rejonie Pika Duszanbe (6900 m) założyły w grotach lodowych górny obóz. 4 lutego po ciężkiej walce z mrozem i wichurą na szczyt weszło 7 ludzi: Władimir Bałybierdin, Michaił Turkiewicz (oba zdobywcy Everestu w r. 1982), Władimir Szopin, Jurij Razumow, Giennadij Wasilenko, Aleksiej Moskalcow i Jurij Janowicz. Było to pierwsze wejście zimowe na najwyższy szczyt ZSRR. Podczas zejścia zespół pobłądził i spędził część nocy w szczelnie lodowej, przy czym parę osób doznało odmrożeń. Pogoda utrzymywała się, więc 7 lutego powtórzone atak dwiema grupami, które również osiągnęły szczyt. Łącznie stanęły na Piku Kommunizma 23 lub 24 osoby. Niestety, nie obyło się bez wypadku. W trakcie zejścia w ciężkich warunkach atmosferycznych na wysokości 7400 m na grani szczyto-

wej obsunęła się dwójka uzbecka i spadała 300 m lodową deską. Śmierć ponieśli Walerij Ankudinow i Nikołaj Kaługin.

Równolegle rozwijał się szturm Pika Korzeniewskiej (7105 m), na który drogą prowadzono mniej narażoną na wiatry ścianą południową (5B). W dniu 7 lutego na szczyt weszły 2 zespoły liczące 18 alpinistów — drugi siedmiotysięcznik pamirski otrzymał pierwsze wejście zimowe. Jednym ze zdobywców był uczestnik wyprawy na Everest, Leonid Troszczinienko. „Wejście to — powiedział — przygotowaliśmy przez kilka lat, gromadząc doświadczenie na licznych wspinaczkach zimowych w Kaukazie, trenując ludzi, doskonaląc ekwipunek. Wszystko było niezawodnie zbadane, przemyślane i wykonane, dzięki czemu wejście na Pik Korzeniewskiej udało nam się zrobić bez odmrożeń czy innych incydentów.”

Zdobycie obu szczytów stanowi obiecujący start alpinizmu zimowego w Pamirze, a duże zespoły na szczytach wskazują na to, że warunki nie są tu najgorsze (w Himalajach z 10 dotychczasowych wejść na szczyty przekraczające 7500 m tylko Cho Oyu miał 4 zdobywców — wszystkie inne po 2). Oczywiście, jest to też rezultat wysokiego i wyrównanego poziomu czołówki radzieckich „wysotników” — dodajmy, że grupa centralna była włączona w program treningowy przed II wyprawą w Himalaje, planowaną na r. 1989. Sukcesy zimowe w Pamirze znalazły szerokie odbicie w prasie ZSRR — serię dużych reportaży zamieścił „Sowiecki Sport”.



W końcu maja zmarł w wieku 80 lat jeden z najbardziej zasłużonych alpinistów radzieckich, członek honorowy PZA, Witalij M. Abałakow. Sylwetce zmarłego poświęcimy więcej miejsca w przyszłym numerze. Zdjęcie z r. 1981 z Kaukazu — z lewej Maro Tkawadze, z prawej Michaił I. Anufrikow.

Fot. D. Ługowier



WANDA RUTKIEWICZ

Gdybyś przyszedł pod tę ścianę

Fot.
Stéphane Schaffter

Rok 1984 był w rejonie Aconcagua rokiem rocznic. Club Andinista Mendoza obchodził swoje 50-lecie i w ramach jubileuszu jego członkowie wchodzili na szczyt z różnych stron. Francuzi święcili 30-lecie swego pierwszego przejścia południowej ściany. Po 50 latach przerwy znowu pojawiły się wyprawy polskie. Zarówno obchody rocznicy pierwszej polskiej wyprawy z r. 1934, niezapomnianej pod względem stylu i osiągnięć, jak i czysty przypadek sprawiły, że w okresie andyjskiego lata 1984—85 na Aconcagua odbywały się jedno po drugim polskie wejścia — drogą normalną od północnego zachodu, Lodowcem Polaków, wreszcie południową ścianą drogą Francuzów. Mnie przypadek pomógł, bym 6 stycznia 1985 r. mogła być pierwszą osobą z Polski od owej historycznej wyprawy sprzed półwiecza. Przypadkiem tym było zaproszenie od Stéphane Schafftera, alpinisty i przewodnika ze Szwajcarii, który na najwyższy szczyt Ameryki wybierał się z grupą klientów. Moje pierwsze wejście na szczyt nie było specjalnie honorne — weszłam razem z podopiecznymi Stephana drogą normalną, którą co roku rozdeptują setki trekkersów, nie wspominając o motocyklistach, inwalidach, spadochroniarzach i innych mniej typowych turystach.

Ale dla mnie było to przede wszystkim wejście aklimatyzacyjne przed głównym celem wyjazdu — przejściem południowej ściany w stylu alpejskim w dwuosobowym zespole. To wysokie, liczące prawie 3000 m urwisko skalno-lodowe — piękne, trudne i niebezpieczne — przeszliśmy we dwoje ze Stephanem w dniach od 16 do 19 stycznia 1985, przerzuciwszy się 12 stycznia do Plaza Francia, gdzie na wysokości 4000 m znajdują się bazy pod południową ścianą. Sama ściana ma kilka charakterystycznych partii:

a) Pole śnieżne, którym dochodzi się od prawej strony do filara. Jest ono zagrożone lawinami seraków i śniegu, schodzącymi z barier lodowych powyżej.

b) Odcinek niestromej jeszcze filara (jedno miejsce V) i skalno-śnieżną grań (IV) podprowadzającą pod kominy.

c) Kominy, czyli pierwszy kluczowy fragment drogi — z kruchą i oblodzoną powywieszoną skałą (VI). Nad nimi założyliśmy pierwszy biwak, rozbijając nasz namiot typu Dunlop na platformie z mozołem wyrąbanej w lodzie.

d) Bariere skalną poprzedzoną lawiniastym polem śnieżnym (trudności IV—V+).

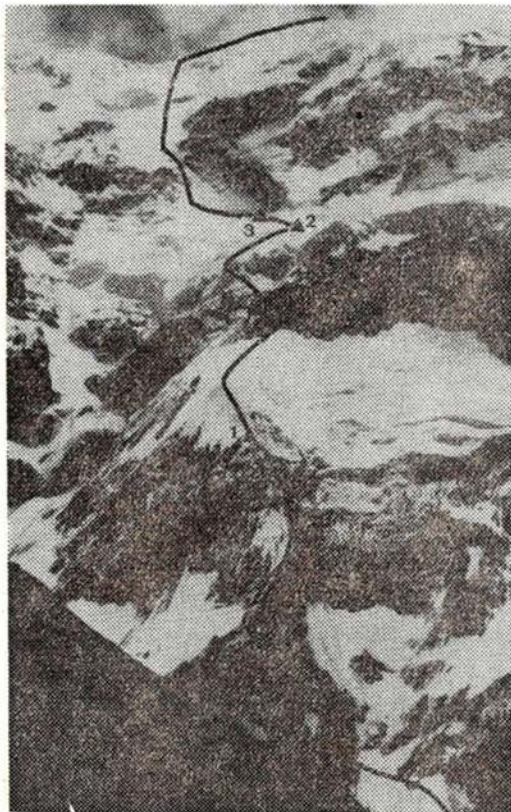
e) Drugi kluczowy fragment w postaci przewieszzonej bariery seraków dostępnej kilkunastometrowym „tylko” pionowym uskokiem lodowym.

f) Wiszący i pocięty szczelinami lodowiec, miejsce naszego drugiego i trzeciego biwaku, przečekaliśmy tu bowiem zbyt ciepły i słoneczny dzień, by w dalszą drogę wyruszyć nad ranem po zmrożonym śniegu.

g) Wariant wyjściowy Messnera, łatwiejszy i szybszy od francuskiego, ale bardziej zagrożony lawinami. Dojście do lodowo-śnieżnych stoków (50—60°) przez mlkstowy próg (IV, być może V).

Południowa ściana Aconcagua z drogą francuską i naszymi biwakami.

Fot. Wanda Rutkiewicz



19 stycznia osiągnęliśmy szczyt Aconcagua, tym razem rzeczywiście wspaniała i honorną drogą. Trzydziestu lat temu przeszli ją jako pierwsi Francuzi, którzy z okazji rocznicy przysłali tu 2 wyprawy. W skład jednej z nich wchodził dwaj uczestnicy przejścia z 1954 roku — Robert Paragot i Pierre Lesueure, ciągle młodzieńczy, pełni energii i humoru. W najtrudniejszej partii skalnej południowej ściany znaleźliśmy ich hak z napisem „Bouillon” — nazwą rodzimej wioski Lesueura. Wzruszyli się tym, podobnie jak znalezionym na Plaza Francia odciałem



EWA SZCZESŃIAK

Polsko-czeska kobieca wyprawa w Andy

Wyprawa „Huascarán 1985” była firmowana przez Łódzki KW, a w jej składzie ostatecznie znalazły się: Blanka Danihelková i Zuzana Hoffmanová z Czechosłowacji oraz Amalia Kapłoniak, Monika Niedbalska, Ewa Pankiewicz i Ewa Szcześniak z Polski. Jako lekarz towarzyszył nam Romuald Biernat. Naszym celem było przejście północnej ściany Huascarán Norte (6655 m — por. T. 3/78, s. 134). Ściana ta liczy ok. 1700 m i charakteryzuje się wzrostem trudności wraz z wysokością — najtrudniejsze partie znajdują się powyżej 6000 m.

W połowie czerwca 1985 r. założyliśmy bazę nad brzegiem jeziora Llanganuco (ok. 3800 m) — na skraju olbrzymiego lawiniska, pod którym w r. 1971 pogrzebana została cała wyprawa czeska. Dwa tygodnie zajęło nam przygotowanie się do wspinaczki — aklimatyzacja, wyszukanie drogi podejścia, złożenie depozytu pod lodowcem na wysokości 4800 m. Pogoda była zmienna — dni słoneczne przeplatały się z deszczowymi i śnieżnymi. Trzeciego lipca przeszliśmy krótki lecz skomplikowany lodowiec, dzielący nas od podnóża ściany, zabierając z sobą całość sprzętu i żywności. Następnego dnia wystartowaliśmy w filar francuski, ale niekorzystny układ nawisów śnieżnych, zamykających wyjście z pierwszych skałek, zmusił nas szybko do odwrotu. Nasza ostrożność okazała się zresztą uzasadniona, gdyż w sierpniu z tej właśnie partii ściany spadł zespół hiszpański.

Po biwaku w szczelinie brzeżnej zdecydowaliśmy się poprowadzić nową drogę — na

ich namiotu. Rozmowa z nimi, jak i archiwalne ujęcia filmowe z ich wyprawy, weszły do mojego debiutu filmowego, wspomaganego przez Krzysztofa Langa. W jego tytule są słowa Roberta Paragota, którymi także film się kończy: „Gdybyś przyszedł pod tę ogromną ścianę, jeszcze zupełnie dziewczę, automatycznie wybrałbyś tę drogę, którą myśmy zrobili.” Dziś jest na południowej ścianie już kilka dróg, niektóre trudniejsze od francuskiej, ta jednak wydaje się być najładniejsza i z wszystkich najbardziej logiczna.

prawo od filaru francuskiego. W dniu 6 lipca 1985 rozpoczęliśmy wspinaczkę i aż do 14 lipca posuwaliśmy się tylko w górę, przeczekując w ścianie liczne załamania pogody. Droga ma charakter lodowy, w wyższych partiach mieszany, a w górnych skalny. Średnie nachylenie partii lodowych wynosi 55—60°, maksymalne 70—75°. Trudności w partii skalnej sięgały stopnia V. Mimo świetnego przygotowania do drogi i dobrej aklimatyzacji, Monika Niedbalska zachorowała na zapalenie gardła i musiała pozostać w bazie. Pozostałe uczestniczki spędziły w ścianie 9 dni — głównie przeczekując kolejne fale niepogody — i w dniu 14 lipca stanęły na szczycie. Drogę naszą poprzez kontrast do spędzonych w tym samym składzie kilku dni nad Zatoką Meksykańską nazwaliśmy „Ladies' Holidays”.

Monika Niedbalska po powrocie do dobrej formy w dniu 16 lipca zdobyła samotnie Huascarán Sur (6768 m). Było to zapewne pierwsze kobiece wejście solo na ten szczyt. W dniach 26—31 lipca 1985 trójka w składzie Monika Niedbalska, Ewa Szcześniak i Hugo Colonia (Peru) pokonałyśmy północną ścianę Nevado Churup (5400 m) — drogą angielską, poprowadzoną w czerwcu 1985 r. Było to jej pierwsze powtórzenie — trudności skupiają się na 600 metrach, średnie nastromienie wynosi 55°, zaś w partiach mikstowych — 70°. W okresie od 5 do 13 sierpnia obie z Moniką działaliśmy w rejonie Alpamayo. Ewa Szcześniak osiągnęła Przełęcz Południową (5400 m), zaś Monika Niedbalska — w zespole międzynarodowym z Hiszpanem i Włochem — szczyt Alpamayo drogą włoską. W ostatnich dniach sierpnia cała ekipa — zdrowa i szczęśliwa — znalazła się w domu, w Polsce i Czechosłowacji.

Zdjęcie obok: Huascarán Norte — ściana północna. 1. Droga im. A. Mroza; 2. Droga Casarotty; 3. Droga Paragota i tow.; 4. Nowa droga Polek i Czeszek; 5. Grzęda włoska. Zob. też T. 3/78, s. 134.

Ladies' Holidays



Z ciężkim sercem postanowiłyśmy zaatakować ścianę w piątkę. Monika miała chore gardło i musiała zostać w bazie. Tuż przed wejściem na lodowiec stał wielkich rozmiarów serak. Najgorsze, że nie przestrzegaliśmy żadnych reguł i sypało się z niego o każdej porze. Widziałyśmy to z dołu, trzeba jednak było pod nim przejść. A teraz truchtem między zwalonymi bryłami lodu, ukradkowo spoglądając do góry staramy się iść jak najszybciej. Po chwili już po wszystkim. Sapiemy. Jesteśmy dobre, Blanka wyciąga kamerę. Niewiarygodne — znowu poleciał!

Potem lodowiec, taki różny, wcale nie łatwe kartoflisko, ale nieźle zagmatwany. Łądujemy w bezpiecznym miejscu. Mamy sporo czasu. Po południu trochę poręczujemy, wynosimy sprzęt i żywność. Już na starcie jest stromo — dobrze się zaczyna!

4 lipca. We dwie z Ewą wchodzimy w filar francuski i po kilku trudnych mikstowych wyciągach utykamy przed wyjściem na pola śnieżne. Stare, zwietrzałe, przypominające gąbkę seraki i groźnie wyglądające nawisy nie puszczają dalej — trzeba się wycofać. Musimy wymyślić coś innego. Decyzja zapada szybko: nie schodzimy, lecz robimy nową drogę między filarem francuskim a drogą włoską. Na początku wygląda to trochę jak wylodzony stok lawinowy, po



którym od czasu do czasu przemykają zaślakane kamienie. Tymczasem pogoda psuje się. Nadciągają czarne chmury i zaczyna sypać śnieg. Schodzą pierwsze pyłówki. Na małej połce lodowej zakładamy biwak i w jednym namiocie śpimy w piątkę.

5 lipca. Od rana sypie śnieg. Blanka z Zuzaną prowadzą pierwsze wyciągi na nowej drodze. Co będzie dalej, tego żadna z nas nie wie. Pogoda fatalna, wieje silny wiatr niosący śnieg. Dziewczyny wracają kompletnie przemoczone. Nie rezygnujemy jednak, lecz zwijamy namiot i wszystko transportujemy wyżej do przypadkowo znalezionej jaskini. Zjeżdżamy kilka metrów w głąb i śpimy wygodnie. Jest trochę mokro, więc przemakają śpiwory. Jeszcze nie wiemy, że one nie wyschną nam już do końca drogi.

6 lipca. Pyłówki pracowały całą noc, dokładnie zasypując i pokrywając lodem założone poprzedniego dnia liny. Jest stromy szklisty lód, momentami twardy śnieg, ale na szczęście skały z boku ułatwiają solidną asekurację. Na skałach zawieszamy namioty jak płachty i przeczekujemy noc, tylko okrywając się śpiworami — bez jedzenia i picia.

7 lipca. Nietrudne, choć zaśnieżone skałki. Wspinamy się szybko. Nadal jest zimno i pada śnieg. Ciągłe nie wiadomo, co nas czeka. Jest dopiero druga godzina, ale nie możemy iść dalej, bo fatalna pogoda uniemożliwia akcję. Zakładamy biwak.

8 lipca. Pokonujemy parę wyciągów torem pyłówek. Stromo. Potem 200-metrowy trawers pod skałami. Odcinek jest narażony na spadające kamienie, musimy więc być szybkie. Łatwo powiedzieć — szybkie. Jest już dość wysoko, a wory są złośliwie coraz cięższe, wszystko jest przecież mokre. Dochodzimy do skałek i znów Blanka 2 godziny rąbie platformę, podczas gdy my wspinamy się śnieżno-lodowym żlebkiem. Pyłówki nie dają nam spokoju. Śnieg wciska się wszędzie. Z dołu dobiegają krzyki — to Mela z Zuzaną noszą wory na trawersie. Po chwili dociera do nas wiadomość, że poleciały na nie kamienie i Zuzana dostała w nogę, ale na szczęście może się poruszać sama. Nie jest dobrze. O wycofaniu nie może być mowy ze

względem na ciągi opad śniegu i możliwość lawin. Przestraszone nie na żarty, czekamy ranka ściśnięte w piątkę na wąskiej półce lodowej. Gotujemy, ale naprawdę trzeba dokończyć cudów zręczności i koncentracji, aby nic nie rozlać i niczego nie spalić.

9 lipca. Pogoda fatalna, nawet nie wiemy, na jakiej jesteśmy wysokości, bo widoczność zerowa. Najważniejsze jest to, że Zuzana może się wspinać. Jest jeszcze zimniej. Idziemy wyżej, a mróz taki, że wszystko dosłownie przylepia się do rąk. Boimy się odmrożeń.

10 lipca. Zmęczenie narasta, a wszystkie czynności zajmują nam coraz więcej czasu i coraz później wychodzimy z biwaków. Skończył się cukier, sok, herbata. Gotujemy wodę z aspiryną.

11 lipca. Nie do wiary, świeci słońce i widać okoliczne góry. Hurra, jesteśmy już bardzo wysoko! Wspinamy się w doskonałych nastrojach. Zaczyna się najtrudniejsza część drogi. Jest to dobry dzień. Gorzej natomiast z nocą. To wprost niewiarygodne, ale każdy kolejny biwak jest cięższy od poprzedniego, a w tak dużej ścianie ani razu nie udaje się rozbić dwóch namiotów. W podwieszonym namiocie znów nie ma mowy o gotowaniu.

12 lipca. Słońce od samego rana. Tylko my jesteśmy tak rozkojarzone i niewyspane, że wszystko leci nam z rąk. Tego ranka sporo rzeczy pomknęło w dół. Niezbyt chętnie rozpoczynamy wspinanie, ale i tak nie mamy innego wyjścia. Pod koniec dnia Blanka znajduje jaskinię — wysypiamy się w niej komfortowo.

13 lipca. Efekt nadspodziewanie dobrego biwaku jest taki, że wstajemy nieprzyzwoicie późno. Marzymy o słońcu, ciepłym morzu, złotym piasku. Boże, jaka to dla nas abstrakcja! Dzisiaj znowu ciężki dzień. Skom-

plikowane trawersy w stromym lodzie, potem trudne, skalne kominy. Najgorzej z transportem — walczymy z worami do północy.

14 lipca. A jednak mamy szczęście! Jesteśmy już na podszczytowych śniegach. W słońcu i porywającym wietrze zaczynamy mżolne dreptanie w stronę rozległego wierzchołka. Powoli, noga za nogą, i wreszcie koniec. Wyżej już nie można. Wyciągamy flagi, proporczyki. Podskakujemy, ściskamy się, śmiejemy. Po chwili zostaje nam już tylko zejście — są nawet fantastyczne ślady. Szybko schodzimy do miejsca pierwszego biwaku po południowej stronie góry, gdzie witają nas — Hiszpanie. „Dziewczyny, takie piękne chłopaki, a my jak wyglądamy?” — woła Zuzana. Usiłuję ściągnąć kask, zetrzeć białą maść z twarzy. Kilkanaście dni akcji zrobiło swoje i nie wyglądamy świeżutko. Najedzone i w świetnych humorach schodzimy dalej.

15 lipca. Wkótce lodowiec kończy się. Robimy banalne odkrycie: jest lato, rośnie trawa, zielenią się drzewa i krzewy i naprawdę nigdzie ani odrobiny śniegu. Jest cudownie i ciepło — to też nic odkrywczego, tyle że my to teraz tak namacalnie odczuwamy, zostawiając za sobą śnieg i mróz, tam gdzie spędziliśmy 11 dni zimy w środku lata.

Z przyjemnością zaczynamy błogi relaks. Jesteśmy w Ameryce Południowej, krainie tańca i zabaw, więc szybko wpadamy w wir dyskotek i folklorystycznych penii.

Cordillera Blanca. New route on the north face of the Huascarán Norte (6650 m) right from the French pillar climbed on July 6–14, 1985, by the joint Polish-Czech women's party: Blanka Danihelková-Nedvedická, Zuzana Hoffmanová (both Czech), Amalia Kapłoniak, Ewa Pankiewicz and Ewa Szcześniak (55–60°, 75–80°, rock V). On July 16 Monika Niedbalska climbed solo the Huascarán Sur. On July 26–31 Monika Niedbalska, Ewa Szcześniak and Hugo Colonia (Peru) repeated the English 1985 route via the north face of the Nevado Churup (5400 m) — 60–70°.

14 x 8000 — kto będzie pierwszy?

Emocjonujący wyścig najlepszych alpinistów wysokościowych świata wchodzi w decydującą fazę. Prowadzi nadal Reinhold Messner (41), który ma w dorobku 12 ośmiotysięczników, a nadto 4 powtórzenia. Na drugim miejscu jest Jerzy Kukuczka (38) z 10 szczytami tej klasy, jednym powtórzeniem i jednym ośmiotysięcznikiem bocznym (Broad Peak Middle, 8016 m). Wiosną 1986 r. na trzecie miejsce wysunął się Szwajcar, Marcel Ruedi (47), który w dniach 3–5 maja wraz z Peterem Habelerem powtórzył nową polską drogę na Cho Oyu i ma obecnie 9 szczytów 8-tysięcznych. Czwarty jest 26-letni Szwajcar Erhard Loretan (8 szczytów), piąty — Michel Dacher z RFN (52). Potem idą dalsi. Kukuczka chciałby w tym roku posunąć się o 2–3 miejsca w górę — wiosną wy-

jechał na K2, na jesień odkłada Manaslu i Annapurnę. Messner odleciał z Monachium 2 czerwca — najpierw do Tybetu, gdzie chce przejść 3000 km szlakami Szerpów, następnie zaś zdobyć brakujące mu Lhotse i Makalu. Marcel Ruedi pojedzie z wyprawą Maxa Eiselina na Lhotse i Everest (chce wejść na oba szczyty), by w końcu jesieni dołączyć się do wyprawy polskiej i zaliczyć Makalu. Nie będzie też próżnował Loretan, którego najbliższym celem jest północna ściana Everestu — nową drogą. Michel Dacher był kierownikiem wyprawy na Manaslu. Czekajmy teraz na wyniki — już najbliższa jesień powinna przynieść rozstrzygnięcia.

Anders Bolinder

Kaukaz zimą 1986

Zaczął się od typowych kłopotów ze składem: aż dziw bierze, iż na najciekawszy i najtrudniejszy obóz sportowy PZA trudno jest skompletować całą ekipę i wyjazd następuje w niepełnym zespole. Tym razem tworzyli go Jerzy Barszczewski, Zbigniew Czyżewski, Ryszard Kołakowski, Tomasz Kopyś, Paweł Kosiński, Kazimierz Smieszko, Zbigniew Winiarski, Jan Wolf (kierownik) i Jerzy Zontek. W Kaukazie czekały nas kłopoty z pogodą. Kiedy 19 lutego przyjechalśmy do hotelu „Azau” pod Elbrusem, skończył się właśnie długi okres bezśnieżnego początku zimy. Pobyt zaczęliśmy od działalności aklimatyzacyjnej i przygotowawczej. W dniu 23 lutego Barszczewski i Winiarski weszli na wschodni wierzchołek Elbrusa (5621 m). Pod Pikiem Szczerowskiego założyliśmy obóz wypadowy. Pogoda była niestabilna z częstymi opadami śniegu. Korzystając z wy-

ciągu i kolejki jeździliśmy trochę na nartach, ale nawet na to nie zawsze były warunki.

Dopiero 3 marca Kołakowski, Kopyś, Smieszko i Wolf wyruszyli z zamiarem zaatakowania drogi Chergianiego na północno-wschodniej ścianie Uszby Północnej (tzw. Lustra). Niestety, warunki na drodze podejścia były trudne, przydarzył się nam nawet dwójkowy upadek do szczeliny. Na Uszbijskim Plateau ponowny lokalny opad śniegu, jak i brak widoczności uniemożliwiły zespołowi wejście w ścianę. W tym czasie (5 marca) w północną ścianę Szheldy Centralnej (4320 m) weszli Kosiński i Zontek z zamiarem przejścia drogi Chergianiego. Niekorzystne warunki, jakie zastali w ścianie, zmusiły ich po 4 dniach wspinaczki do odwrotu, choć mieli już za sobą połowę trudności drogi.

Tymczasem Barszczewski i Winiarski po uprzednim założeniu obozu pod ścianą Don-guzorun (4468 m) także rozpoczęli wspinaczkę, dokonując w dniach 6–8 marca 1986 r. pierwszego zimowego przejścia drogi Chergianiego i Kachianiego na północnej ścianie tego szczytu. Wspinacze szli oryginalnymi wariantami zdobywców, przechodząc zarówno dolne spiętrzenie, jak i czapę seraka szczytowego ściśle środkiem. Mały dwójkowy zespół i dobry czas, mimo złych warunków śnieżnych w ścianie, sprawiają, że przejście to należy zaliczyć do najlepszych naszych osiągnięć kaukaskich. Droga ta, o ocenie 5B, jest uznawana za jedną z najbardziej niebezpiecznych i pokonuje aż 1600 m różnicy poziomów. Przejście spotkało się z dużym zainteresowaniem i uznaniem, a pierwsze gratulacje złożył zasłużony mistrz sportu ZSRR, współautor drogi w r. 1957, Josip Kachiani.

Pozostałe zespoły działały w tym czasie w rejonie Lodowca Szheldyjskiego. W dniu 9 marca około godziny 16 do szczeliny lodowca, niespełna 100 m od obozu, wpadł Zbigniew Czyżewski. Został on wydobyty i przetransportowany do obozu w stanie silnego szoku pourazowego. Zaraz też rozpoczęto dalszy jego transport na zaimprovizowanym toboganie, a potem na noszach. O godzinie 2 w nocy został on dostarczony — cały czas siłami obozu — do szpitala w Tyrnauz, gdzie przebywał 3 dni na obserwacji. Stwierdzono rozległe i niezwykle silne potłuczenia.

Działalność alpinistyczną kontynuowaliśmy od 11 marca. Następnego dnia Smieszko i Wolf dokonali pierwszego zimowego przejścia lodowego kuluaru ograniczającego z lewej strony północną ścianę Piku Szczerowskiego (4259 m). Droga ta, otworzona przez zespół czechosłowacki w r. 1984, ma w dol-

Północna ściana Piku Szczerowskiego — pierwsze wejścia zimowe: 1. K. Smieszko i J. Wolf 12 III 1986 (drogą słowacką); 2. Z. Czyżewski i M. Nanowski 6–7 III 1985 (drogą Abalakową); 3. R. Kołakowski, T. Kopyś i J. Wolf 25 II — 1 III 1984 (drogą Kensińskiego); 4. zespół wspinaczy leninogradzkich w lutym 1984 w 6 dni nie licząc poręczowania); 5. zespół z Leningradu w 1983 r. (drogą Abalakową).

Fot. Jan Wolf



nej części charakter deski lodowej (60°), w górnej zaś łączy się z granią wschodnią (trudności 4B). Przejście nasze trwało 12 godzin i do obozu powróciliśmy bez biwaku. Drogę tę w dniach 13 i 14 marca powtórzyli Kopyś, Kosiński i Zontek, na czym nasza działalność została zakończona.

W tym roku innych grup alpinistycznych było niewiele. Przed naszym przyjazdem odnotowano tylko wejście na Uszbę przez Poduszkę. Potem, już w trakcie obozu, dwójka alpinistów z Moskwy przeszła w półtora dnia drogą Abańkowa lewą częścią północnej ściany Piku Szczurowskiego (II przejście zimowe). Najlepszym jednak osiągnięciem zimy 1985–86 jest przejście Słowaków, którzy przyjechali na drugi turnus obozu. Juro Cermik, Laco Makay i František Piaček, wykorzystując chyba najlepszy okres pogody, przeszli w dniach 8–11 marca północno-zachodnią ścianę Uszby Północnej drogą Kołomycewa (3B, V+, 70°). Jest to pierwsze przejście zimowe i chyba w ogóle pierwsza droga ścianowa przebyta zimą w masywie Uszby. Na tym tle nasze wyniki prezentują się zupełnie dobrze, mimo iż plany udało nam się zrealizować tylko częściowo.

Międzynarodowym obozem — głównie z naszym udziałem — sprawnie kierowali Borys Lwowicz i Denis Makauskas, znani nam dobrze z poprzednich pobytów w ZSRR. Główną ich troską było zapewnienie nam łączności radiotelefonicznej. Niestety, podczas akcji ścianowych sprzęt dwa razy zawiódł,

z czego wypływa wniosek, że należy go sprawdzać przed wspinaczką. W Kaukazie nieocenione usługi oddają narty z fokami, na których podejście pod Pik Szczurowskiego jest możliwe nawet w kopnym śniegu. Z dobrym skutkiem stosowaliśmy też karple czyli rakiety śnieżne. Polecam również zabieranie łopaty, która ułatwia przygotowywanie obozów, a w razie wypadku lawinowego może zdecydować o czymś życiu. Ekipa nasza korzystała z odżywek dla sportowców produkcji „Polfa” Kutno. Opinie na ich temat są dość podzielone, wydaje się jednak, iż odżywki witaminowe „Polvita” OV i OC są bardzo przydatne w naszej działalności, natomiast odżywka „Sportovit” jest mniej udana i nie spotka się z uznaniem wspinaczy. I raz jeszcze chciałbym wrócić do sprawy poruszonej na początku artykułu — składu osobowego ekipy. Koledzy! Miejcie więcej odpowiedzialności i wcześniej powiadomiacie Związek o braku zainteresowania wyjazdem. Odnosi się to również, a nawet przede wszystkim, do rezerwy. Jeśli bowiem Biuro PZA nie wie, kto zamierza wyjechać, to procedura uzgadniania udziału osób z rezerwy może trwać zbyt długo i, jak w naszym przypadku, doprowadzić do wyjazdu w niepełnym składzie.

RYSZARD W. SCHRAMM

Stanisław Motyka 1906 — 1941

Kreśląc na 80-lecie urodzin krótkie wspomnienie o Stanisławie Motyce chcę podziękować wszystkim — jego rodzinie, przyjaciółom, znajomym — którzy w ciągu 25 lat dostarczali mi licznych, nieraz obszernych i bardzo osobistych materiałów. We wspomnieniu tym znajdują szereg własnych myśli i uczuć: nic dziwnego — byli mu niejednokrotnie bliżsi. Pracę tę należy więc traktować jako dzieło zbiorowe.

Gdy zapytamy młodego wspinacza, idącego na drogę Motyki, co wie o jej autorze, usłyszymy, że „był to sławny taternik”. I zwykle nic więcej. Mało wiemy o jednym z najwybitniejszych naszych wspinaczy. Niewielu już nas jest, którzyśmy go znali i wspinali się z nim. Czas zaciera coraz bardziej i tak niewyraźny obraz człowieka. Ciepłe wspomnienie poświęcił Motyce Sławomir Dunin-Borkowski w jednym z konspiracyjnych numerów „Taternika”, należących dziś do białych kruków.

Urodził się 6 maja 1906 r. w Zakopanem. Jego ojciec, Jan, był stelmachem, a później także kierowcą. Pochodził z Dymitrowa Dużego, pow. Tarnobrzeg. Matka, Karolina z domu Golonka — z Młynnego niedaleko Li-

manowej. Miał 3 braci i 5 siostr. Pierwszą wspinaczkę odbył w r. 1923, ale zrazu bardziej pociągaly go narty. Dopiero w r. 1928, gdy wycofał się z narciarstwa zawodniczego, zaczął się wspinac intensywniej — w towarzystwie Bronka Czecha, którego uważał za swego mistrza, oraz nieco młodszych kolegów z gimnazjum — Jana Gnojka, Jana Sawickiego, Witolda H. Paryskiego. W r. 1929, chodząc głównie z Paryskim i Sawickim, dobił do czołówki taternickiej, dokonując takich pierwszych wejść, jak Kozia Wierch filarem Leporowskiego czy Kozia Przełęcz Wyżnia od północy. Przez kilka następnych lat tworzył z Janem Sawickim jedną z najbardziej znanych dwójek w historii taternictwa. W r. 1930 na Żabim Koniu poznał Zoltana Brülla, a przez niego — Štefana Zamkovskiego i innych taterników spiskich. Wkrótce też większość czołowych wspinaczy, przewodników i gospodarzy schronisk południowej strony Tatr weszła w krąg przyjaciół Motyki: Rudolf Donáth, Bartholomäus (Berti) Duchon, Klara Hensch, Vojtech Hudyma, Eduard Kirchner, Alojz Krupicer, Karol Kürti, Stefan Lux, Matthias Nitsch, Dezider (Dožo) Palkovič. Wielu z nich, przede wszystkim Brüll i Zamkovský, było częstymi partnera-

mi jego wspinaczek. Ulubioną bazą Motyki stała się „Trupiarnia” — Zbójnicka Chata, w otoczeniu Doliny Staroleśnej miał też najwięcej nowych dróg.

Lata 1934—36 były okresem najbliższych związków Motyki z taternictwem słowackim. Niewątpliwie pod jego wpływem nastąpiło podwyższenie klasy i unowocześnienie taternictwa i zawodowego przewodnictwa po południowej stronie Tatr. Chyba też żaden z naszych przedwojennych taterników nie był i nie jest tak ceniony wśród starszych Słowaków, jak właśnie on.

Do polskich organizacji taternickich wszedł Staszek stosunkowo późno. W r. 1932 został członkiem Sekcji Taternickiej KS „Tatry” i wkrótce jej wiceprezesem. W czerwcu 1936 r. został przyjęty jako członek zwyczajny do KW PTT. Miał już wtedy za sobą wspaniałe drogi i liczne pierwsze przejścia. W listopadzie tegoż roku został członkiem zarządu Koła Zakopiańskiego KW PTT.

Staszek Motyka żył w górach i żył z gór. Jego pracą zarobkową było latem przewodnictwo wspinaczkowe, zimą zaś funkcja instruktora narciarskiego PZN. W młodości był dobrym lekkoatletą, a zwłaszcza wszechstronnym narciarzem — biegaczem i skoczkiem. Doszedł aż do udziału w Zimowych Igrzyskach Olimpijskich w St. Moritz w r. 1928. Miał dwa wypadki w czasie skoków: na skoczni Guhra u wylotu Doliny Wielickiej i na Wielkiej Krokwi. Ten drugi — kontuzja kręgosłupa — zakończył praktycznie jego karierę zawodniczą. Był też sprawnym i wytrzymałym turystą narciarskim. Zjechał na nartach z Wagi przez Dolinę Ciężką do Doliny Białej Wody. W r. 1926 wraz z bratem Julianem przeszedł na nartach w ciągu 16 godzin z Pięciu Stawów przez Opalone, Morskie Oko, Wrota Chałubińskiego, Ciemne Smreczyny, Wielką Kopecz Koprową, Tomanową Przełęcz i całą grań Czerwonych Wierchów do Zakopanego. W czasie wędrówek narciarskich miał też trzeci poważniejszy wypadek: zjeżdżając w mgłę z Wyżniej Wielickiej Ławki do Zmarzłego Stawu zламаł obie narty i 2 zebra, ciężko się przy tym potłukł — brnąc w głębokim śniegu, półprzytomny dotarł do Roztoki.

W zimie mało się wspaniał. Jako taternik letni był jednak niemal ideałem. W jego przygotowaniach i przeprowadzeniu wspinaczki nie było nic z gorączkowości czy atmosfery „koszenia”. Ze schroniska wychodził jakby ukradkiem. Zawsze, a tym bardziej w czasie wspinaczki, był spokojny i opanowany. Nigdy, nawet w najtrudniejszych i najbardziej dramatycznych momentach nie niecierpliwiał się i nie gniewał. To jego opanowanie i grzeczność wyrobiły mu u towarzyszy przewzisko „Kleryka”. Słowacy nazywali go „Kamzikiem” lub „Kopaczką”. Był trochę „dziwny” dla otoczenia, mało mówny, zamyślający się, daleki. Znane były powiedzenia o nim „on jest na siódmej stacji”, „on się śmieje dopiero jutro”. Ale ci, z którymi poczuł specyficzny „rezonans” — czasem już



Staszek na grani Mięgoszowieckich Szczytów — w głębi Grań Baszt: Szatan, Diabłowina, Zadnia Baszta, Capie Turnie.

Fot. Roman Serafin

po krótkiej znajomości — pamiętają, jak stał się rozmowny i odsłaniał swe oryginalne i ciekawe wnętrza.

Wspaniał się lekko, technicznie, pewnie i rozważnie. Nieraz w czasie wspinaczki zatrzymywał się i zamyślał. Na trudniejszych drogach, zwłaszcza problemach, lubił pogadać sobie ze skałą. Asekurował się starannie, nie ryzykował niepotrzebnie — może dlatego mało chodził samotnie, choć miał za sobą solowe przejścia Zamarłej, wschodniej ściany Kościelca i górnych części ściany zachodniej. Miał rzadki dar orientacji w skałe i terenie górskim. Zdzisław Dziędzielewicz wspomina, jak we wrześniu 1939 r. schodził z Motyką i Wrześniakiem z Kościelca po przejściu Kolina Świerza. Było zupełnie ciemno, a Staszek prowadził pewnie i bez najmniejszych wahań.

W głębi duszy był romantyczny. Jako kilkunastoletni chłopak z młodszym od siebie Janem Sawickim szukał w Dolinie Białego zbójnickich kotlików ze złotem. Razem też wybierali się na odsiecz Lwowa. Doskonale gotował — był zawsze kucharzem zespołów, w których chodził. Może wiązało się to z przewlekłymi i bolesnymi zaburzeniami przewodu pokarmowego, na które cierpiał. Dobrze śpiewał; robił to rzadko, ale czasami na

biwakach zabawiał śpiewaniem towarzyszy. Odnaczał się dużym poczuciem humoru. W czasie wspinaczki północno-zachodnią ścianą Zawratowej Turni zaskoczył Witolda H. Paryskiego, który w pewnym momencie stwierdził, że Motyka asekuruje go przez wetknięty w kępę darni... ołowek; w rzeczywistości nad asekuracją czuwał zasłonięty przez Motykę Sawicki. Znane były kawały Staszka w czasie zawodów narciarskich, czy mistyfikacja z wejściem na Teriańską Przełęcz Niżnią. W książce schroniskowej w Pięciu Stawach było jego (choć nie podpisane) dowcipne „10 przykazań w górach”. Miał duże zdolności plastyczne. Robił doskonale fotografie wspinaczkowe i świetne rysunki: sceny z wspinaczek, karykatury kolegów-taterników czy znanych postaci tatrzańskich, wielokrotnie np. rysował „dziadka” Andrzeja Bustryckiego. Były ich setki: na kartkach rozwieszonych w schroniskach, w książkach pamiątkowych, w zeszytach szkolnych. Część ocalała. Książka schroniskowa „Trupiarń” z licznymi karykaturami Motyki jest w posiadaniu wdowy po Kirchnerze w Preszowie. Książka z Roztoki znajduje się w Muzeum Tatrzańskim w Zakopanem, spory zbiór znajduje się w rękach wdowy po Staszku, Heleny Motykowej w Gdyni. Publikował niewiele, a forma jego prozy było dość uboga. Miał natomiast łatwość rymowania. Sympatyczne są jego bezpretensjonalne „Aforyzmy górskie” zaś wiersz „O schronisku na Gąsienicowej Hali i o świątecznych gościach” oddaje doskonale niepowtarzalną atmosferę starego schroniska Bustryckich.

Motyka wprowadził w Tatry i wyszkolił dziesiątki ludzi. Początkowo na własną rękę, od r. 1936 na kursach po obu stronach Tatr. W r. 1939 został kierownikiem utworzonej przez Koło Zakopiańskie KW Szkoły Taternickiej na Hali Gąsienicowej. Spośród jego wychowanków można wymienić W. Dobruckiego, W. Goślawskiego, A. Maruszarza młod-

szego, K. Mrozka, W. Konarzewskiego. Myślę, że sam mogą się również w jakimś stopniu do nich zaliczyć. Prowadząc ludzi w Tatry, Motyka chciał swój zawód usankcjonować, złożył więc podanie o dopuszczenie do egzaminu na przewodnika tatrzańського. Spotkało się to z opozycją ze strony klanu przewodników, wówczas bez wyjątku górali, którym „niepili” Motyka — lepszy wspinacz, a w dodatku konkurent — był sołą w oku. Starsi przewodnicy urabiali mu też niezbyt miłą opinię dziwaka, histeryka i człowieka nieodpowiedzialnego. Sześć tygodni trwały mocno zakrapiane dyskusje za i przeciw, którym prezydiował senior przewodników tatrzańskich, stary Jędrzej Marusarz, nb. nie największy w tej sprawie oponent, gdyż jego syn, Andrzej, był jednym z najbliższych przyjaciół Staszka. W końcu dopuszczono Motykę do egzaminu, który zdał w czerwcu 1937 r. Otrzymał „blachę” II klasy, gdyż regulamin nie pozwalał zdawać od razu na klasę I, ale już w następnym roku został przewodnikiem I klasy. Stał się pierwszym w historii polskim przewodnikiem niegóralem i pierwszym mającym pełne wykształcenie średnie. Podobnie jak Broniek Czech, chciał ukończyć CIWF, ale „oblał” egzamin wstępny na... pływaniu.

W Tatrach dokonał większej liczby przejść najtrudniejszych ścian, niż jakkolwiek inny taternik: 26 udokumentowanych przejść południowej ściany Zamarłej Turni, ok. 60 przejść wschodniej ściany Kościelca. W sumie zrobił ok. 50 pierwszych przejść, z tego przeszło 40 po stronie słowackiej. Większość, to drogi nadzwyczaj trudne, które mimo upływu lat nic nie straciły ze swej elegancji i klasy. Sam cenił z nich najwyżej południowo-zachodnią ścianę Wschodniego Szczytu Żelaznych Wrót i południową ścianę Kołowego Szczytu. Z długiej listy jego nowych dróg wymienimy następujące (po numerze według WHP nazwiska towarzyszy):



Fot. Wiktor Ostrowski — zdjęcie z albumu Zofii i Lecha Jakubowskich

Roztoka 1935. Z tyłu od lewej: Wawrzyniec Żuławski, Stanisław Motyka i jego częsty partner, Stefan Zamkovský. W pierwszym rzędzie m.in. Stefan Bernadzikiewicz i Justyn Wojsznis. Druga od prawej — Zofia Bernadzikiewiczowa (-Jakubowska).

Kozi Wierch filarem Leporowskiego (191) — z W.H. Paryskim i J. Sawickim, 18 VII 1929.

Kozia Przełęcz Wyżnia północnym żlebem (183) — z M. Kowalskim, W.H. Paryskim i J. Sawickim, 20 VII 1929.

Złobisty Szczyt środkową częścią północno-wschodniej ściany (1403) — z Janem Sawickim, 21 VII 1930.

Maly Lodowy Szczyt środkową częścią południowej ściany (2487) — z J. Sawickim, 23 VI 1932.

Basztowa Przełęcz Wyżnia wschodnim kominem (599) — z J. Sawickim, 5 VII 1932.

Ostry Szczyt środkową częścią południowo-zachodniej ściany (2434) — z Z. Brüllem, J. Sawickim i S. Zamkovskim, 14 VII 1932.

Lomnica zachodnią ścianą wprost pod żółte plamy (3184) — z Z. Brüllem, J. Sawickim i S. Zamkovskim, 26 VII 1932.

Zamaria Turnia trawers południowej ściany (158) — z J. Sawickim, 17 IX 1932.

Zadni Mnich południowo-wschodnim uskokiem (524) — z R. Donáthem, K. Kürtim i S. Zamkovskim, 9 VIII 1934.

Wschodni Szczyt Żelaznych Wrót południowo-zachodnią ścianą, lewą częścią (1460) — z K. Mrozkiem, 21 VIII 1935.

Wschodni Szczyt Widel południową ścianą, lewą częścią (3314) — z Z. Brüllem, V. Hudymą i S. Zamkovskim, 12 VII 1936.

Maly Kołowy Szczyt południową ścianą (3676) — z R. Damcem, W. Konarzewskim i A. Marusarzem mł., 9 VIII 1938.

Zamaria Turnia południowo-wschodnią ścianą, lewą częścią (163) — z R. Glatzem, V. Hudymą i S. Zamkovskim, 25 IX 1938.

Kościelec zachodnią ścianą Kominem Świerza (108) — z Z. Dzieździelewiczem i S. Wrześniakiem, 10 IX 1939.

W pierwszym okresie wojny włączył się do akcji przeprowadzania rodaków przez Tatry na Węgry, przeważnie na własną rękę, częściowo w ramach organizacji kurierskich. Po-



Zakopane ok. 1930 r. Stanisław Motyka (w środku) z kuzynem Zdzisławem Motyką (z lewej) i Bronkiem Czechem. Zdjęcie ofiarowała nam Stanisława Czech-Walczakowa.

szukiwany przez gestapo, ukrywał się przez jakiś czas, po czym 19 marca 1940 r. przeszedł z bratem Aleksandrem przez Tatry na południe, gdzie miał licznych przyjaciół. Na dłużej zatrzymał się u Kirchnera pod Koszycami. W końcu, podobnie jak wielu innych polskich kurierów, znalazł się w obozie dla uchodźców polskich w Leányfalu koło Szentendre (na północ od Budapesztu). Tam też, odpoczywając w gronie przyjaciół, utonął w czasie kąpieli w Dunaju 7 lipca 1941 r. Pochowany został na cmentarzu w pobliskim Pócsmegyer. Jego druh z gór i ze szlaków kurierskich, Józef Krzeptowski, przyniósł na jego mogiłę kamień z Tatr.

Dwadzieścia lat KKTJ

Wszechstronne poznanie, inwentaryzacja i ochrona przed dewastacją jurajskich jaskiń; upowszechnienie techniki odcinkowej oraz odkrycie blisko 10 km nowych korytarzy w podziemiach Tatr; sportowe przejścia najtrudniejszych systemów jaskiniowych na świecie, wreszcie kompleksowa działalność eksploracyjna (zwykle z solidną dokumentacją) w zagranicznych masywach wapiennych... — Tak lakonicznie przedstawić można dorobek Krakowskiego Klubu Taternictwa Jaskiniowego PTTK.

Założony 15 stycznia 1966 r. — pierwotna nazwa Krakowski Klub Turystyki Jaskiniowej — liczy obecnie 85 członków, wśród których 20 osób ma uprawnienia instruktorskie.

Podczas jubileuszowego spotkania wręczono odznaczenia PTTK i upominki od zaprzyjaźnionych klubów. Projekcję przezroczy z wypraw, a w dziejach Klubu było ich kilkadziesiąt, pozwoliły na przypomnienie zarówno tych najskromniejszych, jak i tych tak spektakularnych, jak pierwsze integralne przejście najgłębszej jaskini świata, Gouffre Jean-Bernard, przekroczenie 1 km deniwe-

lacji w uznanej za „podziemny Everest” jaskini Lamprechtsofen, czy wyeksplorowanie trzech nowych jaskiń o głębokości przekraczającej 600 m w Loferer Steinberge w Austrii. Dzięki nim właśnie 10 członków Klubu uhonorowano Medalami za Wybitne Osiągnięcia Sportowe. Na zaimprovizowanym kiermaszu wydawnictw „branżowych” można było kupić m.in. „Jaskinie Wyżyny Krakowsko-Wieluńskiej” z dedykacją autorów, zasłużonych członków KKTJ, zaś w konkursie na dzieło tematycznie związane z ruchem jaskiniowym o miejsce na Parnasie ubiegały się poezja, rzeźba w plastelinie, grafika, metaloplastyka, fotografia... Program jubileuszu, który odbył się w ośrodku ZNP w Harbutowicach, uzupełniały projekcje filmów, występy kabaretu i seans — tak dziś potrzebnej — czarnej magii.

20 lat w dziejach góroznawstwa to niewiele i oby KKTJ w swych dążeniach pozostał wiecznie młody.

Artur Madej

Polskie wspinaczki w Tatrach zimą

Sezon zimowy 1985—86 taterników polskich nie był „sezonem rekordów świata”, ale też nie dostarczył powodów do zadumy nad stopniowym upadkiem kunsztu wspinania zimowego. Był to po prostu kolejny dobry sezon, w którym ugruntowały się tendencje sygnalizowane już w roku ubiegłym (T. 2/85, s. 83). Obowiązujący aktualnie model prowadzenia działalności przez tych — od razu zaznaczymy, niewielu — wspinaczy, którzy decydują się spędzić w górach więcej czasu, to przynajmniej jeden obóz (a bywa, że i więcej) w którymś ze schronisk na Słowacji oraz seria krótszych lub dłuższych pobytów, obecnie przede wszystkim w Roztoce.

Ci, którzy systematycznie wyjeżdżali w Tatry, nie mogli narzekać na warunki. Poza krótkimi załamaniem, pogoda wręcz rozpieszczała. Tragicznym paradoksem jest wobec tego fakt, że aż 4 z 6 tegorocznych wypadków śmiertelnych wiązały się bezpośrednio z niepokogą. Kilka zaledwie dni z autentycznym zagrożeniem lawinowym i ciągi stabilnej pogody sprzyjały prowadzeniu działalności. Wielu taterników zamknęło sezon mając na koncie po kilkanaście dróg, co w ostatnich latach nie było, jak wiadomo, regułą.

Zmiana geografii zimowych wspinaczek stała się faktem. Przedstawię następujące oszacowanie: W okresie zimy kalendarzowej odbyło się za pośrednictwem Biura Turystyki Zagranicznej PTTK 6 dwutygodniowych obozów w schronisku przy Popradzkim Stawie, tyleż w Śląskim Domu oraz 4 w Brnčalowej Chacie. Każdy turnus, to 20 osób (w „Brnčalce” 30), a więc łącznie ok. 360. To prawda, że nie wszystkie miejsca zostały wykorzystane, były też osoby, które zaliczyły nawet po 3 imprezy, ale jednocześnie odbyło się kilka niezależnych obozów, będących wynikiem bezpośredniej wymiany z klubami z CSRS. W każdym razie liczba 300 taterników polskich minionej zimy na Słowacji wcale nie będzie przesadzona. Oczywiście byli to ludzie o różnych kwalifikacjach, zdążyły się nawet klubowe obozy szkoleniowe, ale przecież jest to zjawisko jak najbardziej normalne. Warto też może napomknąć o finansach. Cena turnusu przy wykupieniu pełnych świadczeń (całodzienne wyżywienie o wartości 85 koron) wynosiła 26 300 zł (w Brnčalowej Chacie 27 800). Niby to dużo, ale nie zapominajmy, że kluby zazwyczaj solidnie dofinansowują te wyjazdy. Jeżeli nadto skalkulujemy koszt 14-dniowego pobytu w Roztoce czy „Murowańcu” to — pamiętając o wszystkich innych zaletach hoteli górskich (uczciwe posiłki, ciepła woda, czyste ubikacje) — przestaniemy się dziwić popu-



larności słowackich schronisk, w których jeszcze niedawno temu trudno było uświadczyc rodaka.

W tej tak różowo wyglądającej rzeczywistości nie pomijmy pewnych zjawisk negatywnych. Wygodne, wręcz sielankowe warunki bytowe sprawiają, że zdecydowana większość naszych wspinaczek to drogi jednodniowe — może nawet i trudne, ale zawsze dające pewność powrotu do schroniska na miłą kolacyjkę, czy, o zgrozo, „bankieciak”. Tyko najambitniejsi decydują się na drogi dłuższe, a do ewenementów należą wypadki do odległych dolin północnych — Jaworowej czy Białej Wody. Stąd oceniając sezon zimowy takie właśnie udane ekspedycje należy stawiać najwyżej. Szlagierem w tej klasie przejść jest niewątpliwie pokonanie przez zespół z Warszawy północnych urwisk Rumanowego Szczytu. Jeszcze ciekawiej zapowiadała się próba przejścia północno-wschodniej ściany Ganku owiana legendą drogą Beneša, zakończona niestety na wierzchołku Rumanowego Mnicha. Wartościowsze przejścia zawiera osobne zestawienie. Jak zwykle, nie jest ono kompletne, nie daje też adekwatnego obrazu tego, jak się na Słowacji wspinano. Celem uzupełnienia informacji więc, że przebyto ok. 10 razy komin Stanisławskiego na Małym Kieżmarskim Szczycie (zazwyczaj w ciągu 1 dnia), podobną popularnością cieszyła się droga Stanisławskiego na Pośrednim Gierlachcu, przechodzona w 7—12 godzin. Powtórzone dziesiątki różnych średniotrudnych dróg, które w istotny sposób urozmaiciły wykazy przejść, w których do niedawna przeplatały się źebro Staszla z lewym filarem Cubryny i drogą Stanisławskiego na Mnichu.

A cóż działo się nad Morskim Okiem? Bazą dla wspinaczy było przede wszystkim schronisko w Roztoce, choć zdarzali się amatorzy, którzy udawali, że świetnie mieszka się na dostosowanych do potrzeb zimowych Szalaskach. Niewątpliwie korzystnym zjawiskiem związanym z wydłużeniem podejść pod ściany jest niemal zupełny zanik wyjść

na krótkie wspinaczki w rejonie Zabiego czy Mnichów (wyjątek stanowią lodospady). Generalnie chodziło się tej zimy na długie drogi o możliwie krótkich podejściach. Stąd duże zainteresowanie Cubryną od północy, filarem Kopy Spadowej, ścianą czołową filara Mięgoszowieckiego Szczytu i tzw. filarem klasycznym (kilka przejść w różnym stylu). Na północnych ścianach Zabiej Turni i Wołowej Turni nie wspinano się. Znamienny był fakt, że 11 marca byłem wraz z partnerem czwartym zespołem, który podszedł do Bańdziocha w celach wspinaczkowych. W tym kontekście z uznaniem trzeba odnotować nieznaczalną działalność Krzysztofa Zdzitowieckiego, który z kursantem (!) przeszedł m.in. zapomniane drogi Stanisławskiego na Małą Wołową Szczerbinę i Ciesielskiego na Pośrednim Szczycie Mięgoszowieckim.

Słów kilka na temat Kazalnicy. Czy to się komuś podoba, czy nie, drogi na tej ścianie długo jeszcze będą stanowiły test i dość chyba wiarygodny próbnik umiejętności taternickich. Najpopularniejszymi drogami minionej zimy były obie drogi Długosza, przy czym do dobrego stylu należało przejście ich w jednodniowych wspinaczkach. Inne udane przejścia zawiera wykaz, też pewnie daleki od kompletności. Zwraca uwagę stosunkowo niewielka ich liczba, a także brak przejść cenionej zimą drogi Łapińskiego, nad którą od roku wisi jakieś fatum. Jak pamiętamy, w styczniu ubiegłego roku w lawinie pod ścianą zginęło dwóch taterników przygotowujących się do przejścia drogi; sezon ostatni rozpoczęła nowa tragedia: zginęli na niej dwaj młodzi wspinacze z KW Warszawa — Artur Bulzacki i Romuald Błaszkiwicz. Było później kilka prób, wszystkie jednak zakończyły się odwrotami.

W „Taterniku” 3/1980 Andrzej Machnik ogłosił artykuł „O sportowych aspektach wspinaczki zimowej”, który wywołał w środowisku spory ferment. Wskazał tam m.in. kilka problemów zimowych, które „jeszcze trochę podwyższyć mogą szczebel pokonywanych zimną trudności”. Były to oba ścieki na ścianie Mięgoszowieckiego Szczytu Pośredniego. I właśnie minionej zimy pierwszy z wymienionej listy problemów został rozwiązany. W ciągu 2 i pół dnia Jerzy Brennejzen i Krzysztof Modzelewski przebyli lewy ściek. W górach panowała pełnia zimy, nie było to więc sprytne wykorzystanie anomalii pogodowej. Co ciekawsze, zdobywcy wcale nie sądzą, że dźwignęli zimowe wspinanie na prawdziwe wyżyny! Po prostu zrobili solidną drogę o trudnościach zimą głównie hakowych. Oba biwaki były wygodne — wypadały na kolejnych zakosach drogi Świerza. Co więcej, poważny szturm na prawy ściek przypuścili bardzo aktywni tej zimy Paweł Bukajewicz i Krzysztof Pilawski. Tym razem jeszcze nie puściło, ale być może już najbliższej zimy...

Na zakończenie spostrzeżenie dotyczące zimowego wspinania kobiecego. Otóż aktualnie



Pośrednia Grań, Mała Pośrednia Grań i Żółty Szczyt — widok z Baraniej Przełęczy.

Fot. Andrzej Drobnik

zimowe taternictwo żeńskie praktycznie nie istnieje. Jedyne przejście o charakterze sportowym — droga Długosza na ścianie Kotła Kazalnicy, które padło łupem rutynowanego zespołu Niedbalska — Stano, to stanowczo za mało, żeby z optymizmem patrzeć na tę konkurencję w najbliższej przyszłości.

TATRY SŁOWACKIE

Kolejno: nowe drogi, pierwsze polskie przejścia i ciekawsze powtórzenia:

Niżnia Kwietnikowa Przełęczka — nowa droga od wschodu, z Doliny Sławkowskiej: Andrzej Dutkiewicz i Michał Bulik w lutym 1986; III—IV+.

Czarny Szczyt — nowa droga środkową częścią południowej ściany, z Doliny Dzikiej: Krzysztof Janiszewski, Bolesław Kolleskiński i Ziemowit J. Wirski, 28 II 1986; IV, 2 godziny.

Ponad Kocioł Turnia — droga Beneša północno-wschodnią ścianą: Mariusz Kobiela i Bogdan Stefko, 7 I 1986; V A1 (I polskie przejście w czasie zimy kalendarzowej; I polskie — Władysław Janowski i Kazimierz Śmieszko, 23 III 1985).

Rogata Turnia — droga Driłka wschodnią ścianą: Mariusz Kobiela i Bogdan Stefko, 28 i 30 I 1986; V+ A3 (I polskie przejście).

Rumanowy Szczyt — północna ściana przez Rumanowe Koryto (w kopule szczytowej prawym filarem) Tomasz Czarski, Ryszard Kołakowski i Paweł Kosiński, 29—31 I 1986; IV—V (I polskie przejście w czasie zimy kalendarzowej).

Rumanowy Mnich — droga Beneša północną ścianą; Andrzej Dutkiewicz, Michał Bulik i Arkadiusz Kubicki w lutym 1986 (2 dni); V+ A3 (I polskie przejście).

Rogata Turnia — lewy filar wschodniej ściany: Andrzej Dutkiewicz i Michał Bulik, 1 dzień w lutym 1986; VI A1 (I polskie przejście).

Złota Baszta — droga zacięciami północną ścianą: Jan Nowak, Janusz Nabrdalik, Ryszard Pawłowski, 5—7 III; V+ A1.

Ganek — północny filar: Piotr Panufnik i Marek Pokszan, 13—15 II 1986; V—III.

Gierlach — komin Sawickiego na wschodniej ścianie: Leszek Wolanin i Sławomir Mączyński, 15 II 1986; V.

Wielicka Baszta — Droga Galfiego środkiem południowo-zachodniej ściany (WHP 1948): Ryszard Urbanik i Artur Sułowski, 9 (?) I 1986; IV—VI.

Wielicka Baszta — filar szczytnian: Jacek Partrykont i Ziemowit J. Wirski, 22 I 1986; V.

Zimą przy Morskim Oku

Patrzę na wykaz najlepszych przejść sezonu zimowego 1985—86 przy Morskim Oku i doznaję mieszanych uczuć. Z jednej strony wspaniale rekordy czasu na drogach do niedawna wielodniowych, z drugiej zaś coraz wyraźniejsze tendencje, z których nic dobrego wyniknąć nie może.

Droga w Himalaje omija Tatry

Pierwsza sprawa, to coraz ostrzej zaznaczający się podział na trzy odrębne środowiska: skałkowe, tatrzańsko-alpejskie i himalajskie. Każde z nich ma swoją wąską grupę ekstremalistów i każde, z nielicznymi wyjątkami, żyje zupełnie odrębnym życiem. Czołowi himalaiści i czołowi skałkowcy prawie wcale w Tatrach nie bywają, a jeżeli już się pojawiają, ich wyniki pozostają daleko w tyle za tatrzańską czołówką. Jednocześnie coraz wyraźniej widać, że droga w Himalaje nie prowadzi już przez Tatry. Odnoszenie wielkich sukcesów na ścianach Tatr, nawet przez szereg lat, nie pociąga za sobą, jak kiedyś, propozycji udziału w wyjazdach centralnych. Dochodzi się do nich raczej przez wyjazdy środowiskowe, a więc te, w których udział w większym stopniu zależy od stanu finansów niż od kwalifikacji. Wynikają z tego dwa skutki. Pierwszy, to tworzenie się na wyjazdach środowiskowych kadry ludzi z doświadczeniem wysokościowym przy jednocześnie miernych umiejętnościach technicznych, a drugi, to odcięcie wielu naprawdę dobrych, ale mniej zasobnych taterników od szansy poznania gór wyższych od Rysów czy Gierlachu. Organizatorzy wypraw wolą dobrać uczestników nieco mniej sprawnych, ale już sprawdzonych na wysokości, niż ryzykować przygarnięcie kogoś, kto nigdy nie przekroczył 3000 m. Niby logiczne, ale trzeba pamiętać, że czasy, gdy do himalajskich sukcesów wystarczała sama dobra kondycja, definitywnie się kończą.

Słyszę już zarzut, że przesadzam, że Kurtyka i Kukuczka są świetni w każdym górach (to prawda, ale nie o nich chodzi). Uprzedzając więc atak, wymienię dla przykładu, nazwiska dwóch taterników, którzy od lat należą do najlepszych, a nigdy nie mieli szansy znaleźć się nieco wyżej. Są to Malczyk i Hobrzański. Nazwiska kilku żelaznych bywalców wielkich wypraw, z którymi wolałbym się liną nie wiązać, przez takt przemilczę. Argument, że wyprawy nie mogą się składać z samych ekstremalistów, że w Himalajach potrzebne są i inne umiejętności, znam i generalnie się z nim nie zgadzam. Nie można wiecznie zakładać kilometrów poręczówek dla „ogona” zespołu, a inność umie-



Fot. Christian Parma

jętności himalajskich polega na tym, że muszą być wyższe.

Czołówka, a za nią nic

Ale wróćmy na grunt tatrzański. Coraz większa liczba taterników zaczyna sobie zdawać sprawę z tego, że kto nie dostał się na listę stałych wyjazdowców w okresie boomu wyprawowego, ten raczej nieprędko z Tatr wyjedzie. Stąd powstawanie specyficznych konkurencji (np. bicie rekordów czasu przejścia kilku wybranych dróg) i pojawianie się coraz liczniejszych specjalistów od jednej ściany czy nawet tylko kilku dróg. Ludzie, którzy powinni już wyruszać dalej, a nie mają na to warunków, znajdują w ten sposób nieco może sztuczne, ale nowe pole do wyczynu. Gdyby styl wygrzewania śpiwora w Roztoce i słuchania przebojów między kolejnymi próbami bicia rekordu Wielkiego Zacięcia był zjawiskiem marginalnym, można by przejść nad nim do porządku dziennego. Tak jednak nie jest.

Zamieszczona w tym numerze lista wspinających przejść zimowych z rejonu Morskiego Oka zawiera, niestety, prawie wszystkie przejścia, jakie zostały dokonane. Nie zmieściły się na niej tylko powtórzenia kilku dość poważnych dróg zimowych, jak Długosz—Popko na ścianie Kotła Kazalnicy, prawa depresja Niżnich Rysów, grzęda Heinricha na tej samej ścianie, filar, direttissima i północna ściana Mięguşzowieckiego Szczytu. Nie było natomiast prawie zupełnie wyjść na drogi łatwiejsze (ani jednego na Szpięglasowym, zachodniej ścianie Mnicha, zachodniej Cubryny, Zabim Mnichu). Taterników-niekstremalistów prawie bowiem w rejonie Morskiego Oka nie było, a nieliczni ich przedstawiciele, pozostawieni samym sobie, dawali raczej żalosne występy, jak trzydniowe przejście „Zetki” na Cubrynie czy 20-godzinne przejście grani Kopy nad Wrotami — z użyciem hakówki (!), nie wspominając już o tragicznym w skutkach wypadku na Granaty. Nie ma co zatem zachwycać się sukcesami tatrzańskie czołówki, skoro mamy tylko czołówkę, a zaplecza brak. Analiza nie tylko tego, ale i kilku innych sezonów wykazuje, że w Tatrach Polskich wspina się realnie stale ta sama pięćdziesiątka osób. Dowodzą tego puste podesty na obozowisku w

środku lata (mimo zredukowania ich liczby do połowy) i obecność w okresie ferii wielkanocnych — przy pięknej pogodzie — w rejonie Morskiego Oka tylko 3 osób! Gdzie się podzieli tak liczni zawsze w tym okresie uczniowie i studenci? Podobnie ma się sprawa z naszym wspaniałym alpinizmem kobiecym. Tej zimy wspiwały się nad Morskim Okiem tylko 4 panie... Przyczyny tego stanu trudno byłoby tłumaczyć trudnościami noclegowymi, bo warunki w przeładowanych schroniskach lat siedemdziesiątych wcale nie były lepsze. Zresztą pamiętając czasy wacianych śpiworów i materacyków z dętek rowerowych nie wierzę, by odstraszały kogoś od gór tego typu problemy. Nie na tym więc rzecz polega.

Kto chciałby być ostatni?

Pomińmy przyczyny natury ogólniejszej, jak zmiana zainteresowań młodego pokole-

nia (T. 2/85, s. 95), czy większe niż kiedyś zaabsorbowanie sprawami bytu codziennego. Jedną z przyczyn, nad którą warto się zatrzymać dłużej, są — poruszane już kilka razy w „Taterniku” — obecne koszty uprawiania alpinizmu. A więc ceny sprzętu. Gdyby chcieć zakupić pełne wyposażenie niezbędne do zimowego superwycieczynu, trzeba by zainvestować niemal około miliona złotych! Minimum średniej klasy sprzętu na letnie wspinaczki klasyczne kosztuje przeszło 300 000 zł (pomijam przy tym kwestię dostępności sprzętu). Trzeba jeszcze dodać, że dwutygodniowy wyjazd w góry wymaga posiadania nadwyżki gotówkowej rezerwy co najmniej 15 000 zł. Implikuje to powstawanie specyficznej formy zawodowstwa. Na wysoki wyciecznik tylko ludzie, dla których prace wysokościowe lub mniej lub bardziej legalne „obroty” na wyjazdach stały się głównym źródłem utrzymania. Z kolei jakość wyposażenia zaczyna mieć decydujący wpływ na wyniki. Uzbrojo-

NOWE DROGI

Kozi Grzbiet (Ratusz Mułowy) — superdirtissima północnej ściany: Mirosław Daśal, Jan Muskat, Kazimierz Pucia i Zbigniew Winiarski, 4, 5—9 II 1986 (38 godzin); V+, A3.

Wielka Turnia — lewą depresją wschodniej ściany: Jacek Biłski i Piotr Konopka, 13 XII 1985; V, A0.

Wielka Turnia — północno-wschodnią ścianą (droga zaczęta poprzedniej zimy): Mirosław Daśal i Jan Muskat, 18—19 III 1986.

Cubryna — lewą stroną północno-wschodniej ściany turni zwornikowej: Irena Dębowska i Krzysztof Łoziński, 20—21 III (po zaporczeniu 50 m); V, A2, w warunkach zimowych 10 godzin.

I PRZEJŚCIA ZIMOWE

Raptawicki Mur — droga zw. hematytówką: Kazimierz Pucia i Zbigniew Winiarski, 7—8 I 1986.

Cubryna — droga Dębowskiej i Łozińskiego wiódąca północno-zachodnią ścianą turni zwornikowej (łatwiejszym wariantem): A. Dutkiewicz i A. Kubicki, 15 II 1986. Drugie przejście drogi.

Ministrant — droga Dębowskiej i Łozińskiego wschodnim filarem: Elżbieta Budzbon i Jacek Jadam, 16 III 1986. Drugie przejście drogi.

PRZEJŚCIA W DOBRYM STYLU

Kazalnica Miętusia — droga przez Studnię: Piotr Konopka i Maciej Pawlikowski, 10—12 II, filar: Witold Szmeja, 8—11 III (pierwsze przejście samotne).

Mięguszowiecki Szczyt — dirtissima północnej ściany: Piotr Konopka, 6 III.

Mięguszowiecki Szczyt — ściana czołowa filara, Szare Zacięcie: D. Sokołowski i A. Jakubowski, 12 XII; droga Starka: M. Kobiela i B. Stefko, 27 XII (10 godzin).

Kazalnica Mięguszowiecka — filar z dolną ostrogą plus 4 wyciągi prawej drogi Michnowskiego na Mięguszowieckim Szczycie Pośrednim: Paweł Bujakiewicz i Krzysztof Piławski, 19—20 III (23 godziny non stop).

Kazalnica Mięguszowiecka — droga Długosza: Paweł Bujakiewicz i alpinista szkołki Charlie, 6 II; Kazimierz Woźniak i Bogdan Kowalczyk, 6 III; Grzegorz Cieślak i Krzysztof Wesołek, 19 II

(przez Ciemne Żeberko); Jacek Krawiec i Marek Olczyk, 9 III.

Kocioł Kazalnicy — droga Korasa i Wolfa: Marek Raganowicz 10—13 I (trzęście przejście zimowe, drugie solo); droga Długosza i Popki: Monika Niedbalska i Bernadetta Stano, 10 I (pierwsze zimą jednodniowe przejście w zespole kobiecym); droga Drosta: Mariusz Kobiela i Bogdan Stefko, 13 II; „Supersciek”: Jan Nowak i Ryszard Pawłowski 17 i 18 III (18 godzin).

INNE CIEKAWSZE PRZEJŚCIA

Mnich — wariant „R” od dołu: J. Trybus i D. Grzelewski, 16 i 17 III.

Mięguszowiecki Szczyt — ściana czołowa filara — Szare Zacięcie: Janusz Anforowicz, Jan Liszewski i Bogdan Kowalczyk, 1, 2 III; M. Hunin, S. Kalita, Z. Sedlak i B. Sienkiewicz, 8 III (z poręczowaniem); Czarne Zacięcie: A. Marciniaś i A. Rykoczewski, 18—20 II; P. Chudzik i Motyl, 18—20 II.

Mięguszowiecki Szczyt — ściana czołowa filara inaczej niż WHP 890, a następnie filarem do szczytu („największa wspinaczka zimowa rejonu”) — droga Starka i Uchmańskiego: A. Marciniaś i A. Szewczyk, 27 II — i III (trzęście przejście); przez Szare Zacięcie: A. Jeż i C. Krzysztofik, 11—13 III (czwarte przejście). Piątego przejścia dokonał w 1/2 dnia zespół czeski drogą Michnowskiego i Skarżyńskiego.

Mięguszowiecki Szczyt Pośredni — droga Michnowskiego i Skarżyńskiego: Jerzy Brennejzen i Krzysztof Modzelewski, 12—14 III.

Kazalnica Mięguszowiecka — przez Wielkie Zacięcie: Paweł Bujakiewicz i Krzysztof Piławski, 2—5 I; Jan Nowak i Ryszard Pawłowski, 23—26 II; Iwona Gronkiewicz-Marciszowa i Marek Olczyk, 14—17 III; droga Chrobaka — Marek Raganowicz i D. Kubik, 8—10 III; kant filara: Bernadetta Stano i Andrzej Szczepański, 16—19 III (trzęście przejście zimowe z udziałem kobiety); filar z dolną ostrogą: A. Jeż i C. Krzysztofik, 17—19 III.

Kocioł Kazalnicy — droga Czeszki i Łozińskiego: Piotr Gromek i Andrzej Szczepański w lutym (po zaporczeniu 80 m). Trzecie przejście zimowe.

Mała Wołowa Szczerbina — droga Stanisławskiego: Krzysztof Zdzitowiecki i J. Kuncewicz, 24 II.

Niżnie Rysy — grzędą Heinricha z kopułą szczytową: Jerzy Brennejzen i Krzysztof Modzelewski, 10 III (8 1/2 godziny).

ny w Pulsara, Barakudę i raki Manaslu „zawodowiec” przemyka lekko przez lodospad, zmuszający tradycyjnie uzbrojonego „amatora” do stosowania techniki podciągowej. I tak się koło zamyka — amatorzy są bez szans.

Jeśli dodamy do tego presję środowiska, że „Długosza” na Kazalnicy należy dziś robić w zimie w jeden dzień, to czy naprawdę warto się szarpać — fizycznie i finansowo — wiedząc z góry, że zrobi się w najlepszym razie przejścia kwitowane przez elitę pogardliwym wzruszeniem ramion? Jeżeli jeszcze przy tym wiesz, że choćbyś w Tatrach stanął na głowie i przeszedł filar Kazalnicy w 10 minut, to i tak nikt cię w PZA nie zauważy, bo oczy Zarządu zwrócone są na Everest, to czy nie lepiej ograniczyć się do skałek lub po prostu zostać w domu?

A jeżeli nie masz konkurencyjnych motywacji i wyczynowych ambicji? Jeżeli chcesz się wspinać rekreacyjnie, dla czystej przyjemności, to czy stać cię na sprostanie sytuacji, że będziesz tym najgorszym? Dawniej zmieszcilibyś się w peletonie, ale dziś peletonu już nie ma. Teraz czołówka to niemal wszyscy. Nawet jeśli nikt cię nie nazwie „tym, co kiblował na Długoszu” lub „tym, co haczył Fereńskiego”, to będzie ci głupio, że tak bardzo odstajesz od „wszystkich”. W rezultacie najlepsi nie mają szansy dalszego rozwoju, średni i słabi boją się kompromitacji — i tak środowisko tatrzańskie z roku na rok się kurczy.

Styl śpiworowo-rekordowy

Wróćmy jednak do zimowego sezonu naszych „zawodowców”. Symptomatyczne jest, że mamy do odnotowania tylko parę nowych dróg i nieliczne pierwsze przejścia zimowe, mimo że poważnych problemów przeciętnie nie brakuje. Działalność tego rodzaju nie mieści się jednak w opisanym już stylu śpiworowo-rekordowym. Wypada jeszcze dodać, że zwolennicy tego stylu błado wypadli na tle brawurowych przejść 8 Czechów, którzy

bawili u nas tylko tydzień, ale wspinali się codziennie i przy każdej pogodzie. Mieszkali przy tym pod namiotem, a nie w przytulnej Roztoce. Aby obraz nie był jednostronnie czarny dodam, że ujawniły się tendencje pozytywne, jak np. próby przedłużania dróg na Kazalnicy trudnymi drogami na Pośrednim Mięguszowieckim (nieudane, niestety), a także kolejne przejścia dróg na ścianie czołowej filara Mięguszowieckiego, dociągnięte do szczytu. Kilka zespołów przewinęło się przez dawno nie odwiedzany Bańdzioch.

Osobnym tematem, wymagającym poważnego zastanowienia się, jest przerażająca proporcja między liczbą osób realnie wspinających się, a liczbą wypadków. Pięć ofiar ewidentnie taternickich i dalsze dwie w terenie turystycznym na obszarze Tatr Polskich, gdzie suma wszystkich skutecznych wyjść chyba nie przekroczyła setki. A przeciętne sezon zimowy 1984—85 wcale nie był lepszy!

Trudno uwierzyć, że to przypadki, skoro w dawniejszych latach bywało wspinaczek kilkakrotnie więcej, a tragedia jedna lub dwie. Duża liczba nałożonych na siebie elementarnych błędów, jakie popełniły zespoły z Granatów, daje się wytłumaczyć tylko wadliwym systemem szkolenia. Dlaczego zespół walczący 3 dni na „Zetce” wracał z Cubryny przez Dolinę Piarzystą, zamiast zjazdami znaleźć się szybko na Zadniej Galerii? A jeśli było zbyt lawiniasto na zejście przez Wielką i Małą Galerię, to przez Piarzystą wcale nie jest bezpieczniej. Ale nie winimy młodych ludzi, bo to my ich tak wyszkoliliśmy, to my daliśmy im przedwczesną samodzielność. To my, zapatrzeni w himalajskie sukcesy, zapomnieliśmy o Tatrach.

Zdaję sobie sprawę z tego, że gorzki ton mojej wypowiedzi może wywołać burzę, i mam nadzieję, że ją wywoła. Oby była to burza oczyszczająca, a nie tylko pretensje, że nie wystawiłem gładkiej laurki pełnej zachwytów nad rekordami czasu kilku przejść.

O czystość stylu w skale

Po przeczytaniu notatki kol. Jana Fijałkowskiego pod powyższym tytułem (T. 2/85 s. 82), ja z kolei chcę przekazać kilka słów sprostowania.

I tak, drogę „1000 Mark” przeszliśmy z górną asekuracją, podobnie jak kilka innych dróg w stopniu IXa do IXc — bez zamiaru późniejszego ich prowadzenia. Chodziło nam o zapoznanie się ze specyfiką wspinania w piaskowcu oraz możliwie najwyższymi trudnościami, trochę także o zwykłą przyjemność. Nie ma więc mowy o jakimkolwiek patentowaniu! Pomysł powtórzenia tej drogi z dolną asekuracją zrodził się dopiero pod koniec wyjazdu, a powodem było wyjątkowo jej piękno i nietypowa dla piaskowców rzeźba, trochę przypominająca wapienie (drobne ostre chwytły). Jeśli chodzi o zarzut czynnego użycia haków, prawda jest następująca: Na drodze długości 40 m są osadzone 3 tzw. ringi. Jedynie stałe punkty asekuracyjne. Drogi nie przeszliśmy jednym wyciągiem, lecz na każdym z ringów zakładaliśmy stanowisko. Wiem, że oznacza to spore ułatwienie (prowadziłem najtrudniejszy odcinek), lecz sposób ten jest nagminnie praktykowany przez miejscow-

wych wspinaczy, z B. Arnoldem na czele. Mam kilka pocztówek z przejść dokonywanych przez Arnolda i Lamma — widać na nich wyraźnie, że asekurujący wiśi na ringu najbliższym prowadzącego. O ile mi wiadomo, przejścia najtrudniejszych dróg jednym ciągiem są w NRD dokonywane przez wspinaczy zachodnich. Mnie na taki styl nie było stać, przynajmniej bez dłuższego patentowania (a latać wyjątkowo nie lubię!). O żadnym chwytaniu się punktów przelotowych nie było mowy, nie jest również prawdą, że nasz styl był obserwowany i krytykowany przez kolegów z NRD.

Może z kolei kol. Fijałkowski przyzna się szczerze, skąd ma te bałamutne informacje, czy aby nie są one „wysrane z palca”? Na zakończenie życzę kol. Jasiowi wielu sukcesów w ulubionych piaskowcach, a przyjdą one na pewno wówczas, gdy nie będzie sobie ani innym stawiał sztucznych barier. Bowiem bez porywania się na najtrudniejsze drogi, nawet początkowo kosztem stylu, nie może być żadnego postępu.

Ryszard Malczyk

Styl czy trudności?

Organ Schweizer Alpen-Club, „Die Alpen”, poświęca dużo uwagi wspinaczce skalnej, mającej w Szwajcarii tak bogate zaplecze. W swym biuletynie miesięcznym zamieścił on artykuł poruszający pewne aktualne problemy tego sportu. Sądzymy, że zainteresują one także naszych czytelników. Redaktorowi Etienne Grossowi dziękujemy za wyrażenie zgody na przedruk.

Czy wspinaczka klasyczna zrobiła w ostatnich latach aż tak niezwykle postępy, czy też podwyższająca się z roku na rok skala trudności sugeruje tylko pozorny poziom?

Problemy obróbki dróg. Pytanie nie jest retoryczne, a wątpliwości bywają nierzadko uzasadnione. Jakiś wspinacz przechodzi na przykład całkiem czysto i poprawnie 9 stopień trudności. Był przy tym obserwowany i nie można mu nic zarzucić. Ale „z marszu” (on sight) daje sobie radę z ledwością z „szóstką”. Mówi na ten temat znany francuski skałolaz: „Wspinacz, który robi dziewiątki, jeśli je w ciągu wielodniowych prób wyćwiczy, natomiast a vue (on sight) z biedą osiąga 7+, zaś bez liny nie jest zdolny do pokonania 6 stopnia, budzi u mnie niezrozumienie”. Opinia z pewnością surowa, a przy tym niebezpieczna, łatwo bowiem może sprowokować rywala, by solowym przejściem doświadczył tego, że jest inaczej.

O nowe kryteria wartości. Czyż te dwa przykłady nie pokazują wyraźnie, jak wątpliwe mierniki wartości zdominowały dziś i zawęziły sportowe wspinanie skałkowe? Wszak wszystkie wysiłki skierowane są tu na pokonanie trudności możliwie najwyższych. Liczby określające stopnie skali wywierają duże wrażenie, a w opinii laików dzielą wspinaczy na odpowiednie klasy. Nic dziwnego, że tu i tam odzywają się głosy krytyki, że skała została zdegradowana do roli przyrządu gimnastycznego, zaś aspekt sportowy tak dalece wziął górę, iż przyroda pomyślona została z halą do ćwiczeń. Słyszy się, że przejście bardzo trudnej drogi jest porównywalne z ćwiczeniem gimnastycznym, które — jeśli tylko warunki fizyczne są wystarczające — każdemu kiedyś musi się powieść, jednemu wcześniej, drugiemu o wiele później.

Wspinaczka sportowa w impasie? Odnosi się wrażenie, iż sportowo traktowana wspinaczka znajdzie się niebawem w ślepych zaułku, szczególnie tam, gdzie jej rozwój czyni najwyższe postępy, tj. w parkach wspinaczkowych. Jak znaleźć tu drogę wyjścia? Coraz

to głośniejsze rozbrzmiewa wołanie o organizowanie turniejów i stwarzanie możliwości bezpośredniej konfrontacji — i to nie tyle w postaci pokazów szybkiej wspinaczki, ile w formie, która stworzyć może nowe kryteria wartości i dać wspinaczce sportowej szansę przyjęcia takiego kierunku rozwoju, by jej pierwotny charakter został zachowany. Na myśli mam tu głównie te elementy, które niedawno temu przyniosły odwrót od hakowego, a więc sztucznego przemieszczania się w skałę.

O tym, że tendencje mogą być odwrotne, autor artykułu przekonał się podczas tegorocznego pobytu w Buoux („Die Alpen” 5/1986), gdzie w okresie wielkanocnym na ścianie Styx Wall padły drogi we francuskiej skali 8c. Niestety, zostały one uprzednio poddane daleko idącej obróbce. Zbyt małe dziurki na palce rozszerzono, a ostre krawędki skały spłiwowano piłnikiem. Tam, gdzie chwytów nie było w ogóle — wykonano je z pomocą wiertel. Praktyki takie stosuje się podobno w Buoux nie tylko w najwyższych trudnościach, ale także po to, aby 2 m od już istniejącej drogi umieścić jeszcze jedną. (J.N.)

Nowe perspektywy. Pewne impulsy zostały już niewątpliwie dane. Od paru lat Anglik, Jerry Moffatt, daje sobie radę „z marszu” z najpoważniejszymi drogami, niekiedy i w 9, a nawet 10 stopniu trudności, i to w różnych rejonach skałkowych, gdzie tylko się



Jerry Moffatt

pojawi. Ustanawia on tym całkiem nową optykę i otwiera niemal niewiarygodne perspektywy. I to one właśnie powinny w przyszłości wskazać drogę dalszego rozwoju wspinaczki sportowej. Warunkiem jest tu jednak konieczność elementarnej uczciwości w ocenie zarówno siebie samego i granic swoich możliwości, jak i każdego innego wspinacza. Nie wydaje się to takie oczywiste, wszak w ostatnich czasach liczni wspinacze, chcąc dorównać Moffattowi, robią z marszu nie tylko

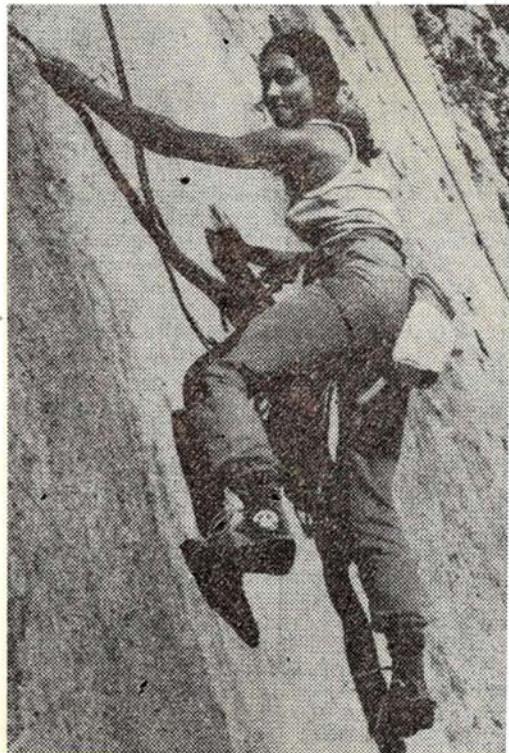
siódemki i — rzadziej — ósemki, ale czasem nawet jakąś dziewiątkę. Bo kto nie chciałby dorównać najlepszym?

Alpinizm jako sport wyczynowy. W ostatnich latach wspinaczka wysokogórska przeszła we wszystkich swych ekstremalnych formach (wyprawy, pokonywanie lodospadów, akrobatyczne zjazdy narciarskie) ewolucję w kierunku prawdziwego sportu wyczynowego. Logiczną tego konsekwencją jest niezwykły wzrost poziomu, nie tylko zresztą w zakresie techniki. W porównaniu jednak z już ukształtowanymi dyscyplinami sportowymi rzuca się w oczy to, że alpinizmowi brak jest pewnych elementów. Mam na myśli np. strukturę organizacyjną, wewnętrzną konstrukcję, a także w pewnym sensie brak zorganizowanych turniejów, które każdemu zawodnikowi winny dać szansę na rzeczowe sklasyfikowanie jego osiągnięć w oparciu o sprawdzian odbyty w wyznaczonym miejscu i czasie.

Chociaż zakulisowo aspekt współzawodniczy jest w alpinizmie od dawna rzeczywistością, nasz piękny sport nie chce się (jeszcze) do niego przyznać. Skutek tego jest taki, że wszystkie rekordy i wyczyny klasyfikowane są nadal bez znajomości ich często skrajnie różnych uwarunkowań. Jedynym uchwytnym miernikiem oceny pozostaje we wspinaczce sportowej stopień trudności, zaś w alpinizmie ekstremalnym — czynnik czasu. A przecież z pomocą gołych liczb niełatwo jest wyróżnić Moffiego spośród gromady butnych konkurentów, czy Bubendorffera z kręgu ludzi przebiegających — z inspekcją lub bez — północną ścianę Eigeru.

Drogi przyszłego rozwoju. Narastające usiłowania, by dobić się do czołówki i tam umocnić swoją pozycję sprawiają, że presja wielkiego wyczynu jest coraz większa. Należy zatem wątpić, czy bez nacisku z zewnątrz w ogóle jest jeszcze możliwa rezygnacja z zacieklej gonitwy za najwyższymi trudnościami i najlepszym czasem przejść oraz powrót do tradycyjnych wartości w różnych formach alpinizmu.

Dla każdego jest wprawdzie jasne, jakie kryteria wartości winny prowadzić i popy-



Luisa Iovane (Włochy): „Moim dążeniem jest zostać najlepszą skalolazką świata...”

Fot. Paul Koller

chać do przodu wspinaczkę sportową. Ich zachowanie i rozwijanie winno jednak następować poprzez wnikliwszą ocenę samego siebie i większą uczciwość, zarówno wobec laika w sprawach liny i młotka, jak i sportowego „konkurenta”. Czy elementy te dałoby się na tyle ożywić, by pozwoliły one sportom górskim wnieść się ponad zawiści i ponad osobiste interesy i — zachowując ich fascynujące aspekty — osiągnąć prawdziwe postępy bez uciekania się do organizacji typu zawodniczego?

Przekład: Józef Nyka

Nowe łańcuchówki w Alpach

Swoją kapitalną serię trzech „ścian Alp” (T. 2/85 s. 49) Christophe Profit bez powodzenia próbował powtórzyć zimą, natomiast z pełnym powodzeniem zrealizował swą starannie przygotowaną łańcuchówkę Jean-Marc Boivin. W dniu 17 marca 1986 przeszedł on w ciągu 20 godzin cztery znane i trudne ściany — Aiguille Verte (w 2 godziny), Les Droites (w 3 1/2 godziny), Les Courtes (2 1/2 godziny) i Grandes Jorasses (w 8 godzin). Z Verte zeskoczył na spadochronie, zaś z trzech pozostałych szczytów zleciał na lotni. Cała impreza była filmowana przez ekipy Telewizji Francuskiej.

W końcu lutego podobnej kombinacji próbował Eric Escoffier, obsługiwany przez helikopter. Przeszedł ściany Verte i Droites, utknął jednak 100 m przed szczytem Triolet.

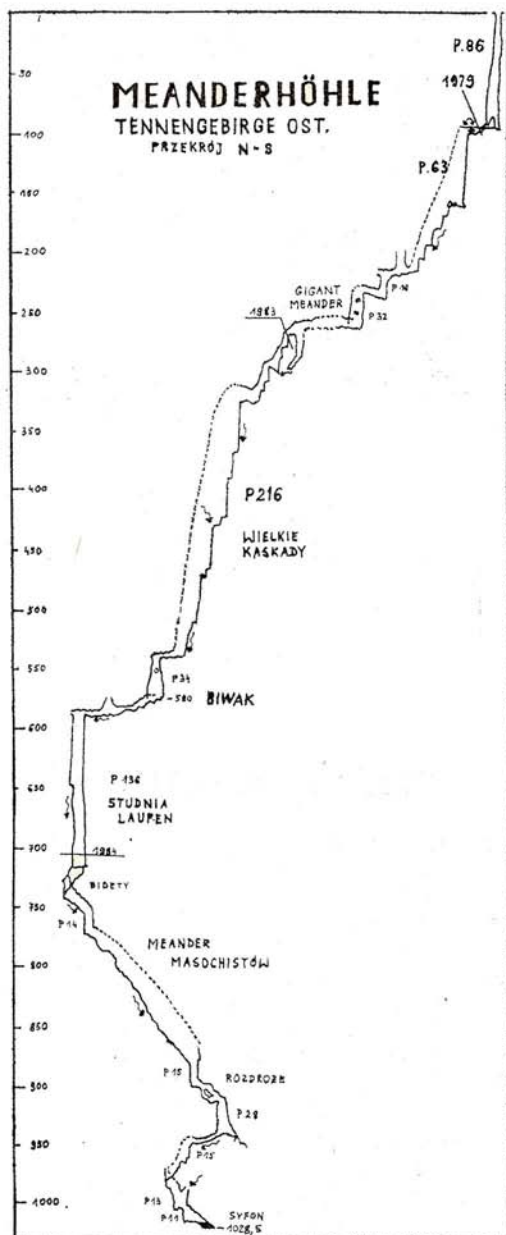
Mogłoby się zdawać, że te rekordowe solowe przejścia wiązane mogą być tylko udziałem alpejskich zawodowców. Tymczasem nie. W ciągu pierwszej dekady marca trzy „ściany Alp” pokonał 26-letni Jugosłowianin, Tomo Cesen z Kranja. W dniu 3 marca przeszedł on w 12 godzin północną ścianę Eigeru, zaś 9 marca — w zaledwie 4 godziny — północną ścianę Grandes Jorasses drogą przez „Całun”. Jako trzecia padła w 10 godzin północna ściana Matterhornu. Jego seria nie jest tak efektywna, jak jednodniowy rajd Profita, nie zapominajmy jednak, że Jugosłowianin nie miał do dyspozycji helikoptera (co nota bene Profitowi wytykano), a ściany przechodził zimą! W maju 1985 r. Cesen wszedł od południa na Yalung Kang (8505 m), tracąc w czasie zejścia partnera.

TYSIĄC METRÓW W MEANDERHÖHLE

Kiedy w r. 1979 wyjeżdżała w Tennengebirge wyprawa zorganizowana wspólnie przez speleokluby Bielski i Zagański, teren na którym przyszło jej działać był pod względem penetracji jaskiniowej dziewiczy. W czasie krótkiego wyjazdu zlokalizowano oraz wstępnie wyeksplorowano 21 jaskiń, m.in. P-4 Meanderhöhle —100 m oraz P-14 Hades —90 m. Dalsze wyprawy w latach 1980, 1981, 1983 i 1984 były już w całości organizowane przez środowisko zagańskie, a kierował nimi Edward Kęsek. W czasie trwania wypraw 1980 i 81 skartowano prawie wszystkie wcześniej odkryte obiekty (27 jaskiń), przeprowadzono też dalszą eksplorację jaskiń już poznanych, m.in. kończąc eksplorację aktualnie najgłębszej na świecie studni „Hades” (—455 m). W jaskini Stary Świstak udało się zejść do głębokości 480 m. Momentem przełomowym w historii Meanderhöhle był rok 1983, kiedy to Muszyński i Woćko odkryli obejście rozkuwanego w latach 1981—83 ciasnego zacisku. Nowa droga wiodła przez 6-metrowy zacisk „czterech zakrętów”, który odtąd stanowił główne utrudnienie w pracy eksploacyjnej. W tym roku udało się temu samemu zespołowi osiągnąć syfon na głębokości 330 m oraz zlokalizować obiecujący problem w Sali Desantów (ok. —300 m).

Latem 1984

Latem 1984 postanowiliśmy skupić się tylko na Meanderhöhle. W trakcie 2 akcji zaporeczowaliśmy jaskinię do —300 m i przetransportowaliśmy część sprzętu za zaciski. Celem trzeciej grupy było rozpoznanie problemu na —300 m. Pokonanie wąskiego meandra dało niespodziewane efekty. Już następny zespół — Dokupil i Maciejewski — odkryli Wielkie Kaskady, osiągając w nich —370 m. W kolejnym wypadzie Woćko i Zyzanski dotarli do dna Wielkich Kaskad (—545 m), wycofując się znow kolejnej studni. Zjazd do studni i dalsza eksploracja meandra były zadaniem Muszyńskiego i Maciejewskiego, którzy dotarli na głębokość —585 m. Działając w oparciu o podziemny biwak (—430 m) Woćko i Dokupil odkryli pokryte błotem poziome partie „Czekoladowe”, które doprowadziły do dużej studni „Laufen”. Zjechali jeszcze 60 m na półkę, osiągając głębokość —660 m. Opady deszczu na powierzchni i przybór wody w jaskini przerwały działalność. Zdecydowaliśmy się na jeszcze jedną akcję, tym razem wprost z powierzchni. Przyniosła ona głębokość —710 m lecz duże ilości wody w studni „Laufen” położyły kres eksploracji.



Przedstawivszy osiągnięcia wyprawy w Landesverein für Höhlenkunde Salzburg, wystąpiliśmy z propozycją zorganizowania wyprawy zimowej do Meanderhöhle. Zgoda nadeszła wiosną 1985 roku.

Zima 1986

Z kraju wyjechaliśmy 4 stycznia 1986 r. w składzie: Henryk Zyzanski (kierownik), Wit Dokupil (zastępca), Edward Kęsek, Ryszard Maciejewski, Marian Muszyński, Zbigniew Kowal (transport), Halina Zyzanska,

Leszek Lis, Paweł Duliniec, Jarosław Woćko (Speleoklub Gorzów — Speleoklub „Bobyry” Zagań), Lubomir Zawierucha, Jarosław Gutek, Marek Walusiak (Speleoklub Bielsko-Biała). Ciężarówką kierował Bolesław Birski.

Działalność w Meanderhöhle rozpoczęliśmy 10 stycznia, poręczając dojście do otworu i wewnątrz jaskini do —580 m. 15 stycznia weszli do jaskini Duliniec, Zawierucha i Maciejewski z zadaniem założenia biwaku w Sali Wielkiej Imprezy (—580 m). Następnego dnia biwak opuścił Maciejewski, przybyli natomiast Woćko i Lis. Duliniec i Zawierucha osiągnęli w 2 akcjach półkę —660 m w studni Laufen oraz błotny meander na głębokości 800 m. Pokonawszy go, Woćko i Lis dotarli nad kolejną studnię, skąd zawrócili (—880 m). Druga akcja tego zespołu przyniosła odkrycie 3 ładnie mytych studni i kolejnego błotnego meandra na głębokości 960 m. Eksplorację kontynuowała druga zmiana biwaku (Muszyński i Maciejewski), niestety, 23 stycznia doszli oni do syfonu wodnego na głębokości —1028,5 m, zagradzającego dalszą drogę. Gutek i Walusiak sprawdzili jeszcze boczny ciąg odchodzący na głębokości —740 m, który okazał się jedynie obejściem partii

już poznanych. 27 stycznia na biwak zeszedł Zyzański z Dokupilem z zadaniem skartowania nowych ciągów. Dwa dni później do akcji weszła grupa wspierająca: Lis i Woćko, którzy kontynuowali pomiary i rozpoczęli retransport lin. Ostatniego dnia stycznia i 1 lutego liny poręczowe zostały zdjęte, a cały sprzęt wycofany z jaskini.

Pomimo niekorzystnych warunków atmosferycznych, związanych z dużymi (ok. 6 m) opadami śniegu, udało nam się zrealizować nasze plany. Jak by nie patrzeć, wynik musi liczyć się w świecie. Jednakże osiągnięcie syfonu —1028,5 m nie wyczerpuje możliwości zwiększenia deniwelacji jaskini. Istnieją realne szanse na dołączenie do niej położonej P-5 oraz kilku innych zlokalizowanych w okolicy, lecz jeszcze nie eksplorowanych. Duże szanse na odkrycia stwarzają również zaobserwowane przez nas wytopiska śniegu, które będą celem naszej następnej, tym razem znowu letniej wyprawy.

Meanderhöhle (Tennengebirge). Entdeckt 1979 und erforscht hauptsächlich durch Speleoklub Zagań. Im Januar 1986 ist ein Siphon erreicht worden. Gesamthöhenunterschied: —1028,5 m.

WYSOKOGÓRSKIE SENSACJE

Archeolodzy na Aconcagua

O tym, że starodawni Inkowie składali ofiary bogom na wysokich szczytach Andów, wiadomo nie od dziś. Fakt, że były to niekiedy ofiary z ludzi, dokumentowały cztery sensacyjne znaleziska. Już w r. 1905 na Cerro El Chani (6000 m) w Jujuy odkryto mumię dziecka. W pół wieku później, w r. 1954, na drugie dziecko natknięto się na Cerro El Plomo (5400 m) w Chile. Zwłoki kilkunastoletniego chłopca znaleziono na Cerro del Torro (5600 m) w San Juan, zaś mumię 15-letniej dziewczynki — na Cerro Pichu-Pichu (5600 m) w Peru. W 1985 roku nastąpiło piąte tego typu odkrycie, tym razem na stoku najwyższej góry Ameryki.

Pierwszą wiadomość o nim przyniosła Wanda Rutkiewicz, która pod Aconcagua spotkała się z grupą alpinistów z Club Andinista Mendoza, członków wyprawy urządzanej z okazji 50-lecia tej organizacji. Opowiadali oni, że wspinając się na Aconcagua od strony zachodniej natknęli się na wysokości 5500 m na zmumifikowane zwłoki ludzkie w otoczeniu różnych przedmiotów. Ich uwagę zwrócił najpierw wystrzępiony pióropusz podobny do niezwyklej na tej wysokości gałązki. Stwierdziwszy, że chodzi o cenne stanowisko archeologiczne, nie tykali niczego. W dwa miesiące później Instytut Archeologii i Etnografii Uniwersytetu w Cuyos i Club Andinista Mendoza, przy wsparciu Towarzystwa Narciarzy Górskich,

zorganizowały wyprawę naukową, którą kierował dr Juan Schebinger.

Prace badawcze utrudniała wysokość i niedostępność terenu. Nie ulegało wątpliwości, że chodzi o rytualny pochówek inkaski. Znaleziono dwie koliste „pirki” (murki), a w jednej — w pozycji siedzącej — ciało 12-letniego chłopca w obrzędowym odzieniu złożonym z kilku szat, z których zewnętrzna zachowała piękne wzorzyste barwy. Stwierdzono, że dziecko pozostawiono żywe, odurzone zapewne napojem alkoholowym lub narkotycznym, śmierć zaś nastąpiła przez wychłodzenie i zamrznięcie. Przy mumii znajdowały się 3 posążki ludzkie ok. 15 cm wysokości — jeden ze złota, drugi ze srebra a trzeci z muszli morskiej, a także (z tych samych materiałów) — 3 wyobrażenia zwierzęce, statuetki lam, wyrzeźbionych ze zdumiewającą ilością szczegółów. Były też i inne przedmioty, wśród nich sandały ze skóry i tkaniny oraz worek na liście coca.

Wiek znaleziska oszacowano wstępnie na 500 lat, a więc czasy przedkolumbijskie lub może okres konkwisty. Plemiona zamieszkujące wówczas Amerykę Południową składały ofiary bogom, których siedziby miały się znajdować na wysokich szczytach. Poświęcano z reguły dzieci, które w swej czystości wydawały się być najpewniejszymi posłańcami. Inż. Wiktor Ostrowski wyraża przypuszczenie iż na Aconcagua ofiarą złożoną bogom był też guanako, którego zmumifikowane ciało znaleziono pod południowym wierzchołkiem, na wysokości 6900 m. Wynikałoby z tego, że Inkowie docierali aż na sam szczyt najwyższej góry kontynentu.

Józef Nyka

Co nowego w Tatrach?

SEZON LETNI 1985 W LICZBACH

Na podstawie schroniskowych ksiąg kontrolnych ruchu taternickiego uzyskujemy szczegółowy obraz działalności w polskich Tatrach Wysokich — może nie całkiem kompletny, ale pod względem wskaźników statystycznych niewątpliwie prawidłowy. W ciągu lata 1985 r. w ksiązkach tych odnotowano wyjścia na wspinaczki 2360 zespołów z udziałem 5335 osób. Ustalony z Dyrekcją TNP łączny „limit wyjść” dla całego sezonu, wraz z działalnością COS (800 wyjść), wynosił 11 580, wykorzystaliśmy go więc zaledwie w 45%. Z obozowiska na Szałasiskach i schroniska w Roztoce wyszło na wspinaczki 1038 zespołów i 2183 osoby, co w porównaniu z rokiem poprzedzającym (1984, zob. T.1/85 s. 39) oznacza spadek działalności o ok. 7%. W Dolinie Pieciu Stawów odnotowano 327 zespołów obejmujących 720 osób, spadek jest tu zatem jeszcze większy, gdyż wynosi 10%. Najgorzej pod tym względem sytuacja wyglądała w rejonie Doliny Gąsienicowej, gdzie stwierdzono spadek aktywności rzędu 20% (wyjście 994 zespołów i 2359 osób), przy czym liczby obejmują też działalność COS w „Betelemce”. Trzeba tu dodać, iż tylko ok. 90% wyjść zakończyło się przejściem drogi i że tylko 85% odnotowanych wyjść odnosiło się do członków organizacji zrzeszonych w PZA. Pozostałe 15% to outsiderzy oraz w niewielkim odsetku cudzoziemcy.

Szczegółowa analiza działalności taternickiej prowadzonej w sezonie letnim 1985 pozwoliła ustalić na podstawie zestawień imiennych, że wspięło się w polskich Tatrach Wysokich 870 osób. Z tej liczby 20% przeszło po 1 tylko drodze, zaś ok. 50% przeszło nie więcej, niż 5 dróg. Około 30% „zaliczyło” po 5–10 dróg, a 18–20% przekroczyło tę liczbę. „Geograficzny” rozkład działalności nie uległ większej zmianie w porównaniu z danymi dla sezonu 1984, uwzględniając zmniejszenie się jej natężenia o dalsze 10–12%. Najwięcej przejść dokonano w rejonie Kościelca, Mnicha z Mniszkiem, Granatów i Zamarłej Turni, moje uwagi na ten temat publikowane w „Taterniku” w poprzednich latach zachowują więc pełną aktualność.

Ogólnie powiedziéć można, iż działalność taternicka jest mało intensywna. Dominują wspinaczki sporadyczne (1–5 przejść w sezonie) lub rekreacyjne (do 10 nietrudnych dróg). Tylko ok. 10% ogólnej liczby osób uprawia działalność, którą można by nazwać sportową. Istniejąca baza pobytowa zaspokaja w pełni potrzeby taterników, którzy w sezonie letnim działają w 85–90% w oparciu o obozowiska PZA. Nadal rosną koszty działalności wspinaczkowej — wyposażenia i sprzętu, ale także samego pobytu w górach (obliczyliśmy, że w stosunku do r. 1984 koszty wzrosły o 20–25%), o czym mowa jest też w artykułach omawiających zimę 1985–86. Należałoby tu szukać nowych środków zaradczych, takich np. jak aktywizacja klubów do dotowanej działalności obozowej.

Zbigniew Skoczylas

OBOZOWISKA PZA W R. 1985

Od 1 lipca do 30 września 1985 r. czynne były, jak zwykle, oba obozowiska PZA: na Szałasiskach poniżej Morskiego Oka i na Rąbanisku w Dolinie Suchej Wody Gąsienicowej. Na pierwszym z nich

zameldowano w okresie eksploatacji 824 osoby, które przebywały przez 4988 dni. Średnia długość pobytu wynosiła 6 dni, a stopień wykorzystania pojemności obozowiska (24 trzyosobowe podesty) 75%. Na Rąbanisku zameldowano 551 osób, które spędziły tu łącznie 3971 dni. Średnia długość pobytu wynosiła 7 dni, a stopień wykorzystania (przy 16 podestach) 90%. W porównaniu z rokiem poprzednim, na Szałasiskach odnotowano spadek długości pobytu o ok. 25%, natomiast na Rąbanisku — wzrost o ok. 30%. Od r. 1982 obserwujemy systematyczny spadek wykorzystania potencjału mieszkaniowego obu obozowisk, szczególnie uderzający przy Morskim Oku. Zjawiskiem charakterystycznym związanym z załamaniem pogody jest natychmiastowe opuszczanie Tatr przez większość taterników, którzy zwykle przenoszą się w skałki podkrakowskie i śląskie, by ew. wrócić po polepszeniu się aury.

Przed sezonem letnim 1985 przebudowano i wyremontowano obiekty i urządzenia na Rąbanisku, kończąc zasadnicze prace renowacyjne na obu obozowiskach. W ciągu roku trwały przygotowania do budowy tak potrzebnej bazy dla grotolazów na Polanie Rogoźniczkańskiej, gdzie konieczne są jednak jeszcze uzgodnienia z Dyrekcją TPN.

Zbigniew Skoczylas

RUCH W TATRACH SŁOWACKICH

Jak co roku, tak i latem 1985 TANAP przeprowadził wrywkowe badania natężenia ruchu turystycznego po swojej stronie Tatr. We wtorek 16 lipca, mimo słabej pogody, na wysokogórski obszar TANAP weszło 13 120 turystów i taterników. W deszczową sobotę 10 sierpnia ruch był nieco mniejszy: 11 160 osób, natomiast w bardziej pogodną niedzielę liczba podskoczyła do 20 265 osób. Do najbardziej obciążonych należały szlaki na Rysy, Krywań, Polski Grzebień, do Stawu Popradzkiego. Na skrzyżowaniu ścieżek pod Doliną Furkotną badano także narodowości przechodniów. I tak 10 sierpnia ujęto w zapisie 226 turystów, z tego 6 Czechów, 11 Słowaków, 8 Węgrów, 4 Polaków i 197 (87%) Niemców. W niedzielę turystów było ogółem 1165, w tym 101 Czechów, 33 Słowaków, 64 Węgrów, 18 Polaków i 949 (81%) Niemców. Wnioski ogólne: natężenie ruchu utrzymuje się od paru lat na podobnym poziomie, przy czym nie jest zbyt uależnione od pogody. W okresie wakacyjnym główną masę turystów tworzą goście z NRD (ok. 80%), zaś gospodarze — Słowacy i Czesi — stanowią zaledwie 10% strumienia pasantów. (jn)

W DOLINIE KIEŻMARSKIEJ

Na przełomie stycznia i lutego 1985 r. w Dolinie Kieżmarskiej odbył się dwutygodniowy obóz taternicki KW Bielsko-Biała. Dokonano m.in. pierwszych przejść zimowych dwóch następujących dróg:

WHP 3870 czyli drogi Lehotskiego środkowym filarem południowej ściany Koziej Turni (trudności V, 2 1/2 godziny) — Ryszard Dudys i Jerzy Kochman (z AKA Kraków) w dniu 29 stycznia.

WHP 3727 czyli drogi Kęsickiego i Wielickiego z r. 1973, wiodącej lewą częścią płyt południowo-wschodniej ściany Jastrzębiej Turni (V+, A2, A3,

5e, 7 godzin). I przejścia zimowego dokonali 29 stycznia w ciągu 13 1/2 godziny Krzysztof Przystal oraz Karol Sopicki, kończąc drogę przy świetle czołówek. Oprócz nitów, zastaliśmy zaledwie kilka stałych haków. (W listopadzie 1985 r. obaj uczestnicy przejścia zaginęli na Ganeshu IV w Himalajach — Red.).

Karol Sopicki

KATOWICZANIE W TATRACH

W pierwszej połowie marca 1986 r. KW w Katowicach zorganizował w oparciu o Brncalową Chatę oboz zimowy, w którym uczestniczyło 10 osób. Przebyto 27 dróg — warto wymienić takie, jak droga Wielkimi Zacięciami na Złotą Basztę (2 dni — Janusz Nabrdalik, Jan Nowak i Ryszard Pawłowski), droga Stanisławskiego do Niemieckiej Drabiny w dobrym czasie 7 godzin (Nowak i Pawłowski oraz Grażyna Pawłowska i Michał Musioł), kant ściany Złotej Baszty z wejściem na szczyt Małego Kieźmarskiego w 8 godzin (Nabrdalik i Pawłowski oraz Nowak i Pawłowska).

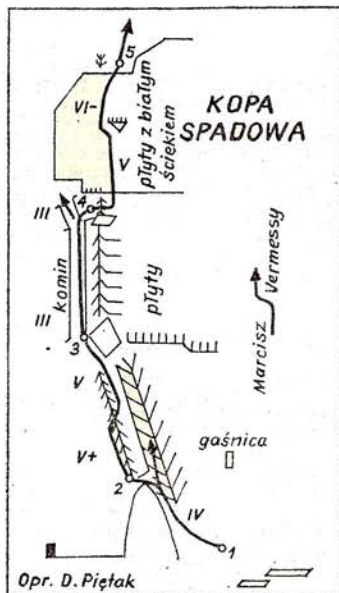
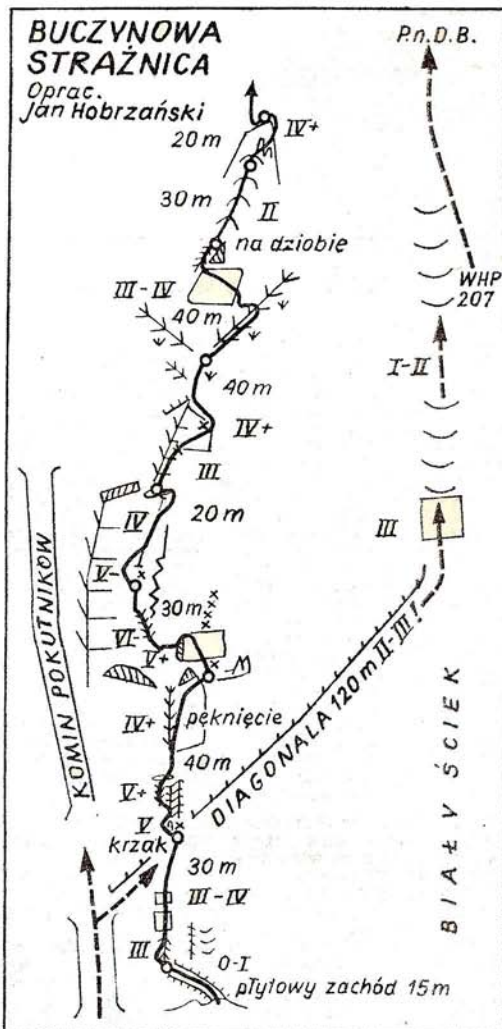
W dniu 17 marca 1986 r. Jan Nowak i Ryszard Pawłowski dokonali w ciągu 18 godzin pierwszego jednodniowego przejścia „superścieku” na ścianie Kotła Kazalnicy. Ta efektowna droga nabrała w marcu szczególnych walorów, a to dzięki warunkom, które pozwoliły pokonać 4 wyciągi po lodzie. Nie lada atrakcję stanowiła cienka nitka lodu powyżej Dzwonu (miejsce 90°). Powrót nastąpił przez Kocioł Kazalnicy.

Jan Nowak

NOWOSĄDECZANIE W WIELICKIEJ

Od 2 do 16 marca 1986 r. działał w otoczeniu Doliny Wielickiej oboz zorganizowany przez KW w Nowym Sączu. Dwudziestoosobowa grupa kierował Witold Filas, instruktorem był Wiesław Stefański z KW Kraków. Dobra pogoda umożliwiła odbycie 55 wspinaczek szkoleniowych i wyczynowych, co dało łącznie 460 godzin wspinaczkowych. Ciekawszę z nich, to droga Gálfyego na Małej Granackiej Baszcie filarem z Małego Dwoistego Kotła, przebyta czysto klasycznie (VI+) przez Jerzego Gurbę i Włodzimierza Knota, droga środkiem zachodniej ściany Pośredniej Niedźwiedziej Czuby (I polskie przejście zimowe?), pokonana przez ten sam zespół, przejście drogi Mączki na Ponad Ogród Turni (T. 1/78 D43) czy przebycie granicy od Polskiego Grzebienia do Wschodniej Batorywieckiej Przełęczy.

Witold Filas



Nowe drogi w Tatrach

WIELKA TURNIA

Częściowo nowa droga wschodnią ścianą: Jacek Biłski i Piotr Konopka, 13 grudnia 1985. Trudności V A0 7 1/2 godziny.

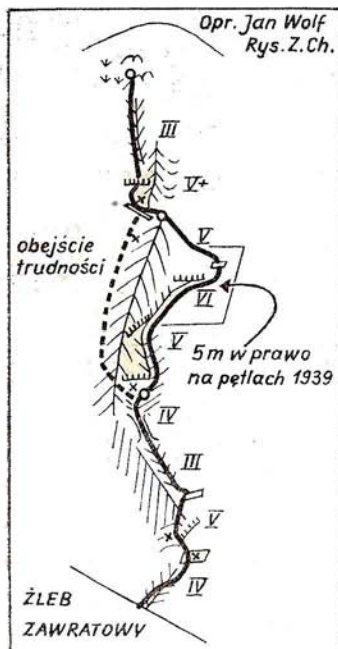
Wschodnią ścianę przecinają na lewo od środka 2 prawie równoległe skośne rysy, biegnące w linii spadku depresji. Prawą prowadzi droga Piszczyka i Serwy (T. 2/74 s. 87). Lewą rysą 3 wyciągi do depresji (2 miejsca V, 4 miejsca A0). Depresją do lewego z trzech znajdujących się nad nią kominów, którym 1 1/2 wyciągu do następnej depresji (1 miejsce V-, 2 miejsca A0). Stąd w lewo (I) na eksponowaną lecz łatwą granicę. Z niej jeszcze ok. 150 m

łatwo na wierzchołek. W kominie napotkaliśmy hak, zostawiliśmy haki na drugim stanowisku w ryście i ostatnim w kominie.

Jacek Biłski i Piotr Konopka

ZAWRATOWA TURNIA

Lewą częścią wschodniej ściany: Zdzisław Dziedzielewicz i Stanisław Wrześniak, 1 września 1939. Drugie (?) przejście, klasycznie: Jan Wojciech Kubań i Jan Wolf 27 kwietnia 1986. Trudności VI, 2 1/2 godziny. Popularną tę drogę — z niemal kompletem haków — przechodzi się dzisiaj nieco inaczej, niż pierwsi zdobywcy. Prawidłowy przebieg, zgodny z opi-



sem w tomie 1 WHP, przedstawian na schemacie. Odkryty na nowo odcinek jest rzeczywiście trudny i nie wykazywał żadnych śladów przejść.

Jan Wolf

BUCZYNOWA STRAŻNICA

Na prawo od Komina Pokutników (wschodnią ścianą): Bożena Trzopek, Jan Hobrzański i Lukasz Krzyżanowski, 1 września 1985 w 7 godzin (orientacyjnie czas powtórzenia 3-4 godziny). Droga jest urozmaicona i piękna wspinaczkowo.

Przejście poprzedziły 2 próby, przerwane z powodu burz: 4 sierpnia 1985 J. Jacowicza i A. Kowalskiego nieco inną drogą (haki nad trzecim stanowiskiem) oraz 23 sierpnia m.in. Grzegorza Karpńskiego, który prowadząc osiągnął czwarte stanowisko. Na szkicu zaznaczono 120-metrową ukośną zalupe, którą biegnie wariant do drogi WHP 207 (przeby-

tem go z Krzysztofem Wróblem w sierpniu), zapewne identyczny z przejściem Kałuży i Wiatraka.

Jan Hobrzański

KOPA SPADOWA

Ściana czołowa zachodniego filara jest często odwiedzana przez taterników, warto więc sprostować informacje podane przez Piotra Konopkę w T. 2/84 s. 87. Otóż droga lewą częścią miała już przejścia wcześniejsze, niż wzmiarkowane w notatce. Szedłem tak z Andrzejem Delewskim 3 sierpnia 1982 r. Powyżej trójkowego kominika w środkowej części ściany, w którym znaleźliśmy stary hak z pętlą zjazdową, połączyliśmy się z górną częścią lewej drogi Michnowskiego. W parę dni po nas podobnie przeszedł tę część ściany zespół Moniki Niedbalskiej, który tego dnia wybrał się na „tetrową cestę” (informacja za książką wyjść). Wywnika z tego, że przejście P. Konopki i A. Winiarskiego jest w najlepszym razie trzecim z kolei. Jeśli chodzi o pas eksponowanych trawek (interesujących w zimie) między drogami Janowskiego i Orłowskiego, to i ta partia jest od dawna wyeksplorowana, sam chodziłem tam z tym samym partnerem kilka razy.

Dariusz Piętał

Już w trakcie druku numeru otrzymaliśmy od autora wiadomość o jeszcze wcześniejszym przejściu drogi: W. Fedorowicz, M. Koras, W. Krajewski i J. Kurczab 10 lutego 1975 r. (Red.).

CZARNY SZCZYT

Nowa droga środkową częścią południowej ściany (z Doliny Dzikiej): Krzysztof Janiszewski, Bolesław Kolleski i Ziemowit J. Wirski, 28 II 1986. Trudności IV, czas powtórzenia 2 godziny.

Wejście z lewej części Niżniej Papiirusowej Drabiny, kilkanaście metrów przed początkiem Papiirusowego Kominika, wyraźna rynna z dobrze widocznym kominowatym przewężeniem. Rynna przez zwężenie (IV+), najtrudniejsze miejsce, pozostawiona pętla i w jej przedłużeniu od bloków (stan. 1, krótkim trawersem można się

stąd dostać do Papiirusowego Kominika). Teraz trawers w prawo i przez stromą ale łatwą ściankę (II) i półko śnieżne pod wybitne zacięcie (stan. 2). Przewinięcie w lewo do innego, krótkiego zacięcia i nim (IV) a następnie z odchyleniem w lewo pod spiętrzenie (stan. 3, przecinamy tu drogę WHP 3508, którą — zimą cały czas po śniegu — można osiągnąć grań). Dalej ukosem w lewo, poniżej wielkiego okapu, na wyraźną krawędź (stan. 4), wreszcie początkowo dość gładkimi skałami żeberka (III+), dalej zaś już łatwiej (III—II), jeszcze pełny wyciąg wprost na wierzchołek Czarnego Szczytu.

Ziemowit J. Wirski

KOZIE CZUBY

Lewą częścią południowo-zachodniej ściany: Jan Hobrzański, Mariusz Koras i Wiesław Krajewski 5 lipca 1975. Trudności IV-V, 2 godziny. Do wejścia na przełęczkę zmusiła nas burza.

Jan Hobrzański



Ruch skałkowy

Z GÓR STOŁOWYCH

Spśród poprowadzonych przez siebie w r. 1985 nowych dróg, Stanisław Handl dwie ocenił na IXa. Pierwszą z nich poprowadził 26 maja prawą częścią wschodniej ściany Pletwy — turni w rejonie Skałnych Grzybów — i nazwał ją „Zmierzeniem bogów”. Druga „dziewiątka” o nazwie „F15” wiedzie lewą częścią południowej ściany turni 6543 w rejonie: Baszt, a zrobiona została 28 października. W obu przypadkach chodzi o drogi krótkie, lecz „bardzo „treściwe”.

Latem 1985 r. Góry Stołowe odwiedził wspomniany na tej kolumnie czeski „piskarz” Tomáš Cada. W ciągu dwóch dni pokonał większość najtrudniejszych dróg na Szczelińcach, w rejonie Białych Skał oraz w masywie Sowich Skał. Dwie drogi wycenił na IXa w skali saskiej: drogę Płonki na Bliźniaku (VIII— w skali UIAA) i drogę „Osiem i pół” w Sowich Skałach (VII+ UIAA). Mieszka on w Nachodzie i w „Hejszowine” ma bliżej, aniżeli w skały Adrspachu.

Władysław Janowski

W dniu 12 kwietnia 1986 r. członkowie Krakowskiego Akademickiego Klubu Alpinistycznego przeprowadzili akcję sprzątania dolinek podkrakowskich. W pracach porządkowych udział wzięło ok. 70 osób z KAKA, KW Kraków oraz KKTJ. Do udziału zostały również zaproszone kluby z Katowic, Gliwic, Częstochowy i Warszawy, specjalne zaproszenie zostało skierowane do Komisji Ochrony Gór PZA. Akcją kierowała Joanna Wigiłusz, pomagali jej Wojciech Mastowski i Zbigniew Piatek. Naszym celem było uprzątnięcie wszelkiego rodzaju śmieci zalegających doliny Będkowską i Kobyłańską. W tej drugiej dużo pracy wymagało oczyszczenie okolicy tzw. Zródekka oraz dolnej części dolinki, gdzie się najczęściej biwakuje. Wynikiem sprzątania było ok. 90 (!) worków pełnych śmieci, które zostały złożone u wylotu Doliny Kobyłańskiej, skąd wywieziono je na wysypisko MPO. Akcja zakończyła się pod Zabim Koniem, gdzie przy ognisku na utrudzonych i zmarzniętych „zbieraczy” czekała gorąca herbata i pieczona kiełbasa. Mimo bardzo zimnej i wietrznej pogody zainteresowanie akcją było duże, a jej uczestnicy pracowali z prawdziwym poświęceniem.

Organizatorzy serdecznie dziękują wszystkim, którzy wzięli udział w pracach i wyrażają nadzieję, że akcja ta nie tylko przyczyni się do zwiększenia naszej dbałości o czystość skałek, ale także do zachowania ich przepięknego krajobrazu dla nas i dla przyszłych pokoleń wspinaczy.

Joanna Wigiłusz

NOWE KARABINKI

Produkowane już przez różne firmy, na rynku popularne stają się karabinki z wgiętym językiem. Mają one widoczne zalety: obszerny otwór ułatwia przekładanie liny, mniejsze jest niebezpieczeństwo obciążenia poprzecznego. Ale mają też słaby punkt, już potwierdzony nieszczęśliwym wypadkiem: przy pewnym ułożeniu szarpnięta przy upadku lina może się sama wymknąć z karabinka, zwłaszcza jeśli zablokuje on się w uchu haka. Dlatego karabinki te należy wpinać zatrzaszkiem do góry, a najlepiej używać ich w połączeniu z pętlą ekspresową.

Pit Schubert

CZESI W NASZYCH DOLINKACH

W dniach 13 i 14 kwietnia 1986 bawiła w Skałkach Podkrakowskich grupa wspinaczy z Czech, wśród których czołowymi osobistościami byli Tomasz Cada i Petr Cermak, należący do ścisłej czołówki wspinaczy piaskowcowych Europy (drogi do stopnia Xb włącznie). Czesi zaprezentowali świetny poziom, a największe wrażenie robią dwa przejścia on sight „Abazego” (VI.3+), dokonane bez większego wysiłku kolejno przez Cadę i Cermaka. Kilka innych osiągnięć budzi nie mniejsze uznanie, zważywszy, iż w odróżnieniu od lokalnych skałolazów Czesi wspinali się bez rozpoznawania dróg. Po raz pierwszy w ten sposób osiągnięty został w Polsce stopień VI.4. Bez respektu atakowane były też 3 z kilkunastu najtrudniejszych obecnie dróg w Dolinkach. Oto zestawienie najciekawszych przejść — 4 pierwsze drogi z Dolinki Bolechowickiej, 2 z Będkowskiej (trudności kolejno w skałach krakowskiej, UIAA i saskiej); style: OS = on sight, RP = Rotpunkt, RK = Rotkreis):

Abazy VI.3+, VIII+, IXc — Cada OS (1. przejście OS); Cermak OS; Aleš Moravec RK.
Sinusoida VI.3, VIII, IXb — Cermak RK.

Rysa Babińskiego VI.2/VI.2+, VIII-, IXa — Cermak OS; Cada OS.

Droga przez Napis VI.2, VII+, VIIIc — Cermak OS; Martin Reizer RK; Cada OS.

Lewy Meninčtš VI.3, VIII, IXb — Cermak OS (1. przejście OS).

Obywatel Scurvy VI.3/VI.4; VIII+/IX-, IXc/Xa — Cermak RK (2. przejście); Cada RK.

Ponadto Cermak spadł dostownie z ostatniego przechwytu Primadonny (VI.4), na prawo od Nienasyccenia), oceniając tę drogę na podstawie prób na IX-/IX (Xa/Xb w skali saskiej). Cada wykonał kilkanaście bezskutecznych prób na *Wariantach Emila Kaczarze* (VI.4+) w Dolinie Bolechowickiej, „nadgryzając” nieco kluczowe trudności. Wyraźnie poza zasięgiem była tylko najtrudniejsza z dróg pod Krakowem, *Montokwas 212* (VI.5).

Krótki okres pobytu „piskarzy” pozwolił jednak na poczynienie kilku spostrzeżeń, które powinny okazać się pozytywne dla naszych skałolazów, mających wielkie aspiracje, choć mniejsze osiągnięcia. Tak więc dolna asekuracja jest jedyną formą tolerowaną przez Czechów. Efektem są doskonałe walory psychiczne zawodników — loty, nawet bardzo długie, traktują oni jako rzecz normalną. Prezentują wyśmienitą wspinaczkę techniczną, przy czym technika góruje nad wykorzystaniem „siły maksymalnej”. Tak poważnie u nas zjawisko nadmiernego „bularstwa” tam traktowane jest humorystycznie. Magnezja, wbrew powszechnym opiniom, cieszy się powodzeniem, a zakaz jej używania bywa omijany przez noszenie w woreczku z gazy sproszkowanej kalafonii i opukiwaniu nim chwytów, co zapewnia większą dyskrecję, jeśli w danej okolicy „proszki” nie są tolerowane.

Potężne zaplecze logistyczne w postaci piwa beczkowego (!), butelkowego i w puszkach umożliwia odnowę biologiczną lub szybkie zapomnienie o niepowodzeniu. Zasada „jak pijesz tak leżeś” jest podobno w Adršpachu i nad Labą empirycznie sprawdzalna*.

Piotr Korzcak

* Może stwierdzenie to zachęci nasz opieszaly handel do ustawienia kilku kiosków z piwem w bardziej uczęszczanych rejonach Dolinek. Przydałoby się też takie zaplecze w Tatrach, np. pod Zamarłą Turnią czy Mnichem. (Red).

BOULDERING NA WĘGRZECH

Od 3 lat Węgrzy organizują zawody we wspinaniu skalnym. Zwycięstwa w nich odnosili: 1983 — János Singer (Węgry), 1984 — Michael Wolf (Austria) i 1985 — Tomasz Cada (CSRS). W dniach 25—27 kwietnia 1986 r. zorganizowano IV. z kolei turniej — tak jak i poprzednie, w Hamor w Górach Bukowych, gdzie nad szosą wznoszą się 40-metrowej wysokości wapienne ściany Kisfal i Nagyfal. Skała jest tu lita, a wspinanie ładne — głównie po krawędzkach. Większość dróg zaopatrzona jest w stałe haki i nity, trudności sięgają —IX (UIAA), a na drogach hakowych — A4. W imprezie tej wzięła udział grupa KW Nowy Sącz i PZA w składzie: Szymon Gonciarek, Jerzy Gurba, Włodzimierz Knót, Sebastian Kostkiewicz, Tomasz Sowiński, Kazimierz Śmieszko i Władysław Janowski. Gospodarze wybrali 7 dróg o trudnościach VI+ do IX-, za których przejście można było zdobyć 200 punktów. Na przejście każdej drogi (z górną asekuracją) ustalony był limit czasu 10 minut, przy czym liczba prób była dowolna, ale za każde odpadnięcie traciło się 1 punkt. Oto pierwsza piątka: Alan Moravec (CSRS) — 165 punktów; Laszlo Bence (Węgry) — 154 punkty; Gábor Babcsán (Węgry) — 153 punkty; Sebastian Kostkiewicz — 153 punkty i Jerzy Gurba 151 punktów. W spotkaniu wzięli udział także wspinacze z NRD, RFN i Szwajcarii.

Władysław Janowski

SOKOLE GÓRY 1985

W latach 1983 i 1984 — po dłuższym okresie martwoty i braku pomysłów — nastąpiło znaczne ożywienie działalności wspinaczkowej w Sokolich Górach oraz innych rejonach Rudaw Janowickich.

W r. 1985 najaktywniejszym wspinaczem w Sokolikach był Janusz Krajewski. Spośród 10 pierwszych przejść klasycznych z dolną asekuracją bądź pierwszych przejść z dolną asekuracją 7 należy do niego, w tym 3 maja trudności VI.2. Pozostałe

premiery (po 2 drogi, jedna wspólnie) należą do Kazimierza Śmieszki i Władysława Janowskiego. Najtrudniejszą drogą w tym sezonie, która po raz pierwszy została pokonana klasycznie z dolną asekuracją, jest okap na zachodniej ścianie Sukiennic (VI.2+), przebytej przez Krajewskiego bez wcześniejszej znajomości, jednakże z lotami. Także po raz pierwszy klasycznie z dolną asekuracją, choć przy uprzedniej znajomości, przeszedł Krajewski ładną „Jedynkę” (VI.2), wiodącą płytowymi skałami południowo-zachodniego kantu Sokolika Małego. Droga „Serduszko” na Babie (VI.2) też otrzymała prowadzenie (Krajewski). Kazimierz Śmieszko przeszedł jako trzeci klasycznie z dolną asekuracją „Hokeja” na ścianie Sukiennic (VI.3). Od pierwszej przymiarki przeszedł klasycznie z dolną ase-

kuracją Janusz Krajewski filar Biedermana i Panfila na Sokoliku Małym (VI.2, drugie przejście), zaś Kazimierz Śmieszko pokonał w tym samym stylu Rysę Osady na Krzywej Turni (VI.2). Z dokonanych solowych wyróżnia się przejście Filarka R na Sokoliku Dużym (VI), zrobione przez Krajewskiego.

Władości sportowe chciałbym zakończyć wcale nie odkrywczym spostrzeżeniem: nadal rosną sterty śmieci w Sokolich Górach, brudno jest także w okolicach Skalnego Mostu, Pieca i Fajki. Po raz kolejny przypominajmy więc, że śmieci należy palić, zaś słoiki, puszki, butelki znosić w odpowiednie miejsce. I oczywiście każdy odpowiada za swoje!

Władysław Janowski

Różne góry, różne lata

WARSZAWIACY W DOŁOMITACH

Latem 1985 r. działał w Dołomitach obóz KW Warszawa w składzie: Joanna Bojarowska, Jerzy Brennejen, Paweł Bujakiewicz, Iwona Filipowska, Ryszard Gos, Eugenia Herzyk, Paweł Herzyk, Zbigniew Jaroszewicz (kierownik), Teresa Jaroszewicz, Jacek Jezierski, Krzysztof Modzelewski, Małgorzata Morawska, Robert Nejman, Piotr Panufnik i Robert Waśkiewicz. Wspinaliśmy się w kilku grupach, dokonując szeregu pierwszych polskich przejść, a także czysto klasycznych powtórzeń dróg uważanych za bardzo trudne. Na wyróżnienie zasługują kilka ładnych przejść kobiecych. Przy drogach trudniejszych podaję w nawiasach styl przejścia.

Tre Cime di Lavaredo

Cima Grande, droga Comicio, VII — Modzelewski i Nejman, 19 VIII 1985 (AF, 2 loty); 20 VII Bujakiewicz i Panufnik (RK, 2 loty); 24 VII Herzyk i Herzyk (RP).

Cima Ovest, droga Cassina, VIII — Herzyk i Herzyk, 22 VII (VII/RP, VIII/A0); Modzelewski i Nejman (VII/RP, VIII/AF, 5 lotów); Bujakiewicz i Panufnik (VII/RP, VIII/AF, 3 loty).

Cima Piccolissima, droga Cassina, VII — Herzyk i Herzyk, 15 VII (RP); Modzelewski i Nejman (RP).

Cima Piccola, droga Eggera, VI+ — Herzyk i Herzyk, 15 VII; Bujakiewicz i Panufnik; Modzelewski i Nejman (wszyscy RP).

Marmolata

Marmolata di Penia, droga Neusüdpfeiler, VI+ — Modzelewski i Nejman, 5 VIII (RP), I polskie przejście.

Marmolata di Rocca, droga Gogny, VII — Modzelewski i Nejman, 29 VII (RP), I polskie przejście; Bujakiewicz i P. Herzyk, 1 VIII (RK, 1 lot). Droga Vinatzerza z wariantem końcowym Messnera, VI+ — Bujakiewicz i Panufnik, 25 VII (RP), I polskie przejście klasyczne.

Marmolata d'Ombretta, via dell'Ideale, VII — Modzelewski i Nejman, 3 VIII (RP), I polskie przejście klasyczne. Droga Conforto, VI — Herzyk i Herzyk, 29 VII. Droga „Don Kichote”, VI — Bujakiewicz i Panufnik, 27 VII. Droga „Schwalbenschwanz”, VI — Modzelewski i Nejman, 26 VII, I polskie przejście. Droga „Hatschi-Bratschi”, VI — Herzyk i Herzyk, 4 VIII, I polskie przejście z poprowadzeniem własnego 3-wyciągowego wariantu prostującego w środkowej części drogi.

Piz Serauta, droga „Ezio Polo”, VII — Modzelewski i Nejman, 1 VIII (RP), I polskie przejście.

Civetta i Catinaccio

Cima Su Alto, droga Rattiego, VI — Z. Jaroszewicz i Wiśniewski, 22 VII.

Torre Venezia, droga Andricha, V+ — Teresa Jaroszewicz i Małgorzata Morawska, 24 VII. Droga Tissiego, VI — Joanna Bojarowska i Małgorzata Morawska, 29.VII. Droga Rattiego i Panzeriego, VI

— Joanna Bojarowska i Małgorzata Morawska, 27 VII.

Punta Emma, droga Stegera, V+ — Jaroszewicz i Jaroszewicz, 1 VIII, I polskie przejście.

Torre Winkler, droga Stegera, VI+ — Jaroszewicz i Jaroszewicz, 2 VIII, I polskie przejście.

Catinaccio, droga Vinatzerza, VI 3X40 — ci sami, 5 VIII, I polskie przejście.

Paweł Herzyk

2000 METRÓW ZIMY

Wschodnia ściana Watzmanna w Berchtesgadener Alpen (RFN), opadająca z wierzchołka południowego (2712 m) do doliny na poziomie Königssee (604 m) jest jedną z ciekawszych w zimie ścian europejskich. Średnie nachylenie wynosi ok. 50°, wysokość skał ok. 1800 m, a długość klasycznej drogi „Kederbachera” — 3000 m. Zdecydowaliśmy się na przejście tej właśnie drogi za namową Franza Raspa, znawcy ściany i autora przewodnika „Watzmann-Ostwand”.

Wspinaczkę rozpoczęliśmy 15 lutego 1986 w dobrej pogodzie, „na wszelki wypadek” wyposażeni na 4 dni. Ze względu na duże ilości kopnego śniegu, pierwszego dnia osiągnęliśmy zaledwie wybitny występ na trzecim zachodzie (1830 m). Drugiego dnia nastąpiło nieoczekiwane załamanie pogody, z groźnym w tej ścianie ociepleniem, opadem śniegu i brakiem widoczności. Po dłuższym zastanowieniu podjęliśmy wspinaczkę i o zmierzchu dotarliśmy do „puszki” biwakowej na wysokości 2380 m, na poziomie górnego pułapu chmur. W nocy przyszedł ostry mróz i następnego dnia o godz. 15 stanęliśmy na szczycie w silnym wietrze. Wchodziliśmy niemal 3 dni, a zejście do doliny Wimbachu (z długimi zjazdami z czekaniem) zajęło nam tylko 3 godziny.

Ściana nie kryje problemów technicznych: w lecie trudności nie przekraczają IV stopnia. Problemy zaczynają się w razie załamań pogody, które stanowią specjalność Watzmanna. W ramach przygotowań do wspinaczki, 27 października 1985 przeszliśmy południową ścianę Dachsteinu w Austrii drogą braci Steinerów, w warunkach częściowo zimowych.

Stanisław Glazek i Jacek Tafel

CHAMONIX — ZIMA 1986

W okresie od 6 do 22 marca 1986 w masywie Mont Blanc przebywały trzy osoby z KW Wrocław: Ewa Gorzkowska, Marianna Stolarek i Wojciech Gala. Mimo krótkiego pobytu i mocno niepewnej pogody dokonano kilku interesujących wspinaczek:

W dniach 8 i 9 marca centralny filar północno-wschodni Les Courtes przebyły Barbara Bajsarowicz (z obozu centralnego PZA) i Marianna Stolarek — było to być może pierwsze przejście zimowe dokonane przez zespół kobiecy. W tydzień później, 16 marca, Barbara Bajsarowicz i Ewa Gorzkowska przeszły w 4 godziny Kuluar Jaegera

na Mont Blanc du Tacul. W dniu 18 marca drogę Gabarrou-Michaud na Petites Jorasses przeszli w 9 godzin Patric Gabarrou (Francja), Wojciech Gala i Dominique Marquis (Francja). Było to pierwsze przejście zimowe.

Wspinaczki nasze spotkały się z uznaniem miejscowej prasy, a przejścia na Petites Jorasses i Les Courtes stanowią mocne, jeśli nie najmocniejsze akcenty działalności licznych tej zimy w Alpach wspinaczy polskich. Pierwsze z nich „AlpiRando” odnotowała w swych „Télégrammes” (5/1986 s. 18).

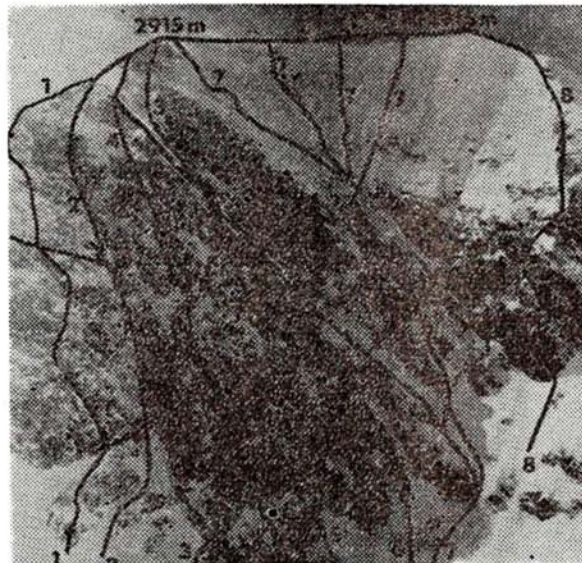
Wojciech Gala

PÓLNOČNA ŚCIANA WICHRENU

W drugiej połowie marca 1986 r. Klub Alpejski „Szarotka”, działający przy Zarządzie Oddziału PTTK w Łodzi, zorganizował kilkudniowy obóz narciarsko-turystyczny w górach Bułgarii. W czasie 5-dniowego pobytu w Pirynie w schronisku „Banderica” udało nam się przejść kilka dróg — na Kutełę (2908 m), Wichren (2915 m) i Muratow Wrych (2669 m), głównie żebrami, ponieważ w górach panowały kiepskie warunki śniegowe (niebezpieczeństwo lawin). Pogoda też zresztą nie była najlepsza. 18 marca Marek Grochowski, Leszek Niesiuchowski, Waldemar Ruta i Andrzej Skłodowski przeszli 400-metrową północną ścianę Wichrenu drogą „kuluarem” (6) — w towarzystwie dwóch bułgarskich alpinistów.

W Pirynie spotkaliśmy kilku znanych bułgarskich wspinaczy, z których jeden, Nasko Lambow, jest specjalistą od północnej ściany Wichrenu. Na podstawie uzyskanych od niego informacji opracowałem przegląd dróg wspinaczkowych na tej ścianie:

1. Droga kategorii 5A, poprowadzona ok. 1980 r.
2. Droga „wprost żlebem”, kategoria 4B.
3. Droga „Narodnaja Armia”, kategoria 4B.
4. Direttissima z zimy 1984 r., kategoria 5A.
5. Droga kominem, kategoria 4B.
6. Droga kuluarem, kategoria 3A.



7. Droga zw. Funjata — z różnymi wariantami. Tym właśnie szlakiem w r. 1943 pokonano ścianę po raz pierwszy. W zależności od wariantu, kategoria 3A lub 3B.

8. Prawą częścią ściany, kategoria 3A.

Wszystkie drogi na północnej ścianie mają, oczywiście, liczne przejścia zimowe, w tym także zrobione przez Polaków.

Andrzej Skłodowski

Wyprawy w góry egzotyczne

SKANDAL NA CHO OYU

Zmora kronikarzy himalajskich są wejścia dokonywane bez zezwoleń i ukrywane przed światem. Na jaw wychodzą one przypadkiem, a niekiedy przy skandalach takich, jak opisany w numerze 2/1986 miesięcznika „Bergwelt”.

W wykazach wejść na Cho Oyu (8201 m) figurował od r. 1979 zamieszkały w RFN Ormianin, Misza Saleki (Mischa Saleki), który wierzchołek miał osiągnąć 10 października, drogą od zachodu. Wejście to budziło wątpliwości, alpinista nie przedstawił bowiem żadnych dowodów, które by je mogły potwierdzić. W 4 lata później poznał on w Namche Bazar dwóch młodych Niemców, którym zaproponował wspólne wejście na Cho Oyu i nakreślił fabularyzowanego filmu. Bazę założono 10 i 11 października 1983 r., ale mroźna i wietrzna pogoda hamowała postępek. Kręcąc sceny do filmu rozbito obóz I (6800 m) na grani północno-zachodniej. W dniu 12 listopada trójka wyruszyła z bazy w stronę szczytu. Następnego dnia stanął obóz II (7100 m), skąd 14 listopada Misza Saleki, Rudi Klingl i Norbert Hertkorn podjęli atak szczytowy. Nie udał on się, gdyż — jak wspomina Klingl — „Misza Saleki nie dorastał ani fizycznie, ani psychicznie do wymogów, jakie stawia ośmiotyśnięcie”. W dniu 15 listopada Niemcy ponowili atak w dwóch (Saleki został w obozie II) i przy 40 stopniach mrozu osiągnęli wierzchołek Cho Oyu, nie zrobili jednak wszystkich zaplanowanych do filmu ujęć. Po dniu odpoczynku, 17 listopada Klingl raz jeszcze wszedł na szczyt, gdzie fotografował i filmował przez 2 1/2 godziny, odmrażając

ręce. Następnego dnia całą trójką wrócili do bazy, kończąc piękne sportowo wejście.

W RFN Saleki wziął od Niemców materiał fotograficzny i filmowy, po czym oświadczył im, że wszystko zepsuło się przy wywoływaniu. Toteż duże było zdumienie Klingla i Hertkorna, kiedy podczas prelekcji Salekiego zobaczyli swoje przezrocza, prezentowane jako jego własne z r. 1979! Zaczęły się one również ukazywać w różnych publikacjach, m.in. w książce „Allein zum Cho Oyu” (Samotnie na Cho Oyu), oczywiście podpisywane nazwiskiem „Misza Saleki”. Część materiału oburzeni Niemcy odebrali mu siłą, a całą sprawę skierowali na drogę sądową. Rozprawy ciągną się już długo i końca przewodu nie widać, dzięki niemu jednak nielegalna wyprawa została ujawniona, a przy okazji padło nowe światło na dwuznaczną sylwetkę Salekiego i jego rzekome wejście z r. 1979, które z kroniki Cho Oyu trzeba ostatecznie wykreślić. A z artykułu Klingla w „Bergwelt” warto wynotować słuszną myśl: „Założeniem każdej wyprawy winno być, aby wszyscy dobrze się znali. Idź tylko z partnerem, z którym się już wcześniej wspinałeś. Nie zapomnij o tym!”

Józef Nyka

MOUNT LOGAN ZIMA

Potężny Mount Logan (6020 m) w sercu Saint Elias Mountains jest najwyższym szczytem Kanady i drugim co do wysokości w Ameryce Północnej. Na jego wierzchołek jako pierwsza weszła 23 lipca 1925 r. wyprawa amerykańska, którą kierował Albert MacCarthy. Obecnie co sezon na szczycie

staże kilka, a czasem nawet kilkanaście wypraw, głównie normalną drogą przez King Trench. W dniu 16 marca 1986 r. Mount Logan otrzymał pierwsze wejście zimowe, którego dokonali w ciągu 28 dni wspinacze z Anchorage — Todd Frankiewicz, Steve Koslow, John Baumann, Willie Hersman, George Rooney i Vern Tejas. Warunki były bardzo ciężkie: tylko 1/4 dni nadawała się do prowadzenia akcji, wichury niszczyły obozy, a termometr stał w granicach -29 do -46°C. Szczyt należy do Klauane National Park, a jego wysokość nie jest pewna (według pomiarów Waltera A. Wooda 5957 m). Wejście to dowodzi, jak duże pole do działania ma jeszcze w Ameryce Północnej alpinizm zimowy.

DWA SEZONY POD ANNAPURNA

W dniu 16 maja 1986 r. prasa bułgarska podała wiadomość, otrzymaną z Katmandu, że kierowana przez Bojana Atanasowa wyprawa dała za wygraną i wraca do kraju. Celem silnej 18-osobowej ekipy bułgarskiej było pierwsze przejście zimowe południowej ściany Annapurny polskim filarem. Bazę założono 12 grudnia 1985, następnie zaś obozy I (5300 m), II (6100 m), IIa (6500 m) i III (6850 m). Do ok. 20 grudnia warunki były dobre, później stały się bardzo ciężkie. Trwały próby założenia obozu IV. W połowie lutego (koniec oficjalnej „zimy”) władze w Katmandu przedłużyły Bułgarem sezon do końca miesiąca. Osiągnęli oni wysokość 7300 m i ok. 25 lutego przerwali działalność z powodu złych warunków. „Alpinizm bułgarski nie stanął dotąd wobec drogi o takich trudnościach”, oświadczył Bojan Atanasow.

Wyjednawszy nowe zezwolenie na sezon przedmounsunowy, alpinści wszczęli 8 kwietnia dalsze ataki. Liny poręczowe trzeba było rozciągnąć od nowa, a obozy — zrekonstruować. W dniu 24 kwietnia dotarto do 7500 m, ale niepogoda zmusiła zespół do odwrotu. Część ekipy wróciła do kraju, część próbowała jeszcze walczyć, jednak bez rezultatu. Jako powód niepowodzenia podano „skrajnie ciężkie warunki z wznastającym zagrożeniem ze strony lawin i obrywów kamieni”. Wyprawa spędziła w Nepalu pół roku, a 3 1/2 miesiąca działała w ścianie. (jn)

ZOSTA DAMA EVERESTU

W dniu 20 maja 1986 r. najwyższy szczyt świata został zdobyty przez następną panią. Weszła na niego od strony zachodniej (trudną granicą zachodnią?) członkini 16-osobowej wyprawy kanadyjskiej, Sharon Wood w towarzystwie Dwayne Congdona z Alberta. Z powodu zimna na szczycie zabawili

oni tylko pięć minut. Liczba zdobywczyń Everestu wzrosła tym samym do 6 — oprócz Kanadyjki były na nim Junko Tabei z Japonii (1975), Phanthog z Chin (1975), Wanda Rutkiewicz (1978), Hannelore Schmatz z RFN (1979) oraz Hinduska Bachendri Pal (1984).

W grudniu 1984 r. Sharon Wood przeszła jako druga kobieta słynną południową ścianę Aconcagua (6960 m) — na imięsiąc przed trzecią z kolei panią, Wandą Rutkiewicz (por. s. 19).

PATAGONIA: WIELKIE DROGI

W grudniu 1984 r. zespół polski przebył lewą część północnej ściany Fitz Roy (T. I/85, s. 29). Pozostał problem jej głównego spiętrzenia z ogromnym zacięciem pośrodku. Drogę tą formacją poprowadziła grupa włoskich instruktorów szkół górskich w ciągu 8 dni w styczniu 1986 r. (szczyt 17 stycznia). 46-wyciągowa droga pokonuje 1900 m wysokości. Ok. 30 wyciągów sklasyfikowano jako V—VI, a na 25 m osiągnięto stopień VIII. Hakówki było bardzo mało. „Chodzi o wyczyn pierwszego rzędu, z którego CAI jest szczególnie dumny” — pisze „Lo Scarpone” z 1 czerwca 1986. Podobnej klasy drogę wycyzyli w minionym sezonie Jugosławianie, przebywając 1100-metrową dziewięć ścianę wschodnią Cerro Torre (długie odcinki VII—VIII+, hakowe do AI). Po 35 dniach akcji (w tym 21 dni niepogody) 16 stycznia 1986 szczyt osiągnęło 6 ludzi, wśród nich słynny Franček Knez, a także filmowcy Matjaž Fistravec, którego film „Peklenska gora Cerro Torre” otrzymał w maju w Trento Premio Marlo Bello. Trzej inni Jugosławianie wycyzyli nową 500-metrową drogę na Fitz Roy. Na schyłku sezonu znany wspinacz austriacki, Thomas Bubendorffer przeszedł filar amerykański Fitz Roy — solo i w 7 godzin! (jn)

USA — ZSRR 9 maja 1986

Po zeszlorocznym radziecko-amerykańskim wejściu na Pik Pobedy (7439 m) w Tien—szanie, które przyniosło dwóm Amerykanom — jako pierwszym cudzoziemcom — tytuły „śnieżnych panter” (zob. „Gościniec” 5/1986), na wiosnę 1986 r. zaplanowano wspólne wejście na najwyższy szczyt Ameryki Północnej, Mount McKinley (6193 m). W skład 10-osobowej ekipy radzieckiej, kierowanej przez W. Epowa, weszli czterej uczestnicy wyprawy na Everest — N. Czerny, J. Gołodow, W. Puczkow i L. Truszczinienko. Akcje górską rozpoczęto 9 maja — w rocznicę wspólnego zwycięstwa nad faszyzmem. Szczyt osiągnęło 10 osób (w tym 1 Amerykanin) w ładnym szybkim ataku (5 dni wraz z zejściem).

Sprawy organizacyjne

ŚWIATOWE FORUM ALPINIZMU

W dniach 10—12 października 1985 r. odbyło się w Wenecji kolejne Walne Zgromadzenie UIAA, poprzedzone posiedzeniami Rady oraz kilku komisji roboczych. Pracom i obradom przewodniczył prezes Unii, dr Carlo Sganzzini ze Szwajcarii. Polski Związek Alpinizmu reprezentował — w zastępstwie Prezesa — niżej podpisany. Rada UIAA (poprzednio Komitet Wykonawczy) zajmowała się przygotowaniem obrad Walnego Zgromadzenia. Przedyskutowano sprawozdania komisji roboczych, wyłoniono kandydatury na wiceprezów, rozpatrzone wnioski o przyjęcie 4 organizacji do UIAA. Walne Zgromadzenie cechowała nadspodziewanie wysoka frekwencja. W głosowaniu na wi-

ceprezów dużą przewagę uzyskał dr Jaromir Wolf z Pragi, który w historii Unii jest pierwszym wiceprezosem z Czechosłowacji. Drugim (do spraw Azji) wiceprezosem został gen. Quamar Ali Mirza z Pakistanu. Do UIAA przyjęto 4 nowe organizacje, ale tylko 1 nowy kraj — Chińska Republika Ludowa.

Wiosenne posiedzenie Rady UIAA odbyło się w dniach 21 i 22 marca 1986 w Wiedniu — równoległe obradowały komisje Ochrony Przyrody Gór oraz Alpinizmu.

Oceniając całość działalności UIAA obserwuje się duże ożywienie — w porównaniu z latami dawniejszymi — jej agend, a także dążność obecnego prezesa do ukonkretnienia programu, by Unia była nie tylko przybudówką dzisiejszego alpinizmu, ale instru-

mentem nieodzownym w jego rozwoju. Najbardziej konkretny wkład merytoryczny w prace UIAA wnoszą jej komisje robocze w liczbie ok. 10 — zebrania Rady i Walnego Zgromadzenia zdominowane są przez sprawy wewnątrzorganizacyjne.

Józef Nyka

LOTNIE W GÓRACH

Przy KW Kraków od kilku lat działa Sekcja Lotniarstwa Wysockiego, która ostatnio otrzymała od PZA uprawnienia „sekcji wiodącej” w tej dyscyplinie w Polsce. Na zebraniu Zarządu PZA w dniu 2 kwietnia 1986 r. powołano do życia zespół roboczy do spraw lotniarstwa górskiego, w składzie Andrzej Heinrich (przewodniczący), Jacek Kibiński, Wiesław Burzyński i Wojciech

Kurtyka. Zadaniem zespołu będzie koordynowanie działań w zakresie lotniarstwa wysokogórskiego, tj. wykorzystywania lotni i lotni z napędem jako środka pomocniczego w działalności alpinistycznej (przykład z Alp — zob. s. 34) a także jej uzupełnienia.

BETLEJEMKA 1985—86

Minionej zimy odbyły się w COS dwa trzytygodniowe turnusy szkoleniowe z udziałem 18 instruktorów. Przeszkoleniem zimowym objęto 46 osób, z czego 43 zaliczyły część praktyczną, 29 zdało egzaminy teoretyczne, a 28 ukończyło kurs, uzyskując pozytywną ocenę z części praktycznej i zdając egzamin z części teoretycznej. Zajęcia programowe zostały wzbogacone cyklem prelekcji wygłoszonych przez Mirosława Daśala (Fitz Roy), Bogdaną Jankowskiego (Lhotse zimą), Eugeniusza Chrobaka (Cho Oyu zimą), Michała Jagiełłę (literatura alpinistyczna; stosunki GOPR ze środowiskiem taternickim), Macieja Popkę (człowiek i góry w czasach najdawniejszych). W zastępstwie chorego Piotra Malinowskiego, pracą COS kierował Wojciech Jedliński, który w sprawozdaniu szczególnie wysoko ocenia działalność zespołu instruktorskiego.

Z ŻYCIA KLUBÓW

Sudecki KW zrzesza obecnie 120 członków, w tym 9 zwyczajnych i 1 honorowego (Jerzy Kolankowski). Od grudnia 1984 r. prezesem jest Władysław Janowski, wiceprezesami są Stanisław Handl i Jan Mikita. Od r. 1983 Klub posiada własny lokal (58—500 Jelenia Góra, ul. 15 Grudnia 36 p. 45). Aktywność sportową przejawia grupa kilkunastu osób — w r. 1985 wyróżnili się Kazimierz Smieszko (w Sokolich Górach i Tatrach), Wojciech Lach (w Śnież-

nych Kotlach i Kotle Małego Stawu), Stanisław Handl (w Górach Stołowych), Czesław Kubat (w Saskiej Sz wajcarii), Zbigniew Czyżewski (w Verdon, Kaukazie, Pamirze). Organ prasowy SKW stanowi kolumna „Alpinizm” w miesięczniku „Karkonosze”. (wj.)

Speleoklub Dąbrowa Górnica wydał 4 numery wewnętrznego biuletynu informacyjnego oraz 3 zeszyty szkoleniowe dla kursów jaskiniowych I i III stopnia. Pierwsze dwa biuletyny ukazały się bez tytułu i numeracji, pozostałe (3 i 4/1985) z tytułem „BIS”. Wszystkie zeszyty zawierają interesujące materiały, a wredagował je głównie Dariusz Piątek. Klub prowadzi ożywioną działalność jaskiniową i taternicką — w kraju i za granicą (w r. 1985 w Czechosłowacji, Bułgarii i we Włoszech).

Stołeczny Klub Tatrzański. W serii wiosennych imprez prelekcyjno-spotkaniowych, SKT odwiedził m.in. prof. Bolesław Chwaścicki, Ryszard Czajkowski, Anna Czerwińska, Józef Nyka, Zbigniew Skoczyła i Andrzej Zawada. Imprezy były udane i z przyjemnością informujemy o wznowieniu tej działalności — tak potrzebnej środowisku warszawskiemu — w październiku br. Spotkanie odbywają się w srody o godz. 19 w Domu Kultury za Żelazną Bramą, ul. Grzybowska 32.

NARADA DOKUMENTALISTÓW

Szybki i wielokierunkowy rozwój alpinizmu sprawia, że coraz większej wagi nabiera problem przekazu informacji wspinaczkowej i wyprawowej. W dniach 2—4 maja 1986 r. odbyła się w Chamonix III z kolei konferencja dokumentalistów górskich, zorganizowana przez Komisję Wypraw UIAA oraz Klub Alpin Français.

Przy stole obrad w ENSA zasiadli przedstawiciele 9 krajów, wśród nich Anders Bolinder (Szwajcaria), Adams H. Carter (USA), Carles Cappellas i Josep Paytubi (Hiszpania), Luciano Ghigo (Włochy), Tomo Česen (Jugosławia), Hans-Dieter Greul (RFN), Marc Janssen (Belgia), Annie Bertholet i Simone Nicole (Francja). Alpinizm polski reprezentowali Zbigniew Kowalewski (jako delegat PZA) i Józef Nyka.

Tematem pierwszej sesji był podział geograficzno-alpinistyczny Andów (Carles Capellas) i Karakorum (Anders Bolinder). Druga sesja poświęcona była komputeryzacji obiegu informacji górskiej. Przedstawiono doświadczenia centrów czynnych już w Paryżu, Londynie i Lublanie, zdemonstrowano też na sprzęcie ENSA działanie systemu „Héraklès”, pracującego za pośrednictwem telefonu. Okazało się, że wszystkie ośrodki gromadzą tę samą informację, a przydatność komputerowa jest, jak na razie, ograniczona: na stawiane pytania najpełniej odpowiadał... Zbigniew Kowalewski. Punkt wyjścia trzeciej sesji stanowił referat Józefa Nyki pt. „Światowe czasopisma alpinistyczne jako źródła informacji górskiej”, zakończony projektem apelu do redakcji, zawierającego postulaty — treściowe i formalne — z punktu widzenia przekazu wiadomości.

Pożyteczne spotkanie prowadziła Annie Bertholet z redakcji „La Montagne”, UIAA reprezentował dr Philippe Mayor. Delegatami z Polski opiekował się z właściwą sobie gościnnością Tadeusz Wówkonowicz, za co mu serdecznie dziękujemy. Widok na Dru z okna jego „szaletu” w Les Pray był i dla nas jedną z głównych atrakcji pobytu.

Józef Nyka

Pozegnania



ANDRZEJ BIELIŃSKI

Fot.
Tadeusz Piotrowski

Andrzeja poznałem wiosną 1979 roku, w toku przygotowań do wyprawy na Rakaposhi. Bliżej przyjaźnilimy się dopiero w górach. Połączył nas sukces i podobne przeżywanie gór, które fascynowały nas obydwu jednakowo.

Andrzej Napoleon Bieliński urodził się 8 kwietnia 1946 r. w Gdyni. Z Tatrami zetknął się dopiero w r. 1974. Był jednym z założycieli Speleoklubu Morskiego PTTK i przez wszystkie lata członkiem jego zarządu. Być może dlatego, że urok wspinaczki poznał z pewnym opóźnieniem, zrodzonej pasji oddał się pełnią serca. Początkowo uprawiał równoległe taternictwo jaskiniowe, później poświęcił się całkowicie wspinaczce. Dopiero jednak w górach wysokich wykazał pełnię swoich możliwości. Zaczął od wejścia na Pik Lenina w r. 1978. Następnego lata była wyprawa na Rakaposhi (7788 m) i pierwsze przejścia grani północno-zachodniej. Kolejny sezon przyniósł nowy sukces — wejścia na dziewicze siedmiotysięczniki Di-staghil Sar Wschodni (7700 m) i Yazghil Dome (7440 m). Oba zdobyte zostały w stylu alpejskim i w bardzo krótkim czasie 10 dni od założenia bazy.

Ale potem przyszło pasmo niepowodzeń. Latem 1981 r. w ataku monsunu załamała się próba przejścia w stylu alpejskim wschodniej grani Dunagiri, zaś latem 1982 pięćsetmetrowy upadek wyeliminował go z rozgrywek o południowo-wschodni filar Nanga Parbat. Fealny rok 1983 rozpoczął się od przegranej na południowej grani Himalchuli

(7983 m) — niesprzyjająca pogoda i tu okazała się silniejsza od woli zwycięstwa. Sytuacja powtórzyła się na Nunie (7135 m): huraganowy, lodowaty wiatr znów przekreślił nadzieje na sukces. Z tym większą więc determinacją ruszył na kolejną, trzecią w tym samym roku wyprawę. Zimowym wejściem na Api (7132 m) chciał przerwać serię niepowodzeń. I znów za przeciwnika miał złowieszczy zimowy wiatr. W wigilię Bożego Narodzenia wyruszył na swoją ostatnią wspinaczkę. Przed sobą miał jasno wytknięty cel: szczyt Api. Szedł przez podszczytowe pola wyprostowane, wpatrzony w wyłoczone zachodzącym słońcem wierzchołek. Malejąca coraz bardziej na śniegu sylwetka...

W tę tragiczną noc Andrzej wspinał się na swój ostatni w życiu szczyt. Na zawsze pozostał w górach, które tak bardzo ukochał. „Przekrój” z 8 kwietnia 1984 r. zamieścił wybór jego listów z wyprawy. W jednym z ostatnich napisał: „...Każda pasja jest egoizmem, który nie liczy się z niczym troską. Moja wymaga od swoich wyznawców niekiedy ceny najwyższej, bo ceny życia.”

Tadeusz Piotrowski



TENZING NORGAY

W dniu 9 maja 1986 r. słynny „tygrys śniegów” zmarł w Dardżilingu w wyniku przewlekłego bronchitu. „Jestem człowiekiem szczęśliwym — mawiał o sobie. — Miałem marzenie i ono stało się rzeczywistością.” Urodził się u stóp Makalu, zapewne w r. 1914, choć daty tej nie był pewien. Również forma jego nazwiska budziła wątpliwości. „Tenzing jest pisownią błędną — stwierdził Pierre Vittoz w r. 1956 — ale czy można zmienić brzmienie nazwiska, które stało się już tak sławne?”

W r. 1932 Tenzing uciekł z domu do Dardżilingu, skąd szły wówczas wyprawy w Himalaje. W latach 1935, 1936, 1938, 1947, 1952 (8550 m na grani południowej) i 1952 jesienią szturmował Everest jako tragarz bądź sirdar, by wreszcie 29 maja 1953 r. stanąć na nim wraz z Edmundem Hillarym jako pierwszy w ogóle zespół. „Trochę poniżej szczytu Hillary i ja przystanęliśmy i spojrzeliśmy w górę. Potem ruszyliśmy... Szliśmy powoli, spokojnie. A potem byliśmy już tam. Hillary pierwszy postawił stopę na wierzchołku, ja stanąłem za nim.” Działał też w innych górach — celami były szczyty w Kaszmirze, Pendżabie, Sikkimie, Tybecie, wśród nich Nanga Parbat (1950) i Kangchendzönga (1951). W r. 1951 z francuską wyprawą dokonał II wejścia na Nanda Devi East (7434 m) — polską drogą z r. 1939. Powiedział później, że nie Everest, lecz właśnie Nanda Devi East była najtrudniejszą wspinaczką jego życia. W r. 1954 ukończył kurs instruktorski w Szwajcarii i podjął pracę w nowo powstałym Instytucie Himalajzmu w Dardżiling — jako szef wyszkolenia górskiego. Pracował tam do r. 1976, później organizował i prowadził trekkingi. Długie lata przewodził Związkiw Szerpów-Alpinistów, działając na rzecz zachowania kultury i surowego stylu życia Szerpów. Dużo podróżował po świecie, złożył wizytę Papieżowi, w r. 1963 uczestniczył w wejściu na Elbrus w Kaukazie. Otrzymał liczne odznaczenia — brytyjski Krzyż Jerzego, Gwiazdę Nepalu, Złoty Medal za Wybitne Osiągnięcia Sportowe ZSRR. W r. 1955 ukazała się w Londynie jego autobiografia spisana przez Jamesa R. Ullmana, tłumaczona na wiele języków, w tym na polski („Czł-

wiek Everestu”, 1957). Prezydent Indii powiedział w swym poślaniu kondolencyjnym, że duch Tenzinga, jego odwaga i jego zamiłowanie do przygody będą inspiracją dla nas wszystkich, a szczególnie dla młodego pokolenia.”

Józef Nyka



RAFAL CHOLDA

W dniu 25 października 1985 r., w przeddzień planowanego ataku szczytowego na Lhotse, w czasie powrotu do obozu VI spadł w przepaść Rafał Cholda, ponosząc śmierć na miejscu. Miał 28 lat, ukończył Wydział metalurgii Politechniki Śląskiej, był członkiem KW w Katowicach. Tatarnictwo i alpinizm stanowiły cały jego świat. W r. 1979 ukończył kurs na Hali Gąsienicowej. Już w następnym sezonie był autorem jednego z ciekawych osiągnięć lata — nowego wariantu na filarze Kazalnicy. Z sezonu na sezon doskonalili swe umiejętności, rosła lista przebytych dróg. Zimowe przejścia filara Ganku, drogi Lapińskiego na Galerii Gankowej, Gryczyńskiego na ścianie Kotła Kazalnicy — to tylko niektóre z jego górskich przygód w Tatrach. W Dolomitach — Comici na Cima Grande, w Alpach — directe americaine na Dru i filar Gervasuttiego na Mont Blanc du Tacul. W r. 1983 był już tatarnikiem zwyczajnym, kierował obozami w Alpach i Tatrach. Latem tego roku zdobył wierzchołek Tircz Mir (7706 m — T. 1/84 s. 17). Marzył o wspinaniu w wielkich ścianach. Po południowej Lhotse miał nastąpić wyjazd w góry Patagonii — na Cerro Torre i Cerro Fitz Roy.

Śmierć Rafała była dla nas dotkliwym ciosem. Zawsze wesoły, pełen humoru, tylko o górach mówił poważnie, góry były bowiem tym, co wybrał w życiu. Wielbil jazz i Jimiego Morrisona, posiadający dużą wiedzę muzyczną i historyczno-literacką, był dla wielu z nas niepowtarzalnym wzorem. Pozostanie na zawsze w naszej pamięci.

Artur Hajzer



PIOTR KALMUS

Urodził się 1 maja 1955 r. w Krakowie, tu też ukończył studia na Wydziale Mechanicznym Politechniki Krakowskiej. Z górami zetknął się poprzez Studenckie Koło Przewodników Górskich w Krakowie. W 1973 roku ukończył kurs skałkowi i szkołę tatarnictwa. Od tego czasu prowadził działalność górską latem i zimą w Tatrach Polskich i na Słowacji, stopniowo poznawał góry świata: Rile i Pirin w roku 1974, Alpy Bawarskie w 1976, Bergell w 1977, Alpy Francuskie w 1978, Pamir (z wejściem na Pik Lenina) w 1979, Kaukaz Zachodni

w 1980, Dolomity w 1984... Niejedno z jego wejść znaleźć można w kronikach sezonów „Taternika”. Od r. 1976 jako instruktor szkolił zarówno w KW Kraków jak i w COS PZA, brał również udział w organizacji szkolenia taternickiego dla turystów kwalifikowanych w Komisji Turystyki Górskiej PTTK i współpracował z Komisją Szkolenia PZA. Od 1977 r. był członkiem Grupy Beskidzkiej GOPR, gdzie działał nie tylko jako ratownik i instruktor narciarstwa, lecz również na polu organizacyjnym, m.in. biorąc udział w pracach nad przygotowaniem tekstów Ustawy o kulturze fizycznej. Interesował się sprawami bezpieczeństwa i sprzętu wspinacz-

kowego, uczestniczył w pracach Komisji Sprzętowej PZA. Był jednym z założycieli KW w Jastrzębiu Zdroju i jego wiceprezesa.

Wiosną 1985 r. wyjechał do Pakistanu jako członek wyprawy KW Kraków, mającej za cel zdobycie południowo-wschodniego filara Nanga Parbat. Podczas ataku uszczytowego, 10 lipca 1985 r., zginął porwany przez lawinę. Pozostał na zawsze u stóp Góry, którą tak bardzo pragnął zdobyć. Nam pozostało wspomnienie uśmiechu znad strun gitary przy wspólnym ognisku... Pamiętasz?...

Przyjaciele

Kochane zdrowie



Fot. Tony Herr

CONSUMED BY CLIMBING

W amerykańskim dwumiesięczniku „Climbing” (kwiecień 1986) ukazał się artykuł poświęcony sylwetce Hugh’a Herra — pięć lat temu jednego z najlepszych i najbardziej obiecujących wspinaczy Ameryki. Mając 13 lat chodził on na drogi 5.11, a w wieku lat 15 prowadził w trudnościach 5.12 (UIAA IX). Niestety, w marcu 1982 r. odmroził się ciężko w White Mountains i w wyniku amputacji stracił obie nogi. Lekarze powątpiewali, czy w ogóle dobrze opanuje chodzenie. Ale Hugh, kiedyś „totally consumed by climbing”, nie dał za wygraną. Obdarzony silną wolą i uzbrojony w protezy, zaczął intensywny trening górski i dziś znów robi drogi klasy 5.12, w tym także pierwsze przejścia. Wypracował sobie nawet pewne techniczne przewagi nad konkurentami. W protezach zmienia stopy w zależności od formacji przeważających na ścianie, może nawet zmieniać swój wzrost — w granicach metra! — co na drodze „Stage Fright” na Cathedral Ledge (pierwsze

przejście klasyczne) umożliwiło mu pokonanie kluczowego odcinka. Historia Hugh’a jest inspiracją nie tylko dla niepełnosprawnych. Pokazuje ona, że siłą woli i przez wykorzystanie rezerw duchowych i fizycznych tkwiących w organizmie można pokonać każdą przeszkodę.

8000 M — STREFA ŚMIERCI

Tragedia Andrzeja Czoka, jednego z najbardziej uzdolnionych i doświadczonych himalaistów świata, jest ostrzeżeniem dla wszystkich szturmujących wysokie góry, płynię z niej bowiem wniosek, iż nawet długa praktyka ośmiotysięczna nie zabezpiecza przed zabójczym atakiem choroby górskiej. Podobny przykład stanowi śmierć na stokach tejże Kangchendzongi wybitnego himalaisty amerykańskiego, Chrisa Chandlera, który równo rok wcześniej zmarł w wyniku ostrego obrzęku płuc na wysokości 7500 m (w nocy z 15 na 16 stycznia 1985 r.). Nierzadkie są też przypadki zachorowań wśród bardzo doświadczonych wspinaczy wysokościowych, uratowanych dzięki szybkiej pomocy, bądź też łagodniejszym formom choroby. Tak np. wiosną 1983 r. na zachodniej grani Everestu na wysokości 8000 m zapadł na chorobę górską John Roskelley, którego ściągnął i zniósł w dół jego partner, Kim Momb. „Gdyby nie jego szybka decyzja, Roskelley straciłby niechybnie życie” — napisano w sprawozdaniu. W grudniu zeszłego roku z drogi na Cho Oyu atak choroby górskiej cofnął Rogera Marshalla, również wysokościowca z niemalą praktyką. Zima jest nota bene okresem bardziej niebezpiecznym niż inne sezony, gdyż — jak stwierdzono — ciśnienie atmosferyczne jest wówczas dodatkowo obniżone (z minimum w styczniu).

Przy obrzękach płuc lub mózgu choroba postępuje bardzo szybko — zarówno Chandler jak i Czok zmarli w ok. 24 godziny od wystąpienia pierwszych objawów. O życiu decyduje więc szybkość akcji ratunkowej, z której podjęciem nie wolno zwlekać ani chwili. Oto jeszcze jedno zdanie z Kangchendzongi: Jesienią zeszłego roku silny zespół amerykański (m.in. Kim Momb i John Roskelley) wspiął się północną ścianą. Przy drugim ataku uszczytowym, w obozie III (7400 m) Gregg Cronn zbudził się w nocy z bólem głowy, dręzciami i innymi objawami obrzęku płuc. Również z braskiem, jego partner, Laurie Skreslet, zaczął śpieszną ewakuację, w czym z obozu II przyszedł mu z pomocą Momb i Roskelley. Pod koniec dnia wszyscy byli w bazie, gdzie Cronn po paru dniach wyzdrowiał. „Jest to dobry przykład zapobieżenia tragedii przez szybką i zdecydowaną akcję, prowadzoną przez świetny zespół wspinaczy” — czytamy w komentarzach prasowych. Decydujące znaczenie może mieć wyposażenie górnych obozów w butle z tlenem. Uwzględniając uwagi Andrzeja Machnika na ten temat (s. 14) stwierdzić trzeba, iż pilnym zadaniem dla Komisji Bezpieczeństwa UIAA winno być wszczęcie prac nad nowym konceptem transportu tlenu lekarskiego — może w lżejszych ładunkach lub (co już zasygnalizowano) w postaci osobnych składników, w razie potrzeby łączonych na miejscu.

Józef Nyka

200 LAT ALPINIZMU

W notatce pod tym tytułem, zamieszczonej w „Spacerkiem po skale” („Gościńce” 4/1986), przypomnieliśmy okoliczności pierwszego wejścia na Mont Blanc w dniu 8 sierpnia 1786, uznanego za moment narodzin sportu wysokogórskiego. Alpy Francuskie przygotowują się z rozmachem do obchodów 200-lecia tego wydarzenia. Przewidziane są wystawy i konkursy, poczta wypuściła już okolicznościowy znaczek, nakreślono kilka filmów. „La Montagne” i włoska „Alp” wydały specjalne numery, nakładem wydawnictwa Glénat ukazało się dzieło „Le Mont Blanc dans la gravure ancienne”. Uroczystą oprawę otrzymają w Chamonix Święto Przewodników (15 sierpnia) oraz Międzynarodowy Zlot Alpinistów z 35 Krajów (7–20 lipca), połączone z przeglądem zespołów ludowych. Główne uroczystości odbędą się 8 sierpnia, a ich „gwóździem” będzie prowadzone przez Rogera Frison-Roche'a widowisko „światło i dźwięki”, będące odtworzeniem historycznej wyprawy dra Paccarda i Balmata. Gospodarze spodziewają się przyjazdu na tę imprezę 100 000 gości! Osobne uroczystości odbędą się w Courmayeur, choć Włosi swoją „normalną” otworzyli dopiero 1 sierpnia 1890 r. (uczestnikiem pionierskiego wejścia był ks. Achille Ratti, późniejszy papież Pius XI). Koordynacją imprez jubileuszowych zajmuje się francusko-włosko-szwajcarski komitet organizacyjny. Kiedy w maju bawiliśmy w Chamonix żyło ono przygotowaniami, których widomy znakiem był przechodzący renowację, opleciony rusztowaniem pomnik Balmata i De Saussure'a.

Józef Nyka

DOKĄD ZMIERZA ALPINIZM?

Jubileusz stulecia Club Alpin Suisse w kantonie Ticino (Tessin) uczczono dwudniową konferencją gwiazd alpinizmu ostatniego półwiecza — tym razem bez udziału Reinholda Messnera. W największej sali miasta Lugano 21 marca 1986 wystąpił z prelekcją Bonington, po czym wyświetlono kilka filmów pokazujących wyczyny Profita. Następnego dnia odbyła się transmitowana na żywo przez radio i tv dyskusja trzech generacji, zatytułowana „Dokąd zmierza alpinizm?” Pod sprawną batutą Sylwii Buscaini dyskutowali Christophe Profit, Patrick Edlinger i Jerzy Kukuczka jako przedstawiciele „młodych” (roczniki 1948–61). Chris Bonington, Kurt Diemberger, Allen Steck i René Desmaison jako pokolenie średnie (roczniki 1926–34) wreszcie Raymond Lambert i Riccardo Cassin w roli starszej gwardii (roczniki 1909–14). Żywa 4-godzinna dysputa nie przyniosła jednoznacznej odpowiedzi na pytanie postawione w tytule, wykazała jednak dowodnie, jak wielką przepaść — sportowa i ideologiczna — dzieli obie starsze generacje od „młodych”. W centrum uwagi znajdował się Jerzy Kukuczka — „Il polacco ché pue superare Messner” (Polak, który może pokonać Messnera), jak głosił duży tytuł gazety „Corriere”. Na zdjęciu: Kukuczka, Bonington i Diemberger — „tre grandi specialisti dell'Himalaya” („Alp” 6/1986).



PAJĄKI LODOWE

Wspinaczka na lodospadach staje się w krajach alpejskich coraz to popularniejsza, a tereny do jej uprawiania odkrywane są nawet na obszarach lasów. Od 3 do 7 lutego Oesterreichischer Alpenverein urządził w swym centrum szkoleniowym w Wysokich Taurach międzynarodowe spotkanie lodolazów, w którym udział wzięli m.in. Douglas Scott, Michel Piola, Robert Schauer, Daniel H. Anker oraz Pierre-Alain Steiner. Wspólnym wspinaczkom towarzyszyły dyskusje, eksperymenty techniczne i projekcje filmowe. Uczestnicy stwierdzili, iż pod względem techniki nie ma istotnych różnic między poszczególnymi ośrodkami europejskimi, jedynie Szkoci i Anglicy stosują odmienne metody i — reguły, jak np. tę, że przeloty wolno zakładać tylko z „wolnej stopy”, bez wieszania się w przyrzędach. Ustalono, że stanowiska należy tworzyć z 2 śrub osadzonych co najmniej 50 cm jedna nad drugą i połączonych pętlą. Śruby z uchemi przyspawanymi winno się wkręcać uchem do góry. Podczas ociepleń niebezpieczne jest atakowanie partii pionowych, które mogą oderwać się od podłoża i runąć wraz z wspinaczem. Zastanawiano się nad skalą trudności, za podstawę biorąc skalę szcocką:

- I — stok lodowo-śnieżny 45°.
- II — jak wyżej + 5 m 60°.
- III — 45 m 60° + 10 m 70° + 2 m 90°.
- IV — 45 m 70° + 15 m 80° + 5 m 90°.
- V — 45 m 80° + 20–30 m 90°.
- VI — 45 m 90°.

Systematyczne szkolenie w technice lodospadowej zapoczątkował w r. 1984 Club Alpin Suisse, obecnie idą w jego ślady i inne towarzystwa. Z Rudolfshütte na wspinaczki chodzą nad jezioro, gdzie drogi mają przeszło 200 m wysokości i trudności do V–VI stopnia w skali szcockiej (jak np. Die Gläserne Madonna, 220 m 70–90°). (jn)

SPROSTOWANIE

W fazie podpisywania do druku poprzedniego numeru (2/85) na s. 81 przy artykule Andrzeja Ciszewskiego „Nowe jaskinie w Austrii” znalazł się omyłkowo podpis Anny Teresy Pietraszek. Przepraszamy Autora, a także Anię — jak to asekuracji nie wolno wypuścić z ręki do samego końca drogi! W tymże numerze autorem dolnego zdjęcia na s. 72 jest Marian Jargilo.

TATERNIK

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ALPINIZMU
POŚWIĘCONY SPRAWOM TATERNICTWA,
ALPINIZMU I SPELEOLOGII

Redaktor: Józef Nyka, ul. Klaudyń 12 m. 79,
01-684 Warszawa. Tel. 330-775.

Adres Redakcji:

Młodzieżowa Agencja Wydawnicza —
ul. Stanów Zjednoczonych 53
04-028 Warszawa
p. 227 (II piętro);
Tel. 13-20-40 do 49 w. 318 lub 297
tel. bezpośredni 13-02-43.

Adres Polskiego Związku Alpinizmu:

00-010 Warszawa, ul. Sienkiewicza 12 p. 444
Tel. 26-69-56

CENA NUMERU ZŁ 80

PRENUMERATA:

Instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich bądź tych, w których znajdują się oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch”, zamawiają prenumeratę w tych oddziałach. Instytucje i zakłady pracy mieszczące się w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch”, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

Prenumeratory indywidualni zamieszkali w miastach — siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch”, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych (przy użyciu „blankietu wpłaty”) na rachunek bankowy: Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw w Warszawie ul. Towarowa 28, nr konta NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumeratory indywidualni zamieszkali na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch”, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych bądź u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla instytucji i zakładów pracy.

WYDAWCA:

RSW „Prasa-Książka-Ruch” Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 04-028 Warszawa, ul. Stanów Zjednoczonych 53. Telefon: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21. Biuro Reklam i Ogłoszeń, 00-679 Warszawa, ul. Wilcza 62. Telefon 28-07-32.

Druk: PZG RSW „Prasa-Książka-Ruch”, 00-375 Warszawa, ul. Smolna 10/12. Zam. 307. P-70.

NR 1 (260) 1986

SUMMARY

Editorial: Polish Mountaineering Scene 1986 (J. Nyka)	1
Polish Alpinism in the Light of the New Law Regulation (W. Lachiewicz)	2
Trento Film Festival (W. Świeżyński)	6
Eight on the Gangapurna (W. Mastowski)	8
Himalchuli North — Second or First Ascent? (W. Panejko)	10
New Route on Cho Oyu, 1986 (A. Osika)	11
First Winter Ascent of the Kangchenjunga (A. Machnik)	12
To the Summit (K. Wielicki)	14
Andrzej Czok 1948—1986 (A. Bilczewski, J. Nyka)	15
Winter 1985—86 in the Himalaya and the Pamir (J. Nyka)	17
Aconcagua South Face — Third Female Ascent (W. Rutkiewicz)	19
New Route on Huascarán — Polish-Czech Expedition (E. Szcześniak, E. Pankiewicz)	20, 21
Winter Climbs in the Caucasus, 1986 (J. Wolf)	23
Stanisław Motyka 1906—1941 (R.W. Schramm)	24
Polish Winter Climbs in the Tatras (Z.J. Wirski, K. Łoziński)	28, 30
Style or Difficulty? (H. Sigrist)	33
New 1000 Meter Cave in Austria (J. Woćko)	35

What's New in the Tatras? — 37; New Routes in the Tatras — 38; Free Climbing — 39; Climbs in other Mountains — 41; Expeditions — 42; Organization — 43; In Memoriam — 44; Medicine — 46; Alpine Notices — 47; Reviews — backcover; Equipment — backcover.

INHALT

Polnisches Bergsteigen 1986 (J. Nyka)	1
Bergsteigen und die neue Rechtsordnung (W. Lachiewicz)	2
Bergfilmfestival in Trient (W. Świeżyński)	6
Acht Mann auf Gangapurna (W. Mastowski)	8
Himalchuli North — Erst- oder Zweitbesteigung? (W. Panejko)	10
Neue Route am Cho Oyu (A. Osika)	11
Kangchendzönga erstmals im Winter (A. Machnik, K. Wielicki)	12, 14
Andrzej Czok 1948—1986 (A. Bilczewski, J. Nyka)	15
Winter 1985—86 im Himalaya und im Pamir (J. Nyka)	17
Aconcagua-Südwand — eine Damenbegehung (W. Rutkiewicz)	19
Neue Route am Huascarán — Polnisch-Tschechische Damenexpedition (E. Szcześniak, E. Pankiewicz)	20, 21
Kaukasus im Winter 1986 (J. Wolf)	23
Stanisław Motyka 1906—1941. Einer der erfolgreichsten Tatrabergsteiger. (R.W. Schramm)	24
Die polnische Wintersaison in der Tatra (J.Z. Wirski, K. Łoziński)	28, 30
Stiel oder Schwierigkeit? (H. Sigrist)	33
1000 m in oder Meanderhöhle (J. Woćko)	35

Neues aus der Tatra — 37; Neue Routen in der Tatra — 38; Das Sportklettern — 39; Klettereien und Bergfahrten — 41; Expeditionen — 42; Aus dem Organisationsleben — 43; Nekrologe — 44; Liebe Gesundheit — 46; Verschiedenes — 47; Buchbesprechungen und Bergausrüstung — auf dem Umschlag.

Recenzje

Witold H. Paryski: *Tatry Wysokie. Przewodnik taternicki. Część XXIV. Czerwona Turnia — Przełęcz pod Kopą*. Wydawnictwo „Sport i Turystyka”, Warszawa 1984, s. 278.

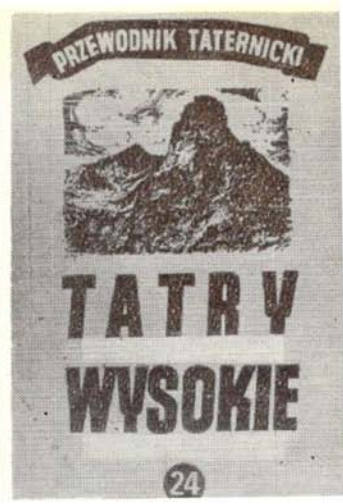
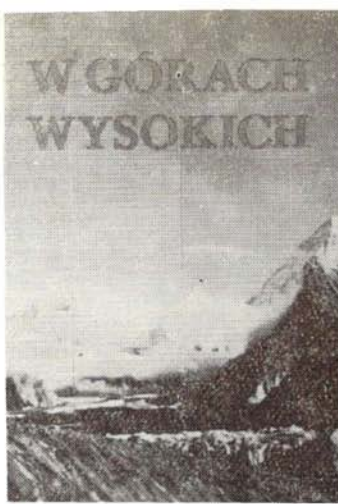
Pierwszy tom „Tatr Wysokich” ukazał się w r. 1951 — ostatni, 24 z kolei, otrzymaliśmy do rąk w początku r. 1985. W sumie 35 lat działań wydawniczych i ok. 40 lat pracy autorskiej, nie licząc wcześniejszych przygotowań i gromadzenia źródeł. Tak wielkie rozciągnięcie pracy w czasie sprawiło, że przewodnik jest tym pełniejszy, im bardziej zbliża się ku wschodniemu rubieżom Tatr. W latach 1951—54, kiedy ukazywały się tomiki obejmujące część polską, na ścianach była zaledwie 1/4 obecnego stanu dróg (np. na Kazałnicy 2 przy ok. 20 dzisiaj). Również szczegółowość opisów terenu była mniejsza, a autor powściągliwie korzystał z przywileju nadawania nazw różnym jego częściom. Wszystkie razem tomy obejmują 4500 stron druku i zawierają opisy 3941 dróg wspinaczkowych oraz 375 dróg dojazdowych i dojazdowych, ilustrowane zaś są ok. 800 planikami, mapkami, szkicami ścian i schematami dróg.

Cała ta ogromna robota została wykonana przez jednego człowieka — niezrównanego znawcę topografii Tatr, ale i obdarzonego geniuszem interpretatora zdjęć, planów i opisów, któremu bez większych błędów udaje się doposażać mgliste relacje taternickie do realnej rzeźby ścian. Całą serię wydało jedno i to samo wydawnictwo, a wydrukował je jeden zakład — Drukarnia Narodowa w Krakowie. Jeśli dodamy, że okładki do wszystkich tomów zaprojektowała ta sama graficzka, otrzymamy przykład ciągłości edytorskiej zgola niezwykły, jak na nasze niestabilne czasy. Pisałem już na innym miejscu, że „Tatrami Wysokimi” Witold H. Paryski wystawił pomnik nie tylko sobie, ale i całej swojej taternickiej generacji, z której ducha i stosunku do Tatr dzieło to wyrosło. Nas nie byłoby stać na pracy w tej skali.

Józef Nyka

Zdzisław Ryn: *Los Andes y la Medicina*. Instituto Boliviano de Cultura; Instituto Nacional de Antropología, Centro de Información y Documentación. La Paz 1981; s. 122.

„Andy i medycyna” — pod takim tytułem Boliwijski Instytut Kultury z Instytutem Antropologii w La Paz (Boliwia) wydały książkę krakowskiego psychiatry i alpinisty, doc. Zdzisława Ryna. Jest to studium antropologiczne, omawiające jednak w sposób interdyscyplinarny stałych mieszkańców Andów — Indian Keczua i Ajmara. W ośmiu rozdziałach autor omawia kolejno: sanktuarium andyjskie, chorobę górską zwaną w Andach soroche, sylwetkę an-



tropologiczną mieszkańca Andów, choroby, medycynę ludową, alkoholizm oraz problemy medyczne związane z migracją w doliny. Książkę ilustrują fotografie wykonane przez autora podczas pobytów naukowych w krajach andyjskich. Z przedmowy wydawcy, Luisa Oporto Ordoneza wynika, że jest to książka pasjonująca nie tylko czytelnika zainteresowanego kulturą andyjską, lecz również specjalistów różnych dziedzin. Reprezentuje ona nową dyscyplinę — medycynę antropologiczną.

Warto zwrócić uwagę, że „Andy i medycyna”, to pierwsza książka polskiego autora wydana w Boliwii, najbardziej indyjskim kraju Ameryki Południowej. Do Polski dotarło jedynie 15 egzemplarzy autorskich. Po jednym otrzymały Biblioteka Jagiellońska, Główna Biblioteka Lekarska w Warszawie, Biblioteka Główna AM w Krakowie oraz krakowska Centralna Biblioteka Górską. Czy możemy liczyć na polskie wydanie tej książki?

Józef Nyka

Kazimierz Saysse-Tobiczyk z zespołem: *W górach wysokich — kompendium polskich wypraw wysokogórskich*. Wydawnictwo „Wiedza Powszechna”, Warszawa 1985; s. 227 + 370 ilustracji na wkładkach. Cena zł 820.

Mają książki swoje losy, ta zaś miała koleje szczególnie złożone. Jej koncepcja ulegała zmianom, wycofywali się autorzy, główny twórca, dr Kazimierz Saysse-Tobiczyk, odumał! I, gdy była plikiem różnie zaawansowanych maszynopisów. Pół roku wcześniej zmarła red. Deoniza Tomaszewska-Zarembina, opiekunka i protektorka z ramienia Wydawnictwa zarówno tej pozycji, jak i wcześniej całej serii „W skałach i lodach świata”. Rozdziały trzeba było porządkować i dopisywać nowe, gdyż życie górskie nie stało w miejscu. Przed śmiercią dr Tobiczyk przekazał całe swoje zbiory Muzeum Tatrzzańskiemu, szatę ilustracyjną książki trzeba było więc improwizować: 90% zdjęć czarnobiałych dobrali z własnych archiwów Zbigniew Kowalewski (Himalaje i Karakorum) oraz niżej podpisany (pozostałe tematy).

W teksty w różnych fazach wiele pracy włożyli Janusz Kurczab i Andrzej Zawada. Mimo starań zespołu redakcyjnego i wydawnictwa, książka ukazała się obarczona niedostatkami, z których najpoważniejszym jest brak indeksu. Zdjęcia czarno-białe wypadły dobrze, natomiast poziom kolorowych jest znużający, nie udało się też drukarni mapki i rysunki Jerzego Wali. Najważniejsze jednak, że książka w ogóle ujrzała światło dzienne i że mogliśmy wstawić na półki tak potrzebny zarys historii polskiego alpinizmu za lata 1818—1980. I za to należą się Wydawnictwu „Wiedza Powszechna” słowa gorącego podziękowania.

Józef Nyka

The American Alpine Journal, 1986. Tom 60 (28). Organ American Alpine Club. Redaktor: H. Adams Carter. S. 350; 85 ilustracji.

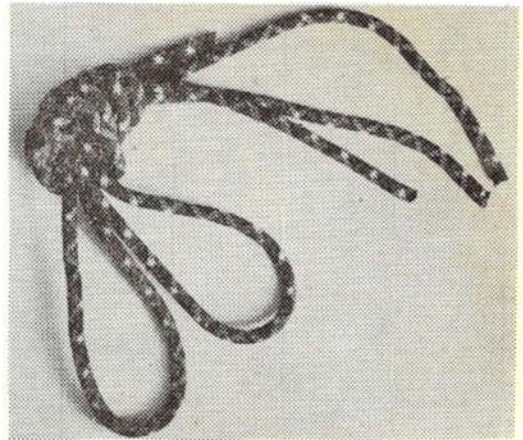
W początku lata ukazał się kolejny tom — 60 już — oczekiwanego przez alpinistów amerykańskiego rocznika. Otwierają go dwa sprawozdania polskie: Wojciecha Kurtyki z zachodniej ściany Gasherbruma IV oraz Andrzeja Zawady z zimowego wejścia na Cho Oyu. Trzeba przyznać, że osiągnięcia sportowe obu tych wypraw kwalifikują artykuły do zamieszczenia ich na początku tomu. Na stu stronach omówionych jest wiele jeszcze wybitnych sukcesów górskich, głównie dokonywanych na obszarze Ameryki. Do najciekawszych należy artykuł Roberta Batesa o pierwszym wejściu na Ulugh Muztagh (6987 m), którego wysokość okazała się znacznie niższa, niż dotąd podawano (7724 m). Kolejne 200 stron, to krótkie standardowe relacje z gór całego świata z roku 1985, lecz z włączeniem ostatniej zimy (m.in. polskiej Kangchendzöngi). Ta część AAJ stanowi od lat ważne źródło wiedzy dla kronikarzy wysokogórskich. Rocznik jest bez wątpliwości najlepszą periodyczną publikacją górską dotyczącą gór świata, a jego wysoki poziom jest wyłączną zasługą Adama Cartera, nota bene członka honorowego PZA.

Zbigniew Kowalewski

„BEZALIN” TATERNIKOM

Na zebraniu w dniu 5 czerwca 1933 r. Zarząd PZA obejrzał pierwsze egzemplarze nowej liny, której produkcję rozpoczął „Bezalin”. Jest to lina do asekuracji dynamicznej, 48-splotowa o przekroju 8,5 mm, z koszułką w nowoczesnych deszeniach czerwonym i niebieskim. Deklarowana przez fabrykę wytrzymałość żyły wynosi 1800 kg. 35-metrowy odcinek waży 4,7 kg. Użyte włókno (produkcji krajowej) ma zapewniać mniejsze nasiąkanie liny wodą (po namoczeniu i obcieknięciu odcinek waży ok. 7 kg). Kilka lin przechodzi aktualnie praktyczne próby w Tatrach — w dalszej perspektywie przewidywane jest uzyskanie atestu UIAA. Liny będą na razie rozprowadzane za pośrednictwem PZA — przewidywana cena sztuki (85–100 m): ok. 18 000 zł (bez narzutu handlowego). „Bezalin” planuje zakup 3 nowoczesnych maszyn, w przygotowaniu są też liny innych typów (m.in. asekuracyjna, speleologiczna), a także różnego rodzaju taśmy. Jak wynika z moich rozmów z dyrektorem fabryki, p. Bogdanem Gilem, oraz konstruktorem, p. Józefem Zemczakiem, w przeciągu roku problem ogólnie dostępnej polskiej liny wspinaczkowej powinien zostać pozytywnie rozwiązany.

Janusz Bednarek



UWAGA, JADĘ!

Angielski miesięcznik „Climber” zamieścił w numerze 5/1986 artykuł omawiający różne rodzaje przyrządów do zjazdu. Za najpraktyczniejszą metodę bez specjalnego wyposażenia uważa autor — Noel Williams — półwyblinkę („węzeł włoski”) z karabinkiem, jak nam się wydaje, niezbyt jednak „przyjazną” dla liny. Z przyrządów najpopularniejsze pozostają ősemki — niemal każdy producent wyposażenia oferuje tu własne modele. Drobna lecz istotna innowację wprowadził Camp — jest nią małe uszko z boku, które pozwala uwiązać ősemkę na sznurku, chroniąc ją od zgubienia, co zdarza się często przy seriach zjazdów. Autor z uznaniem wypowiada się o ősemce Salewy (Alpinbremse), stanowiącej dość znaczną modyfikację w porównaniu z modelem oryginalnym. Pracuje ona w połączeniu z karabinkiem i eliminuje usterki ősemki klasycznej, jest przy tym mała lekka i — tania (3 funty). Można jej też używać do asekurowania partnera (tu jednak nie wydaje się lepsza od ősemki tradycyjnej — Red.). Wartą odnotowania nowości stanowi dość skomplikowany przyrząd „Allp” firmy Troll (nazwa od nazwiska konstruktora, Dave Allporta), z pomocą pokręćla pozwalający precyzyjnie regulować szybkość zjazdu, co może być ważne w ratownictwie, przy pracach filmowych, a także przy obróbce dróg skałkowych. „Allp” działa tylko na linie pojedynczej 10–15 mm, której zapewnia maksimum żywotności, jest jednak dość duży i drogi (20 funtów). Z wielką ostrożnością należy stosować do zjazdów wszelkie płytki i „guziki” przeznaczone do asekuracji, jak np. płytka Stichta. Przy dłuższym lub nieco szybszym zjeździe prowadzą one do wywiązywania się niebezpiecznych temperatur, a wiadomo, że np. nylon topi się już przy 250° C.

Mimo wprowadzenia szeregu przemysłowych udogodnień, zjazd na linie nadal wiąże się z wysokim ryzykiem. Autor radzi pamiętać o kilku momentach — gdyby ich przestrzegano dawniej, pisz, wiele istnień ludzkich zostałoby ocalonych:

- ☆ Wyszukaj pewne i dogodne stanowisko;
- ☆ sprawdź wszystkie zapięcia uprząży;
- ☆ zakreć karabinek;
- ☆ upewnij się, że ani odzież, ani włosy nie wplatają się w linę.
- ☆ nie dopuść do tego, by zjazd wymknął się spod twojej kontroli.

Zdjęcie przedstawia w górnym rzędzie 4 modele ősemek (DMM „Anka” i „Standard”, Camp oraz Viking Large), zaś w polu środkowym — ősemkę z prawidłowym przelotem liny i przykładem, co może się stać (np. przy forsowaniu przewieszki), gdy lina zostanie przełożona odwrotnie. W lewym dolnym rogu ősemka Salewy (Alpinbremse), w prawym „guzik” DMM. (jn)

